

*Bakkah (Mekka) w Arabii, rok 278*

Wieczór kładł się nad światem mrocznym cieniem, a siostra Flawinii wciąż wiała się w bólach. Trzy kobiety zgromadzone przy łożu rodzącej przyniosły lampy oliwne, zapaliły je i ustawiły wzdłuż ścian, jeszcze zanim słońce zaszło. Żaden zły dzinn nie powinien mieć dostępu do jej pościeli. To ważne, by przyszłą matkę wspierały wszelkie dobre moce.

Flawinia ocierała czoło młodszej siostry. Rozpościerała swój wilgotny fartuch, a potem znowu moczyła go w wywarze z rozmarynu i cytrynowych liści.

Nimat miała wydać na świat swoje trzecie dziecko.

Wszystko powinno się było dokonać jeszcze przed obiadem. Już bowiem przy porannym posiłku Nimat siedziała szaroblada i odrętwiała, nie była w stanie przełknąć nic ponad garstkę ryżu i parę łyżek tłustej fasolowej zupy. Była to kobieta drobnej postury, ale zdążyła już urodzić dwie córeczki w odstępach dwóch lat, jedną po drugiej.

To gospodyni i chlebodawczyni Flawinii, ale zarazem jej młodsza, ukochana siostra!

Flawinia uśmiechała się do umęczonego oblicza położnicy i szeptała pełne otuchy słowa.

- Trzeba ci wiedzieć, że tym razem walka będzie cięższa, bo chyba rodzisz syna, siostrzyczko!

A Nimat kiwała niepewnie głową między jednym a drugim skurczem.

- Weszłabym na najwyższy górski szczyt, żeby tylko mieć syna...

Pozostałe kobiety siedziały w kącie, przy niskich ławach, na których rozłożono noże, maści i wino obok amuletów i sporego pęczka czosnku. Obie były w tym domu niewolnicami, jedna została kupiona jako dziecko, druga przybyła tu jako dorosła kobieta, ponieważ nie była w stanie spłacić długu mężowi Nimat, lichwiarzowi Shafrowi.

- Dziecko ułożone jest prawidłowo, wyczuwam główkę. Wszystko pójdzie dobrze, Nimat...

Jeszcze zanim te słowa zostały wypowiedziane, Flavinia zdała sobie sprawę, że brzmią fałszywie.

Wszystko wskazywało na to, że poród zakończy się jak najgorzej. Siły Nimat słabły z każdą falą skurczów. Oczy rodzącej powoli się zapadały, a u nasady paznokci pojawiły się niebieskosine obwódki.

Nimat krwawiła.

Flavinia starannie usuwała lśniąca ciecze spomiędzy nóg siostry i zagryzała zęby tak, że sama czuła w ustach smak krwi. Prawie żałowała, że nie odesłała stąd swojego dziesięcioletniego syna. To przecież tylko dziecko, daleko mu jeszcze do męskiego wieku. Wielokrotnie przedtem towarzyszył jej w takich sytuacjach, tym razem jednak wszystko szło źle. Prawdopodobnie chłopiec będzie świadkiem śmierci swojej ukochanej ciotki.

Flavinia usłyszała, że jej dwie pomocnice mamro-

czą coś zaleknione, i wtedy głowa Nimat opadła na ramię. Rodząca wyglądała jak uśpiona.

- Trzeba sprowadzić Kachlę. Tylko ona może uratować naszą gospodynię!

Flavinia przerwała im krótkim warknięciem:

- Żadna rzeźniczka nie wejdzie do tego domu! Moja siostra da sobie radę, jest silna.

Chyba się nie odważyła zlekceważyć jej polecenia. Była wprawdzie taką samą niewolnicą jak one, ale mimo wszystko Flavinia żyła w tym domu na innych warunkach. Siostra i szwagier okazali jej wielką łaskę, pozwalając przed dziesięcioma laty, by do nich przyszła z bękartem w brzuchu. Ściągnęła tym wielki wstyd na cały dom. Lichwiarz Shafir, mąż Nimat, utracił przez to wiele znakomitych kontaktów z wyniosłymi jubilerami greckimi i rzymskimi. W Rzymie zwyczaj nakazywał w takich przypadkach zadbać, by zhańbiona kobieta po prostu przepadła bez śladu. W Grecji też nikt nie zajmował się pozbawionymi czci istotami. Nawet w plemienu, z którego obie pochodzą, Flawinię spotkałaby z pewnością nagła śmierć, zadana mieczem wodza, gdyby ściągnęła na siebie taki wstyd.

Nikt nie ma pojęcia, jaką cenę Nimat musiała zapłacić swemu mężowi, by mnie oszczędzić, myślała nieraz Flavinia.

O tej sprawie siostry nigdy nie mogły rozmawiać, żeby nie wiem jak blisko siebie siedziały wieczorami zajęte przedzeniem lub inną pracą. Flavinia jednak dobrze widziała, jak z latami szwagier stawał się coraz bardziej skąpy, brutalny i coraz mniej łaskawy tak wobec małżonki, jak i wobec niej, nie mówiąc już o jej małym synku, Jahizie.

Nie, nikt nie wie, jaką cenę musiałaś za mnie zapłacić dziesięć lat temu, Nimat, zawodziła w duszy Flavinia, wpatrując się w udręczoną, spoconą twarz siostry.

Światło lamp dawało tej twarzy złocistą barwę, ale Flavinia dobrze wiedziała, że to tylko pozór. Spoglądała na rodzącą w nadziei, że gdy bóle przycichną na chwilę, dostrzeże jakąś zapowiedź poprawy.

Obiecuję ci, że odpłacę ci za to, w ten czy inny sposób.

Cena łaski może być wysoka, ale ty, siostrzyczko, ją zapłaciłaś za mnie.

Nimat poruszyła się i wykrzywiła wargi. Może kolejny skurcz zaraz wstrząśnie wątłym ciałem? Brzuch był bardzo napięty. Flavinia dotknęła go.

- Jestem przy tobie - wyszeptała i przytuliła policzek do lodowatych palców tamtej. Wtedy słaba dłoń poruszyła się na kołdrze, odnalazła rękę Flavinii.

- Zaopiekuj się nimi - wyszeptała biedaczka na posłaniu.

- Zabierz ze sobą Cici i Gabi... zabierz to maleństwo, jeśli przeżyje... i uciekaj... dzisiaj... jeszcze tej nocy...

Flavinia zerknęła pospiesznie w kąt, gdzie siedziały niewolnice. Myślały pewnie, że jej siostra bredzi w malignie, oszołomiona bólem, osłabiona wpływem krwi. A jednak coś w twarzy Nimat mówiło jej, że ona jest przytomna. I że te słowa nosiła w sobie od wielu lat. Bawiła się nimi - ucieczka, wolność i... przekleństwo!

Może ona sama gotowa była to zrobić?

Może mało brakowało, a opuściłaby swego okrutnego męża, lichwiarza, którego wszyscy mieszkańcy miasta nienawidzą i którego się boją? Tyle tylko że dla kobiety, która nie ma ojca ani brata, jest to czyn niemożliwy.

A skoro coś takiego było niemożliwe dla Nimat, jego żony, to tysiąc razy bardziej niemożliwe będzie dla jej siostry, Flavinii. Ta bowiem jest mimo wszystko niewolnicą, sprzedała mu siebie i swoje siły za prawo korzystania z dachu nad głową i za jedzenie dla siebie i swego nowo narodzonego dziecka.

- Uciekaj, Flavinio! Obiecuj mi, że to zrobisz.

Poczuła suchość w gardle. Nie znajdowała odpowiedzi. Zamiast tego znowu natarła twarz i ramiona rodzącej chłodnym wywarem z ziół.

- Nie odejdę od ciebie, moja kochana mała. Wiesz o tym. Zostanę przy tobie.

Ciało Nimat zaczęło się prężyć i dygotać. Ogarniała je kolejna fala bolesnych skurczów.

Nie miała już siły krzyczeć, ale kiedy skurcz mięśni sprawił, że zwinęła się niemal w pół z taką siłą, że pękały jej naczynia krwionośne w gałkach ocznych, Flavinia wiedziała, że jeśli teraz dziecko się nie urodzi, to dla jej siostry nie będzie już nadziei.

Obie niewolnice podbiegły do posłania. Jahiz, mały synek Flavinii, siedział w kącie, trupio blady i przerażony.

Jedna z kobiet była doświadczoną akuszerką. Sama w domu swego pana wydała na świat ośmioro dzieci. Pięcioro z nich sprzedano, pozostała trójka była jeszcze zbyt mała, żeby ktoś zaproponował za nie niezłą cenę.

Niewolnica położyła się całym ciężarem na brzuchu i piersiach Nimat i mocno uciskała. Wtedy nieszczęsna Nimat wydała z siebie przeciągły, rozpaczliwy krzyk przypominający wycie.

Coś w niej pękło. Nagle ukazała się główka dziecka, zakrwawiona, o dziwnym kształcie. Chlusnęła

krwem pomieszana z wodami płodowymi i całe ciało dziecka znalazło się na zewnątrz.

Ale matka z największym trudem chwytając powietrze.

Flawinia uniosła maleństwo, nacierała je grubą szmatą i lekko uderzała w stopki.

To dziewczynka, uświadomiła sobie.

Ostatnia nadzieja zawiodła.

Kątem oka popatrzyła na siostrę, dostrzegła cień śmierci na jej twarzy. Jeszcze można było wyczuć leciutkie pulsowanie krwi w żyłach na szyi. Ale dziwny spokój na obliczu tamtej nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości.

Siostra umrze. Najpewniej tej nocy.

Opiekę nad maleństwem powierzyła niewolnicom, nakazując im surowo, by się nie spieszyły z powiadamianiem pana domu. Najpierw trzeba się jeszcze uporać z wieloma sprawami.

Tamte kiwały bez słowa głowami, na ich twarzach malował się strach.

Dla Flawinii było jasne, że gniew gospodarza o to, że urodziła się kolejna dziewczynka, spadnie na tego, kto przyniesie mu wiadomość. A czy żona żyje, czy umarła, to dla niego nie jest takie ważne.

Flawinia zacisnęła zęby i podsunęła pod nos chorej kawałek ostro pachnącego piżma. Kiedy to jej nie ocuciło, znowu oblewała zimną wodą twarz i włosy położnicy.

Powieki Nimat drgnęły.

Flawinia pochyliła się. Jeszcze raz przytuliła policzek do gładkiej twarzy siostry.

- Walcz, kochana! Walcz! Dzieci cię potrzebują. Ja sama umrę, jeśli ty nas opuścisz!

Zdała sobie sprawę, że płacze, gorące łzy kapały na

twarz Nimat. Nie wstydziła się swojej słabości, choć wiedziała, że powinna się teraz opanować, zachowywać jak dorosła kobieta i nie mówić takich rzeczy.

Ale jej słowa sprawiły, że Nimat znowu poruszyła powiekami.

Ledwo dosłyszalnym głosem z największym trudem wypowiadała słowa, które jednak przekonywały siostrę, że biedaczka bredzi nieprzytomnie:

- Puchar... naczynie z oliwą w kuchni... na tej niebieskiej półce... ono powinno należeć do mojej córki. Musisz zadbać, żeby to ona dostała ten puchar. I że by nikomu nie zdradziła, jak bardzo jest cenny... aż nadejdzie dzień...

- Nimat, o czym ty mówisz? Ten stary, ciężki puchar? Wargi Nimat zrobiły się jeszcze bardziej suche. Pękały, gdy tylko chciała coś powiedzieć.

- Stary puchar... wyjątkowy. Mieszkają w nim dżin-ny. Ale on nie należał do Cici. Ani do Ga...

- Ciii... pozwól, że posmaruję ci wargi kojącą maścią.

Delikatne palce Flavinii pieściły sine usta siostry. Zauważyła, że głębokie bruzdy wokół warg zniknęły. Że twarz stała się znowu młoda jak tamtego dnia, kiedy Nimat dostała pierwszą w życiu dorosłą suknię. Albo jak wtedy, gdy uszczęśliwiona oznajmiła, że pewien bogaty lichwiarz poprosił o jej rękę...

Nimat poruszyła się na posłaniu, co kosztowało ją bardzo dużo siły.

- Nie przerywaj mi, siostrze. Ja muszę to wszystko powiedzieć. A nie mam już czasu. Musisz mnie wysłuchać i obiecać mi, że zrobisz, o co proszę!

Flavinia skinęła głową. Łzy przesłaniały jej wzrok. Śmierć nie była już tylko cieniem. Czowała, jak z każ-

dym oddechem, z każdym uderzeniem serca, ciało siostry pogrąża się w niebycie.

- Ten puchar dała mi ciotka Kirfa. Ty niewiele o nim wiesz, siostrze, ale to święte naczynie. Kirfa do stała je od swojej matki, która z kolei odziedziczyła ten klejnot po pewnej obcej dobrodziejce z Samos. Puchar ma wielką moc! Mieszkają w nim naprawdę potężne duchy, Flawinio! Duchy, które mogą chronić moją nowo narodzoną córeczkę...

Flavinia jęknęła.

- Jak... Jak mamy dać jej na imię?

Nimat zamknęła oczy.

- On na pewno nazwie ją tak, jak będzie chciał. Jednak dla mnie... powinna mieć na imię Filia. Filia vitae. Czy pamiętasz jeszcze lekcje łaciny, siostrze? Czy przypominasz sobie tego niskiego mężczyznę o miękkich lokach?

Flavinia przytaknęła. Ich ojciec bardzo chciał imponować Rzymianom. Być im równym. Dlatego umieścił swoje córki w łacińskiej szkole prowadzonej przez pewnego Greka.

- Filia vitae.

Raz jeszcze Flavinia skinęła głową. Łzy trysnęły z jej oczu, spływały na piersi i twarz konającej siostry.

- Córka życia... tak, to odpowiednie imię, moja kochana, dobra Nimat...

Kobieta na posłaniu uśmiechnęła się blado.

- Dziękuję ci, najdroższa siostrze... teraz mogę odejść w spokoju.

I nim Flavinia zdążyła się otrząsnąć, Nimat wydała ostatnie tchnienie.

Śmierć przyszła cicho. Nie była złym dzinnem ani burzą, ani ostrym mieczem. Nie poprzedził jej gwał-



towny ból, ani skurcze, była raczej niczym lekki wiatr, który przemknął przez pokój i uleciał, zabierając z sobą duszę Nimat do wspaniałej krainy poza granicami tego świata.

Flavinia nie płakała, kiedy zajmowała się martwym ciałem siostry.

Rozszłochała się dopiero, kiedy wzięła w ramiona maleńką, nowo narodzoną dziewczynkę, taką strasznie słabiutką i, niestety, brzydką.

- Filia, Filia... co się z tobą stanie?

Jej własny synek, Jahiz, milczący i poważny trwał u jej boku.

Teraz powiedział:

- Ja będę jej strzegł. Będę o nią dbał aż do chwili, gdy dorośnie na tyle, by dostać puchar.

Flavinia patrzyła na malca zdziwiona.

- Ty wiesz coś więcej o tym pucharze?

Chłopiec spokojnie pokręcił głową.

- Nie. Ale słyszałem, co Nimat ci powiedziała. Dawniej widziałem też, jak go dotykała, zawsze ujmowała go bardzo delikatnie, jakby to był nie wiem jaki skarb.

Flavinia długo przyglądała się synowi.

Jego ciemne oczy zawsze były bardzo dziwne. Pamiętała, jaka myśl przyszła jej do głowy, kiedy chłopczyk po raz pierwszy uniósł powieki i napotkał jej spojrzenie tamtej strasznej nocy blisko dziesięć lat temu.

Syn miał jedno oko dobre, a drugie złe.

Popełniłam błąd, pozwalając, by przyszedł na świat jako niewolnik w domu swojej ciotki.

Odepchnęła od siebie niedobre wspomnienia niczym brudną zasłonę nad łóżkiem.

- Teraz musimy zanieść małą do Shafira. On z pewnością już się bardzo niecierpliwi.

Dziewczynka wydała z siebie kilka cieniutkich pisków. Odkąd przyszła na świat, dano jej tylko kroplę miodu i kroplę oliwy. Otworzyła oczka i chłopiec zobaczył, że są one lśniące i czarne niczym te święte kamienie, które niegdyś Abraham wmurował we wschodnią ścianę Al-Kaba\*.

Jahiz dotknął palcem policzka dziewczynki.

- Nie bój się, malutka - wyszeptał cicho.

\*Al-Kaba - czworoboczna świątynia zbudowana na środku dziedzińca wielkiego meczetu, w którego wschodni narożnik wbudowany jest Czarny Kamień, największa świętość muzułmanów. Także w czasach przedislamskich pielgrzymi oddawali mu cześć - przypis autorki.

Rok 293

Jahiz pogrążony był w myślach. Mimo to raz po raz spoglądał na najbliższych interesantów w kolejce przed kantorem lichwiarza. Zwrócił uwagę na mężczyznę z małym dzieckiem. I na kobietę ubraną w tak piękne szaty, że zupełnie nie pasowała do zrozpaczonych klientów lichwiarza.

Musiał czekać cierpliwie, aż nadejdzie jego kolej i niewolnik da mu znak, by wszedł. Siedział już tak ze cztery godziny na tych schodach i widział przepływający obok strumień ludzi. Słoneczny zegar na placu targowym otoczony był przez tłum, tak że nie widział już cienia wskazującego czas.

Roztrząsał wiele różnych sposobów, w jakich mógłby przedstawić swoją sprawę. Czuł bolesne ssanie w żołądku na myśl o przenikliwym spojrzeniu Shafi-ra, a zwłaszcza na myśl o tym, że lichwiarz może przecież przekreślić wszystkie jego plany.

Pieniądze miał przy sobie.

Jeden z pisarzy przygotował mu wszystkie papiery.

Dostawca wełny obiecał poręczyć za resztę, Shafir bowiem na pewno uzna, że suma jest zbyt skromna jako zapłata za wolność Jahiza.

Od czasu kiedy był małym dzieckiem, Jahiz nie przestawał się dziwić złemu charakterowi wuja Shafira.

Nie rozumiał też, dlaczego matka musiała opuścić ukochanego mężczyznę, który był jego, Jahiza, ojcem. Wciąż się zastanawiał nad tym, jak ktoś mógł potraktować ją w ten sposób. Jaką wadą obciążony był jego ojciec, że nie potrafił wziąć odpowiedzialności za ukochaną kobietę i dziecko, którym ją obdarzył?

W tych rozważaniach nie było gniewu czy nienawiści. Tylko zdziwienie.

Odkąd on znajdował się na tym świecie, jego matka żyła jako niewolnica w domu wuja. Była niewolnicą w nie mniejszym stopniu niż te afrykańskie czy bizantyjskie kobiety, które codziennie sprzedawano na targu we wschodniej części miasta. A on sam, odkąd wyrósł z pieluch, był wykorzystywany do najrozmaitszych robót, dokładnie tak samo jak inne dzieci niewolników.

Od czasu jednak, kiedy ciotka umarła przy urodzeniu Filii, wszystko przybrało jeszcze gorszy obrót.

Gdy Jahiz skończył dwanaście lat, wuj zażądał, by również on poszedł na darmową służbę do garbarza i tym sposobem pracował na zmniejszenie długu, jaki wzięła na siebie matka. Równocześnie zlecano mu różne nieprzyjemne posługi jako osobistemu niewolnikowi lichwiarza.

Już od piętnastu lat sypiał w tym samym pomieszczeniu co niewolnicy, pracował przez całe dnie w śmierdzącej garbarni, żywił się resztkami ze stołu Shafira i wynosił jego nocniki.

Shafir nie wiedział jednak, że nocami Jahiz siadywał u boku matki i tkął piękne wełniane dywany, które Flawinia w największej tajemnicy wysyłała do Rzymu i sprzedawała. I podczas owych nocy opowiadała mu i opowiadała bez końca piękną baśń o przy-

stojnym rzymskim żołnierzu, który był jego ojcem.

Shafir nie mógł rościć sobie prawa do dochodów z tej pracy, tym bardziej że oficjalnie mimo wszystko oni oboje niewolnikami nie byli. I oto teraz, teraz Jahiz ma dość pieniędzy, by kupić niewielki domek dla siebie i matki. Gdyby tylko Shafir uznał jego...

Jahiz czekał na dzień, gdy zdobędzie odpowiednią sumę. Wiedział, że Shafir będzie może lepiej usposobiony do jego prośby, jeśli zaproponuje mu zwrot pieniędzy za koszty, jakie wuj poniósł na utrzymanie jego i matki przez te wszystkie lata.

Chłopak czuł teraz, że serce bije mu coraz mocniej.

Jeśli dzisiaj wszystko pójdzie po jego myśli, to wkrótce chciałby się zwrócić do Shafira z jeszcze jedną sprawą. Z dużo ważniejszą sprawą, prawdopodobnie jednak Shafir się na to nie zgodzi, on bowiem ze wszystkiego pragnie czerpać jak największy zysk.

Jahiz pragnął mianowicie ożenić się z najmłodszą córką Shafira, Filią. Nie zamierzał zresztą żądać za nią jakiegoś znacznego posagu. W ostatnich miesiącach nabierał coraz większej pewności, że o niczym nie marzy bardziej, jak zwierzyć się jej ze swoich uczuć i zamierzeń.

Filia miała teraz piętnaście lat i dojrzała już do małżeństwa.

Ale nikt jeszcze nie przyszedł do domu lichwiarza, by prosić o rękę jego najmłodszej córki.

Nikt się z pewnością na to nie odważy, wszyscy bowiem w mieście wiedzieli o chorobie dziewczyny.

Kto chciałby mieć żonę, która może nieoczekiwanie upaść nieprzytomna na ziemię i toczyć pianę z ust? Kto by się odważył mieć dzieci z kimś cierpiącym na taką tajemniczą chorobę będącą niewątpliwie karą boską?

Jahiz chciał.

Jahiz kochał Filię.

Kochał ją od chwili, gdy tamtej nocy dotknął palcem jej policzka i poczuł, że przenika go gwałtowny, gorący dreszcz.

Niczym błyskawica. Albo niczym ta siła, która sprawia, że ziarno kiełkuje i przepycha się przez grubą warstwę ziemi do światła!

Mgła przesłaniała mu wzrok od tych wszystkich myśli i nie zauważył nawet, że mężczyzna z dzieckiem został już wezwany do środka.

Pokonanie czternastu stopni prowadzących do kantorku lichwiarza wymagało od Levitana wszystkich sił. Miał ze sobą najmniejszego chłopca, dziecko siedziało wsparte na biodrze ojca i ssało kawałek owocu. Miał nadzieję, że malec się uspokoi przed domem potężnego człowieka. Lichwiarz miał swój kantor pod kolumnadą, w sąsiedztwie innych kupców, urzędników, prawników i złotników.

Levitan przyniósł w szmacianym woreczku dziesięć rzymskich sestercji i żywił nadzieję, że lichwiarz przyjmie to jako spłatę dawnego długu. Mały domek na wzgórzu Lajicha przeszedł na własność Levitana po śmierci żony, która zmarła w ubiegłym roku przy narodzinach najmłodszego dziecka. Oboje byli wyzwolencami i kupili sobie niewielkie gospodarstwo, gdy ich dobry pan i właściciel przed dziesięcioma szczęśliwymi laty oddał im wolność.

Levitan zawahał się na moment, kiedy stanął już na szczycie schodów, i spojrzał na dół, na pełen ruchu i zamieszania plac. Ludzie tłoczyli się, wchodzili i wychodzili z bram i drzwi, dźwigali ciężkie pakunki, in-

ni za to byli niesieni w lektykach. Tutaj na rynek *-medinaen* - przybywali zarówno bogaci mieszkańcy miasta, jak najbiedniejsi z biednych, by przedstawić papiery, rozstrzygnąć wątpliwości lub też znaleźć pomoc prawników wobec niekończących się kłótni z sąsiadami. Tutaj miał też swoje biura rzymski zarządca miasta, nad jego drzwiami górował znienawidzony orzeł kuty w brązie.

Malec połknął kawałek owocu i domagał się jeszcze. Levitan pożałował, że nie stłumił dumy i nie poprosił handlarzy o więcej. Teraz może się zdarzyć, że kiedy ojciec będzie przedstawiał lichwiarzowi swoją prośbę, mały zacznie krzyczeć. To by było straszne, chyba jeszcze gorsze od tego, że w ogóle idzie tam z dzieckiem.

Levitan rozejrzał się pospiesznie wokół. Wielu ludzi siedziało pod ścianami, czekając na swoją kolej. Tam, w cieniu, drzemała grupa starych Żydów, którzy prawdopodobnie przybyli tutaj, by spisać testament. Młody mężczyzna z dumnego plemienia Ku-reish stał z dużym, zawiniętym w skórę zwojem pod pachą i wykopywał czubkiem buta grudki gliny ze ściany. Dwie kobiety czekały pogrążone w cichej rozmowie, pewnie chciały uzyskać zgodę swego opiekuna na dysponowanie majątkiem.

Levitan zapragnął nagle, by i on był kobietą, bo wtedy też miałby opiekuna i pełnomocnika. Gdyby to on umarł pierwszy, jego żona otrzymałaby kogoś takiego, wyznaczonego przez radę miejską lub samego tajira\*.

\*Tajir znaczy tyle, co bogaty kupiec, ale można tym słowem określić również kogoś, należącego do rady starszych - przypis autorki.

Levitan zauważył starszą kobietę z pochylonym karkiem, we wdowiej chustce na głowie. Niepewnie zbliżył się do niej i wstrzymując dech ze strachu, odważył się zapytać, czy nie popilnowałaby dziecka, zanim on nie załatwi swojej sprawy.

Chłopiec popłakiwał na rękach przygodnej opiekunki, kiedy jego ojciec zmuszał nogi, by niosły go w stronę kantoru.

Ale łaska lichwiarza była tak samo chuda, jak jego ręka, którą uderzał w stół. Słowa tak samo bezlitosne jak szarobrunatne kosmyki na jego głowie.

- Napytałeś sobie niezłej biedy, Levitan. Powinieneś być się poradzić prawnika, zanim podpisałeś zobowiązanie, że będziesz płacił za kanał, na który nie miałeś żadnych gwarancji. Jesteś zwyczajnym głupcem! - syczał Shafir.

Przesunął parę nędznych monet leżących na dębowym stole ku Levitanowi. Palce miał szczupłe, paznokcie wypolerowane do połysku, kształtem podobne do kobiecych. Ozdabiał je licznymi pierścieniami, z których największy, z kutego złota, był rodzowym sygnetem.

W kącie izby stał niewolnik i miarowo pociągał za sznurek, który wprawiał w ruch wachlarz. Mimo to zdaniem Levitana w pokoju lichwiarza panowało nieznośne gorąco i duchota, wprost trudno było oddychać.

Spocony i rozdygotany napotkał spojrzenie tego kościstego, podobnego do ptaka mężczyzny.

- Bądź tak dobry... na wszystkich bogów... daj mi jeszcze jedną szansę! Nie mogę stracić gospodarstwa, bo jak wtedy wyżywię czwórkę dzieci?

Lichwiarz wzruszył ramionami, poprawił się na krześle i upił łyk z pięknego srebrnego pucharu.



Delikatnie potarł swój wąski, szczupły nos. Potem raz jeszcze wzruszył ramionami i mlasnął.

- To już, jak chyba sam rozumiesz, nie mój problem, chłopie. Ja muszę dbać o swoje sprawy. Jak myślisz, do czego by to doszło, gdybym ulegał takim prośbom? Jak długo wtedy ja byłbym w stanie wyżywić własną rodzinę?

Krótki śmiech palił biednego chłopca jak żelazo. Lichwiarz wskazał mu drzwi, rozmowa była skończona.

Levitan siedział pogrążony w rozpaczy.

Nagle zerwał się, okrążył stół i chwycił tamtego za rękę.

- Ale musisz! Musisz! Okaż mi jeszcze trochę cierpliwości. Może będę mógł ci zapłacić, kiedy tegoroczne zbiory dojrzeją.

Lichwiarz wyszarpnął rękę. I stracił cierpliwość. Odepchnął Levitana, wbijając w niego wzrok.

- Opanuj się, człowieku! To do niczego nie doprowadzi, chyba pojmujesz. Jesteś mi winien dziesięć razy więcej niż ta nędzna suma, którą przyniosłeś, a wszystko powinno być spłacone wiele miesięcy temu!

- Ale kanał... woda nie nadeszła... zboże wyschło, cebula ledwo zdołała wykiełkować! I...

- Dość! Nie mamy o czym mówić, już wiele razy słyszałem twoje żałosne wykręty. Nie mam innego wyjścia, żądam, by gospodarstwo zostało sprzedane jak najszybciej tak, bym mógł pieniądze, które ode mnie pożyczyłeś, włożyć w coś innego.

Z lekkim skinięciem do stojącego w kącie niewolnika sięgnął po wiszący na ścianie miecz.

- Wynocha!

Levitan poczuł, że fala piekącego bólu rozrasta się w nim - od żołądka do gardła. Drżał i dygotał, zdo-

łał opanować się jedynie na tyle, by nie zacisnąć swoich spracowanych, mocnych rąk na chudej szyi tamtego i nie ukrećić mu głowy.

Łez jednak powstrzymać nie zdołał, zanim więc drzwi lichwiarza zatrzasnęły się za kobietą, która wchodziła po nim, musiał jeszcze wysłuchać szyderczych słów na temat, jak to brak mu męskiego honoru.

Młody człowiek w płaszczu spojrział w górę, Levi-tan ukrył twarz. Kobieta, która teraz czekała pod drzwiami, popatrzyła na niego, ale nie powiedziała ani słowa. Może przeraziły ją jego łzy, a sama również czuła się zależna od humoru i dobrej woli lichwiarza.

- Małzonko Ibn Al-Harasniego... małzonko Ibn Al-Harasniego... nie nosisz ty swego imienia z godnością. Nie mogę powiedzieć, byś działała rozumnie i przewidująco niczym królowa. Szczerze mówiąc, zachowałeś się całkiem głupio i jesteś teraz na najlepszej drodze, by utracić cały swój posąg!

Kobieta siedziała nieporuszona na krześle, które służyło klientom lichwiarza.

- Musisz mi dać lepszą cenę za ten naszyjnik. Klejnot wart jest siedem razy więcej, niż proponujesz!

Shafir uśmiechał się lekko i ważył w dłoni złoty łańcuch. Wypolerowane rubiny skrzyły się w blasku dnia.

- To bardzo piękna ozdoba, trzeba przyznać. Ale mój złotnik powiada, że jego wartość nie jest pewna. Zmniejsza ją jeszcze ten beznadziejnie staroświecki wzór. Niełatwo sprzedać coś takiego, pewnie trzeba go będzie przetopić. Muszę się więc trzymać ceny samego złota, tak się robi. Kamienie są wprawdzie bar-

dzo piękne, ale małe. Tak więc nie mogę dać lepszej ceny, niż powiedziałem.

Przemawiał do niej wolno, jak do dziecka.

Kobieta oddychała pospiesznie.

- W takim razie pójde do kogo innego! A myślałam, że się ugodzimy, Shafir!

On gwałtownie pochylił się nad stołem i pożądliwie schwycił dopiero co odłożony klejnot.

- Żałuję, małżonko Ibn Al-Harasniego. Ale wciąż jesteś mi winna pieniądze, poprzednio dałem ci więcej, niż pierścień był wart! Biorę zatem mimo wszystko na szynnik w zastaw, takie jest moje prawo. Zostanie u mnie, dopóki nie zwrócisz mi reszty dawnego długu.

Krzyknęła przestraszona:

- Nie możesz tego uczynić! To przecież tylko niewielki dług i...

- W takim razie oddaj mi, co moje, a otrzymasz zarówno pierścień, który dostałem w zastaw, jak i ten klejnot! Widzisz, jakie to proste, mój motylku...

Zadrżała, kiedy pogłaskał jej rękę. Cofnęła się gwałtownie na krzesło i zaciśnięte dłonie ukryła pod chustką.

Wiedziała, że lichwiarz nie wahałby się ani przez chwilę i poinformował o wszystkim jej męża, gdyby się jeszcze targowała. A do tego nie wolno dopuścić. Bo przecież właśnie ze strachu przed mężem przyszła tu pierwszy raz i zastawiła pierścień po matce, by zdobyć pieniądze na lekarstwa dla siostry. Siostra potrzebowała pieniędzy na doktora i na lekarstwa, a sama nie posiadała nic prócz ubrania, w którym pracowała jako posługaczka w gospodzie. Doszły obie do wniosku, że dług zostanie bez kłopotów spłacony, gdy tylko siostra wyzdrowieje i znowu będzie mogła pracować.

Pierścień matki i ten naszyjnik to wszystkie kosztowności, do jakich żona Ibn Al-Harasniego miała dostęp w domu swego męża. On bardzo uważnie kontrolował wszelkie rachunki związane z prowadzeniem gospodarstwa, sam zajmował się wszystkimi zakupami. Krawiec, rzeźnik, sprzedawca ryb i kobieta zaopatrująca dom w oliwę i nie bielone płótno dobrze wiedzieli, że w tym domu gospodyni jest tylko lalką do ozdoby. Nawet zielarka, która przynosiła z gór rozmaryn, bazylię, cytrynową trawę i korian-der, musiała się zwracać do pana, by wypłacił jej te nędzne miedziaki, jakie się jej należały.

Nawet nie wysłuchał żony do końca, kiedy prosiła o pieniądze na leczenie siostry. A biedaczka kaszłała tak bardzo, że właściciel gospody nie chciał jej już u siebie trzymać. Twierdził, że straszy mu gości, poza tym z powodu gorączki wielokrotnie zaniedbywała swoje obowiązki.

Małżonka Ibn Al-Harasniego wiedziała, że choroba piersi jest bardzo niebezpieczna, wiedziała jednak i to, że w ich małym mieście mieszka znający się na leczeniu człowiek, który sprzedaje skuteczne mieszanki ziołowe i inne medykamenty.

Za pierścionek lichwiarz dał jej tyle, że starczyło na trzy opakowania leku. Kiedy okazało się, że siostra potrzebuje więcej, Shafir okazał dobrą wolę i dołożył. Teraz jednak, gdy siostra wciąż chorowała, trzeba było sięgnąć po złoty naszyjnik.

Shafir podszedł w końcu do żelaznej skrzyni i zaczął w niej grzebać. Po chwili wyjął skórzaną sakiewkę i odliczył kilka lśniących monet.

- Osiemnaście rzymskich sestercji! Bierz albo nie, jak ci się podoba!

Podsunał jej papier, na  
którym drżącą ręką wypisała  
swoje imię. Biedaczka  
jęknęła, chowając pieniądze za  
stanikiem. Wiedziała, że  
prawdopodobnie po raz  
ostatni widzi ukochany  
naszyjnik. Zaczęła żałować  
tego, co się stało, jeszcze  
zanim wyszła od lichwiarza.  
Mąż na pewno i tak wszystko  
odkryje, jeśli nie stanie się  
jakiś cud i ona nie zdobędzie  
pieniędzy, by wykupić  
klejnoty od lichwiarza. Teraz  
jednak musi się  
opanować i pospiesznie  
ruszyć do medyka mieszkającego  
niedaleko świętego źródła  
Zemzem, a potem biec do siostry,  
która leży trawiona gorączką.  
I musi zdążyć do domu  
przed powrotem męża, a  
wcześniej jeszcze wymyślić  
jakieś tłumaczenie, czym to  
się zajmowała przez cały dzień.

### 3

Ileż to razy zastanawiała się nad swoim imieniem.

Filia.

W języku Rzymian znaczy ono tyle co „córka”, tak przynajmniej zdołała wyjaśnić ciotka. I wiedziała też, że to imię dała jej matka. To szczerze mówiąc dziwne, że ojciec się na nie zgodził.

Nikt przecież nie nadaje swoim dzieciom takich obcych, krótkich imion!

Kiedy była mała, układała sobie pioseneczki:

Filia-filias-filius...

A ciotka śmiała się i uczestniczyła w zabawie, przeważnie w tych wyzłoconych blaskiem wieczoru chwilach między zachodem słońca a powrotem Shafira z miasta. Bywało, że inne niewolnice także się przyłączały, uśmiechy na ich twarzach były czymś tak niezwykle rzadkim, że Filia postanowiła ponadawać im na te okazje nowe imiona. Shariz stała się Sheri, Belij zmieniła w Bec. Podobało im się to, przyjmowały nowe imiona i kłaniały się głęboko: To będą ich tajne imiona, zapewniały. Imiona wolności, imiona, o których nie wszyscy wiedzą.

Filia była najmłodszą córką gospodarza tego domu. Dorastała pośród niewolników w pełnym przeciągów budynku na tyłach ogrodów Shafira. Pośród wielbłądów, osłów, kilku koni i wielkich ilości domowego ptactwa spędziła pierwsze cztery lata życia,

uczepiona piersi ciotki lub koszuli kuzyna Jahiza. Cud najwyższy, że przetrwała te lata mimo nieustannych chorób i nieszczęść. Była dzieckiem pechowym, trzecią z kolei córką, tą, która przy urodzeniu odebrała życie matce. Mówiono, że upadek, do jakiego doszło w tak krótkim czasie w bogatej przedtem posiadłości, miał coś wspólnego właśnie z nią. Ludzie słyszeli pełne goryczy słowa Shafira wypowiedane nad kubkiem wina: jeśli bogowie są litościwi, to mała powinna umrzeć młodo. Dla niej na pewno nie trzeba szykować posagu!

Teraz Filia siedziała zamyślona i mieszała w garnku drobną kaszę. Należało ugotować ją w wielbłądzim mleku, a następnie posłodzić, dokładając suszonych daktyli. Kiedy wszystko wystygnie, doda się jajka. Potem Filia uformuje małe kulki, które upiecze na mocno rozgrzanej nad ogniem kamiennej płycie.

Jak daleko Filia sięga pamięcią, piekli takie ciasteczka, żeby potajemnie świętować różne uroczystości. Wspaniałe zapach z kuchni na tyłach ogrodu docierał pewnie aż do pokojów Shafira, ale on nigdy niczego nie odkrył.

Cieszyło to niewolników niemal tak samo jak delikatny smak pysznych wypieków.

Niewolnicy nie odważyliby się ruszyć jajek ze skrzynki Shafira. Chociaż on sam nigdy nie postawił stopy w pobliżu miejsc, gdzie gniazdowały kury, to wszyscy bali się jego długiego nosa. Nosa, który wprawdzie nie wyczuwał zapachu ciastek z kuchni, ale zapach pieniędzy poczułby na drugim krańcu pustyni!

Filia wiedziała, że ona, jako córka gospodarza, powinna dbać o interesy ojca i pilnować niewolników tak, jak się pilnuje niewolników. Shafir bardzo wcze-

śnie z nią o tym rozmawiał, a ona potulnie kiwała głową. Miała zaledwie cztery lata, kiedy ojciec wcisnął jej w rękę zrobiony z ośleń skóry bicz i kazał wychłostać niewolnika odpowiedzialnego za przynoszenie wody.

Nieszczęsny człowiek zaspał i nie napełnił w porę dzbana przy umywalni Shafira.

Filia do tej pory nie zapomniała, że w pierwszej chwili była śmiertelnie przerażona, bicz cuchnął starym potem i czymś jeszcze, czymś bardzo groźnym, wycięto go z niezwykle twardej skóry.

Ojciec trzymał jej rękę, zaciskał na jej pulchnej, dziecięcej piąstce swoje chude, szponiaste palce.

Pierwsze razy były niepewne, spadły na ramiona niewolnika z niewielką siłą.

Ojciec ryknął wściekle, Filia na zawsze zapamiętała strach, który kazał jej wysoko unosić bicz i uderzać z całych sił. Krzyczała głośno, uderzała i krzyczała, dopóki plecy nieszczęsnego człowieka nie spłynęły krwią, a wtedy na twarzy ojca pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. Uśmiechał się do niej.

Jego oczy były wprawdzie pozbawione blasku, ale otwarte. A ona zaciskała palce na uchwycie bicia tak mocno, że trzeba je było rozwierać siłą; ojciec natychmiast też wezwał kobiety, żeby zajęły się krwawiącym nosicielem wody.

Przybiegły z kojącymi maściami, trzeba przecież chronić życie niewolnika.

Shafir osobiście nabrał maści na czubek noża i posmarował nią czerwone pęcherze na rączkach dziewczynki.

Ślady po tych pęcherzach zostały jej na całe życie.

Zwłaszcza kiedy marznie, stają się wyraźnie widoczne. Ręce robią się wtedy dziwnie czerwone, pod-



czas gdy miejsca po pęcherzach zachowują swoją złotawą, jasną barwę.

Masa w garnku gotowała się z wolna. Filia dodawała raz po raz kawałki daktyli. Przydałoby się też trochę migdałów, pomyślała. I miodu.

Rzadko jednak niewolnicy mieli okazję zdobyć te wspaniałe produkty. Z daktylami łatwiej, można ich sporo znaleźć, kiedy się już po zbiorach uważnie przeszukuje gaj palmowy. Natomiast jaja znajduje się na ugorze, za polem cebuli, gdzie gniazduje wiele różnych ptaków.

Ciemna kamienna płyta była nagrzana od słońca, poza tym Filia porządnie pod nią napaliła, wciąż dokładała kawałki torfu i suche drwa. Żar nie mógł ani na chwilę wygasnąć. Pilnowała go Om, mała niewolnica, córka nosiciela wody i jednej z kobiet, która czuwała przy Nimat tamtej nocy, gdy Filia przyszła na świat.

Teraz żadnej z nich nie było już na świecie. Inne kobiety zajmowały się domem, doglądały ogrodów i szykowały jedzenie dla Shafira.

Filia odsunęła saganek na bok i przykryła go ścierką, żeby muchy nie dostały się do pysznej potrawy. Flavinia przyniesie jajka, gdy tylko wydobędzie je z tajnego schowka niedaleko starej dziurawej cysterny na wodę. Przechowywano je tam ukryte w mieszaninie wiórków i piasku, głęboko, w chłodnej ziemi.

Dzisiaj przyjaciele Jahiza będą czcić pierwszy dzień jego wolności.

Ciastka Filii, wino Flavinii, pieśni niewolnic i owoce, które Jahiz obiecał przynieść swojej małej kuzynce za pierwsze pieniądze, które zarobi jako wolny człowiek.

- Dzisiaj, kiedy opuszczę kantor Shafira, będą dźwięczeć w mojej kieszeni niczym świątynne dzwonki. A nawet jeśli oddam wszystko, co mam, tej chciwej świni,

to będę śpiewał przez całą drogę do kramu z owocami, a ty i tak dostaniesz swoje jabłko granatu, Filio!

Uśmiechała się leciutko na wspomnienie jego obietnic.

Jahiz zawsze tak pięknie mówi. Tyle uczucia wkłada w swoje słowa, niemal jak poeta. Plecy miał pokryte bliznami po kolejnych chłostach nakazanych przez jej ojca, a raz stracił nawet kawałek lewego ucha, ponieważ przewrócił wazon z kwiatami na jedną z tabliczek Shafira i woda zmyła wiele zapisków dotyczących dłużników lichwiarza. To w tamtym czasie Jahiz zaczął lekceważyć przestrogi matki i stawiać się Sha-firowi. Wyrósł pięknie i stał się wysokim mężczyzną. Na nic już były łyzy Flawinii, Jahiz nie zaniechał złośliwości i wciąż czynił jakieś szkody w domu wuja.

Obrywał na przykład kwiaty z drzew śliwkowych, żeby pozbawić je owoców.

Wypuszczał kury na świeżo obsiane grządki warzywne.

Dolewał oliwy do wapna, którym bielono fasadę domu, przez co farba wkrótce odpadała płatami i trzeba było malować od nowa. Kiedyś włożył nawet skorpiona do łóżka Shafira.

To właśnie wtedy Filia przyszła do niego wieczorem, żeby nasmarować jego rany chłodzącym olejkiem ze swego tajemniczego pucharu. Gdyby nie to, chłopak z pewnością by umarł, takie spuszczone mu lanie.

Serce jej drżało, kiedy tak wspominała. To, że Jahiz przeżył, było równie zdumiewające jak fakt, że ona sama jeszcze stąpa po tej ziemi. Oboje powinni już byli przemienić się w szkielety złożone głęboko pod darnią, może nawet w tym samym grobie, może powinni szczyrzyć do siebie zęby.

Ona była wprawdzie córką pana domu, ale mimo to, zgodnie z jego słowami, należała do niewolników.

Jahiz był siostrzeńcem zmarłej żony Shafira, ale z powodu nieszczęścia, jakie spotkało matkę, stanowił jego własność.

Żadne z nich nie posiadało jakiegokolwiek wartości. Żadne nie było w stanie, tak jak siostry Filii, zwrócić ojcu wszystkiego, co na nie wydał. Dhermia została bogatą wdową, gdy jej mąż zmarł bezpotomnie. Haliza natomiast potrafiła tak pokierować swoim narzeczonym, by robił z Shafirem korzystne dla tego ostatniego interesy. Choć przecież Haliza szczerze nienawidziła swego ojca i poprzysięgła w skrytości, że pewnego dnia poderżnie mu gardło.

Do oczu pochylonej nad rozgrzaną płytą Filii spływały krople potu. Wciąż ocierała czoło wierzchem dłoni, nie zdawała sobie sprawy, że zrobiło się czarne od sadzy.

Dlatego nie pojęła niespodziewanego wybuchu śmiechu małej Om, gdy ta na chwilę weszła pod dach, by napić się wody ze stojącego zawsze przy jej posłaniu dzbanka.

- Wyglądasz jak zły duch pustyni! Uuuu! Kogo zamierzasz zamordować, zły dzinnie?

Filia wysunęła ku dziewczynce zakrzywione niczym szpony palce, poczuła jednak przy tym bolesne ukłucie w sercu.

Mała Om śmieje się tak rzadko.

Ale ten dzień, ten naprawdę cudowny dzień, został stworzony przez bogów dla radości i słodyczy.

Jahiz miał odzyskać wolność.

Głęboko na dnie serca Filii czaił się wprawdzie ponury lęk, choć przyznawała, że słowa ciotki nie pozbawione są rozsądku.

Pieniądze Jahiza mogą skusić Shafira.

A przy tym dalsze trzymanie w domu buńczucznego siostrzeńca i jego nieobliczalnej matki nie było konieczne. Teraz oto nadarzała się okazja pozbycia się obojga i jeszcze zarobienia na tym. To powinno przesądzić sprawę, choć na pewno będzie wykrzykiwał, że spadają nań same kłopoty, bo musi teraz szukać na miejsce Flavinii nowej, pewnie drogiej kobiety do prowadzenia domu. Gdyby najmłodsza córka była zdrowa, mógłby zaoszczędzić te pieniądze. Kto jednak zdecydowałby się powierzyć niedorozwiniętej, chorej dziewczynie taką odpowiedzialność?

Sama nie wiedziała nawet teraz, kiedy była już dorosłą kobietą, czy te surowe słowa ojca ją zraniły, czy raczej sprawiły ulgę. Zresztą wcale nie lubiła sypiać w tym wielkim, pustym domu, na którym zawsze ciążyła atmosfera smutku. Nie chciałyby jadać posiłków w towarzystwie ojca, myśl o tym była trudna do zniesienia.

Ale znaleźć się poza wiecznym smrodem i chmarami brzęczących much też byłoby miło. Mimo wszystko jednak to tutaj było miejsce Filii, wraz z ciotką i Jahizem unikała tym sposobem widoku ojca przez większą część życia od czasu, gdy była na tyle duża, by ją karano za każdy niewłaściwy postępek.

Niewolnicą jednak nie była.

Pierścień na palcu wykonano ze szczerego złota, przed nią należał do matki, a jeszcze wcześniej do babki.

Filia uśmiechnęła się do Om, a tamta odgarnęła znad czoła brudne włosy.

- Myślisz, że tej nocy będziemy tańczyć?

Filia skinęła głową.

- Może. Jeśli ojciec dzisiaj też wyjdzie z domu, bę-

dzie można wyjąć bębni i flet. Trzeba jednak zachować ostrożność...

Dziecko przytaknęło. Popatrzyło przed siebie, na coraz niższe słońce, które lada moment zniknie za murem i pograży całą ogrodową kuchnię w przyjemnym mroku.

- Niebezpiecznie tu będzie, kiedy wy wszyscy wyjedziecie.

Filia spojrzała na małą.

Oczy niewolnicy były suche, nikt nie widział Om płaczącej od dnia, gdy umarła jej matka.

- Niebezpiecznie?

Om skinęła poważnie.

- Tak. Widziałam to w moim kubku. A ty w swoim coś widziałaś?

Filia zadrżała. Po raz pierwszy Om odważyła się wspomnieć kuchenne tajemnice. Dziewczynka nie wiedziała, rzecz jasna, czym w istocie jest to naczynie, widziała jednak, jak Filia naciera je w środku sadzą, i słyszała jej ciche mamrotanie.

- Jahiz mówi, że możesz wywoływać duchy ze swojego pucharu, jeśli tylko zechcesz. Że jeśli ktoś znowu chciałby cię zranić... to możesz je prosić, by go zabiły!

Filia była zdumiona śmiertelnie niebezpiecznymi słowami dziewczynki. Nie ulegało wątpliwości, jakiego to krzywdziciela miała na myśli. Jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek zranił Filię, był jej rodzony ojciec.

Pan i właściciel Om!

Dla niewolnika, który wypowiada takie słowa, nie ma litości. Jako córka właściciela domu Filia powinna była się postarać, by małą niewolnicą natychmiast uciszono. Może życie dziewczynki zostałoby oszczędzone, z pewnością jednak wyrwano by jej język.

Om spuściła wzrok. Oblizwała suche wargi. Bała się. Być może pomyślała o tym samym, cofnęła pospiesznie język i zacisnęła usta.

Filia poczuła, że narasta w niej lęk.

Co się stanie z nią samą, kiedy Jahiz i Flavinia już wyjadą? Czy ma takie same powody do obaw jak Om?

Napiła się letniej wody z kubka. Ciecz laskotała ją w krtani tak jak wtedy, kiedy się człowiekowi zbiera na płacz.

- Będziemy ich często odwiedzać. Nie wyjadą przecież daleko! Hab-el-Dulla leży nie dalej niż pół dnia drogi stąd. Znajdziemy sobie tam interesy do załatwiania, zobaczysz.

Om nadal wpatrywała się w udeptany, szary piasek.

- W takim razie ty nie zaglądałaś do swego pucharu. Nie masz o niczym pojęcia, Filia.

Zdumiona niezwykłym uporem dziecka, Filia wstała i odsunęła kuchenną zasłonę. W głębi panował mrok, nie rozpalano tam ognia, chyba że rozpętała się burza i deszcz. Pomieszczenie było używane głównie jako przechowalnia mięsa. Po uboju bowiem nie można zostawiać niczego na świeżym powietrzu, zaraz na mięso spadają chmary much.

Puchar stał na swoim miejscu.

Pomalowana na niebiesko półka w rogu była po prostu grubą deską przymocowaną do ściany.

Puchar stał tam razem z licznymi naczyniami z gliny, ze starymi cynowymi kuflami i puszkami do przechowywania czystej soli oraz suszonych ziół. Nie wyróżniał się pośród nich, choć miał przecież taki wyjątkowy kształt. Szarobrunatny, jak bywają stare naczynia z gliny, w których przechowywano nie najlepszej jakości oliwę.

Filia знаła jednak jego wartość.

Nigdy nie zapomni tej nocy, kiedy w uśpionym domu Flavinia zaprowadziła ją do kuchni i zapaliła małą oliwą lampkę, a potem w jej blasku ostrożnie zdrapała odrobinę osadu z wnętrza pucharu.

Złoto.

Filia wciąż pamiętała, jak chybotliwy płomyk lampki mienił się w śladach paznokcia Flavinii.

Ów ślad odbijał się też w jej oczach - jak w zwierciadle.

A historia, którą opowiedziała Flavinia, była i niewiarygodna, i bardzo, ale to bardzo piękna.

Od tamtej nocy Filia wielokrotnie szukała pociechy w pucharze, zwłaszcza, kiedy nie mogła spać. Mimo wszystko nie zdrowiała. Wprost przeciwnie, ataki zdarzały się tym częściej, im bardziej przyglądała się pucharowi, im więcej go dotykała i poddawała się działaniu jego magii.

Bała się, że to ją kiedyś całkiem pochłonie.

Przerażało ją też, że jej marzenia na jawie tak bardzo zlewały się ze strasznymi doznaniem podczas ataków.

Mimo to nie mogła przestać przyglądać się pucharowi.

On miał na nią dziwny wpływ, dzięki niemu miewała też dobre sny. Poza tym był jej jedynym dziedzictwem, jej tajemnym spadkiem po matce.

Flavinia szeptała jej tamtej nocy cicho:

- Nasza mama nie wiedziała, której z nas powinna przekazać klejnot. W końcu jednak, kiedy zabrakło już ciotki Kirfy i innych, trafił do Nimat. Myślę, że ona nigdy nie pojęła, że to puchar ją wybrał... mimo to musiała przeczekać, że nie powinien należeć do żadnej z twoich sióstr.

Filia dotknęła ostrożnie brudnej powierzchni pucharu i z drzeniem wciągała powietrze do płuc.

O, niech dobre duchy będą w tej chwili przy Jahizie!

Czy on nadal siedzi przy tym wielkim, ciężkim stole, przy którym jej ojciec przyjmował swoich dłużników?

Czy może w tym właśnie momencie jest w drodze do domu, niesie dobre wiadomości i obiecane jabłko granatu?

Ostrożnie wsunęła jeden palec do pucharu, poczuła gęsty olej migdałowy. Olej był chroniony cienką warstwą wosku, łamaną za każdym razem, kiedy Filia potrzebowała olejku do maści lub perfum, które robiła z kwitnących w ogrodzie róż.

Teraz rozsmarowała olejek na wargach. Wypiła już dużo wody, a mimo to wciąż odczuwała pragnienie.

Niepokój rozrastał się w jej duszy, kiedy usiadła w kącie z pucharem w rękach. Obejmowała go mocno, ale palce miała zbyt krótkie, by go całkiem ukryć.

Zbliżający się atak dał o sobie znać szumem w uszach, jakby nad jej głową unosił się rój pszczół. Wkrótce przed oczyma pojawiły się gwałtowne błyski, niczym wybuchające gwiazdy. Czuła, że nogi jej się trzęsą, w ślad za tym nadeszły pierwsze spazmy.

Wiecznie czuwający w kącie niewolnik poruszał tak samo miarowo wachlarzem, choć czerwona twarz Shafira zdawała się domagać większej ochłody.

- Ty bezczelny synu skorpion! Po tych wszystkich latach, kiedy płaciłem za każdy kęs, jaki wkładałeś do ust, przychodzisz tu i oznajmiasz mi, że zasłużyłeś sobie na wolność? Zarobiłeś jakieś pieniądze?

Jahiz był przygotowany na podobną reakcję Shafira, nie przewidział jednak, że ten nie zechce czynić



różnicy między zwyczajnym niewolnikiem a własnym siostrzeńcem.

- Nie byłem przez te lata niewolnikiem, zostałem ci tylko oddany, ale nie w niewole! Służę ci od dwudziestu lat, stałem się tymczasem dorosłym mężczyzną. Moja matka oddała tobie i twojemu domowi wszystkie swoje siły. Zestarzała się przy tym, jestem teraz za nią odpowiedzialny. Musisz nam pozwolić wyjechać!

- Nigdy! Raczej chwycę miecz i obojgu wam odrąbię głowy, podstępne źmije!

Jahiz starał się, by jego głos brzmiał czysto i spokojnie. Kiedy jednak Shafir naprawdę złapał za miecz, mimo woli odskoczył parę kroków, ku drzwiom.

Shafir doskonale wiedział, że gdyby spełnił pogrożki i zabił Jahiza na miejscu, nie miałyby to dla niego żadnych nieprzyjemnych następstw.

- Natychmiast wracaj do swojego warsztatu tkackiego, ty nędzny szczurze! I niech ci nigdy nie przyjdzie do głowy, że masz jakieś prawa, bo urodziłeś się w moim domu jako bękart! Wziąłem na siebie hańbę twojej matki, jest mi ona winna więcej niż życie! Cóż za bezczelność, co za...

Jahiz ledwie uskoczył, cios nie był obliczony na to, by zabić, ale koszulę mu podarł.

- Opróżnij kieszenie, nędzny psie! Pokaż, co jeszcze mi ukradłeś przez te lata!

Machał mieczem i coraz bardziej darł ubranie na Jahizie. Wiedział, gdzie znajdują się kieszenie, pod tym względem znał pewnie ubrania wszystkich ludzi.

Jahiz wydobyl trzy rzymskie monety, na tyle wartościowe, że Shafir natychmiast zmrużył oczy.

- Zdrajca! - syknął i przytknąwszy czubek miecza do piersi Jahiza, popychał chłopca do ściany. - Jeśli

chcesz, żeby twoja matka uszła z tego z życiem, to powinieneś być na tyle rozsądny, by pracować dwa razy tak pilnie przy swoim warsztacie, dni i noce! A od tej chwili to już ja zadbam, by wasze dywany były sprzedawane porządnym kupcom za odpowiednią cenę! Co ty sobie myślisz, że kim ty właściwie jesteś?

Jahiz jęknął, ostry ból przekonał go, że miecz przeciął nie tylko ubranie, lecz także skórę.

- Jestem siostrzeńcem twojej małżonki, Shafir! Jestem jedynym, który mógłby przedłużyć trwanie twojego rodu!

Było rzeczą wielce niebezpieczną wypowiadać takie słowa wobec Shafira.

Ale one jakby same z siebie wyślizgnęły się z ust Ja-hiza i pomknęły na skrzydłach gniewu i wściekłości.

Lichwiarz wbił ostrze w pierś młodzieńca. Z głośnym krzykiem wyszarpnął je z powrotem, szykując się do następnego ciosu.

Krew malowała wielkie anemony na szacie Jahiza.

Splunął, zachwiał się i przycisnął rękę do rany, krzycząc przy tym do wuja:

- Zadźgaj mnie po prostu na śmierć, ty chciwa kreaturo pozbawiona honoru! W takim razie jednak nigdy nie poznasz prawdy o zakażonej krwi w twoich żyłach. Prawdy o tym, dlaczego nigdy nie mógłbyś zostać ojcem syna!

Shafir zastygł z ręką uniesioną do rozstrzygającego, śmiertelnego ciosu.

Mrużąc oczy, wpatrywał się w Jahiza.

Wzrok miał rozbiegany.

Moment wahania trwał akurat tak długo, by ranny młodzieniec mógł przemknąć pod ręką lichwiarza i rzucić się do drzwi.

Na zewnątrz, wśród czekających ludzi, Shafir się z pewnością opamięta. Wielkiej kary za zabójstwo siostrzeńca chyba by nie poniósł, nie uniknąłby jednak ludzkiego gadania.

Jahiz zatrzasnął za sobą drzwi i osunął się na ziemię pod murem.

Nikt do niego nie podszedł, gdy ostrożnie podciągał szatę, by obejrzyć ranę.

Teraz już tak bardzo nie krwawiła.

Wstał i potykając się, usiłował biec w stronę wschodniej bramy miasta. Nikt go nie zatrzymywał, słyszał jednak za sobą głośne wołania.

Czuł, że oddech ma coraz krótszy, że jego zazwyczaj takie silne nogi dygoczą teraz jak po długim biegu. Rany piekły, ale można to było znieść.

Zdoła się chyba ukryć, nim zamieszanie na rynku opadnie i nim Shafir wyśle za nim pościg.

Tuż za miejskimi murami, gdzie drogi były wąskie i częściowo zarośnięte krzakami, znalazł uschnięte drzewo, pod którym mógł odpocząć. Szorstka kora drapała go w plecy, ale ta niewygodna sprzyjała klarowności myśli i rozpaliała jeszcze większą nienawiść.

Patrzył w stronę przełęczy między górami, wiele obiecującej drogi w świat. On już nigdy tamtędy nie przejdzie, nigdy nie zobaczy, co się kryje za czterema pasażami w górzystym krajobrazie.

Blizny po dawnych uderzeniach bicia Shafira bolały go bardziej niż najświeższa rana, jaką mu lichwiarz zadał.

Jahiz milczał i przymykał oczy, bo jasne migotliwe światło je raziło.

Nie było możliwości ucieczki.

Z Mekki wiodły w świat cztery drogi, ale wszyst-

kie były tak samo pilnie strzeżone. Zresztą i Shafir zechce pewnie przy każdej z nich umieścić swoich ludzi. A ranny Jahiz nie dalby sobie rady w górach, zgubiłby się na nieznanym ścieżkach.

Nie mógł nadal uciekać. W mieście z pewnością niedługo wpadnie znowu w łapy Shafira.

Nie miał wyjścia, ani w tę, ani w tamtą stronę.

Jahiz opuścił rękę. Rana natychmiast zaczęła znowu krwawić.

Plama na piasku stawała się coraz większa, we mgle przesłaniającej mu wzrok wyraźnie dostrzegł postać Filii.

Wyciągała ku niemu ramiona, jakby chciała mu pomóc. Zaraz jednak rozplynęła się w rozedrganym powietrzu.

„Nie odchodź ode mnie”, zdawały się mówić jej oczy.

Chciał odpowiedzieć, chciał ująć jej wyciągnięte ręce, ale zachował jeszcze tyle rozsądku, by wiedzieć, że te niosące ukojenie pieśczoły są wytworem jego wyobraźni.

Czuł, że zaraz zemdleje. Czerwona ciemność wsysała go, ciało uspokoiło się, nie odczuwało już ani tęsknoty, ani bólu. Szum w uszach narastał i przypominał teraz wzburzone morze, takie jakie słyszał w dzieciństwie, kiedy przykładł do ucha wielką muszlę.

Bo morza nigdy w życiu nie widział.

Filia także nie.

Z piaskiem zgrzytającym w zębach oderwał jeszcze jeden pas ze swojej szaty, zrobił z niego twardą kulę i z całej siły wepchnął w ranę pod lewą piersią.

Oczy Flavinii zgasły w tym samym momencie, kiedy dowiedziała się o złym postępku swego syna. Nie tylko pochyliła głowę, widząc straszny gniew Shafi-ra, ale upadła przed szwagrem na kolana.

- Na pamięć mojej ukochanej siostry Nimat, da rój mojemu dziecku... oszczędź Filię... ona o niczym nie wiedziała! Zabij raczej mnie, ale Filia jest twoją córką, a poza tym o niczym nie wiedziała!

Lichwiarz zapowiedział, że zażąda skazania obu kobiet na śmierć za oszustwo.

Jahiza, mówił, zamordował własnymi rękami, ale kobiety, jak nakazuje stary zwyczaj, staną przed sądem, a wyrok będzie wykonany również zgodnie z obyczajem: obie zostaną zakopane w ziemi aż po szyje i pozostawione same sobie.

Kopał Flawinę, włókł ją po pięknej mozaikowej podłodze, nagle stanął, jakby wyczuł, że zbliża się pustylny wiatr.

- Wstawaj, kobieto! I sprowadź mi tu natychmiast moją najmłodszą córkę!

Flavinia nie była już w stanie powtarzać swoich próśb, wargi były opuchnięte i zlepione. Poczłgała się w stronę drzwi, nie miała wątpliwości, że jedna noga jest złamana. W jakiś sposób jednak udało jej się wyjść, by wypełnić polecenie pana.

A kiedy już obie klęczały przed nim, ogłosił im swoją decyzję.

Wręczył Flavinii sztylet i polecił jej zabić Filię.

- Twojego nędznego syna zadźgałem na śmierć. A teraz ty, niewolnico, masz udowodnić, że posiadasz honor i na mój rozkaz masz zabić moją córkę.

Zaśmiał się szyderczo, widząc wypolerowaną, lśniąca broń w rękach Flavinii.

Filia wbiła wzrok w mozaikę na podłodze i zdała sobie sprawę, że rdzawa barwa wypełniająca zagłębienia wokół każdej pokrytej glazurą glinianej płytki to musi być krew.

Słyszała głos ojca, nierzeczywisty jak zawsze, i myślała, jaka to szkoda, że nie zdążyła ukryć pucharu w schowku na świeże jaja.

Flavinia jęczała i szeptała stare modły swojego plemienia. Bogowie jednak milczeli, już od bardzo dawna w domu Shafira nikt nie starał się zdobyć ich przychylności, nikt nie składał w ofierze ptaków ani małych cieląt.

Filia leżała, przyciskając czoło do zimnej podłogi, i z dziwnym spokojem myślała, co się teraz stanie. Wszystko było jak zły sen, jakby żyjące na gorącej pustyni duchy nagle postanowiły przemienić jej serce w czarną, zwęgloną kulę.

Myślała o Jahizie, który już na nią czekał w świecie, o którym wciąż szeptał puchar.

W świecie, w którym ogrody nigdy nie wysychają, a kwiaty nie więdną, gdzie burze piaskowe nigdy nie oślepiają ludzi i nie zasypują ich ust tak, że biedacy się duszą.

Nie obawiała się też ciosu. Wiedziała, że w tej pozycji, w jakiej leży, włosy ścielą się na podłodze i kark ma odsłonięty.

Flavinia już tylekroć ratowała jej życie.

W gruncie rzeczy więc nie ma nic dziwnego w tym, że teraz to ona została postawiona, by niejako odebrać dług.

Lichwiarz jest człowiekiem pozbawionym krzty miłosierdzia, tę prawdę Filia знаła przez całe swoje życie.

Słyszała świszczący oddech ciotki.

Czuła zapach krwi we włosach Flavinii.

- Raczej sama z tobą umrę - powiedziała ciotka łagodnie. Jej ramię spoczęło na barku Filii, Flavinia przytuliła twarz do policzka siostrzenicy. Tak objęte leżały z zamkniętymi oczyma bardzo długo, dopóki nie usłyszały oddalających się kroków Shafira.

Wtedy Flavinia zaczęła dygotać.

Tej samej nocy umarła, a Filia postanowiła, że już nigdy nie będzie spać.

Trzecia bezsenna noc była ciemna, bez księżyca.

Filia czekała, aż dom całkiem się uciszy.

Puchar na półce trwał w milczeniu od chwili, gdy Flavinia skoła. Filia przypuszczała, że on również jest martwy. Głos, który w nim mieszkał, te niezwykle duchy, to pewnie był tylko przesycony miłością oddech Flavinii, to on szeptał do ucha Filii.

Niewolnicy udali się na spoczynek, ciche chrapania dochodziły z szop, w których sypiali. Filia miała nadzieję, że ojciec również pogasił swoje lampy.

Mimo wszystko czekała jeszcze, aż umilkną nocne ptaki i zapadnie najgłębsza ciemność.

Dopiero wtedy wzięła zawiniątko z szarym proszkiem i wyspała sporą porcję do tego tajemniczego płynu, o którym wiedziała, że ojciec go od czasu do czasu popija.

Proszek powstał z wysuszonej i zmielonej kamien-

nej rośliny. Niedużej i upartej, wyrastającej wprost z kamiennego gruntu w miejscach, gdzie nawet akacje musiały dać za wygraną, biorącej nazwę po części z tego swojego uporcu, a po części pewnie stąd, że jej liście miały barwę i twardość szarej skały. Kamienna roślina, tak o niej mówiono.

Proszek przywracał blask starym srebrnym przedmiotom, ale był taki trujący, że Flavinia nigdy nie brała gołymi palcami tej szczypty, którą należało zmieszać z dziesięcioma częściami mielonych skorup orzecha, dziesięcioma częściami soli, dziesięcioma częściami delikatnego piasku i kubkiem octu, żeby powstał środek do czyszczenia.

Filia dobrze wiedziała, że jeśli połączy proszek z samą tylko wodą i zamiesza palcem, to natychmiast skóra zrobi się czerwona i popękana.

A jak trucizna zadziała, kiedy ojciec ją wypije, mogła sobie tylko wyobrazić. A może on jest odporny, skoro pija tę czystą ciecz, której inni ludzie boją się nawet dotknąć? Ciecz sporządzano z wina, ale tajemnicę posiadli jedynie znajdujący się na destylacji. Ciecz pali się czystym płomieniem w lampach, ale można też w niej zachować egipskie skarabeusze na wieczny czas. Ponadto znacznie lepiej niż oliwa utrzymuje zapach płatków róż, a co więcej, jej woń bardzo szybko wyparowuje ze skóry, podczas gdy zapach róż zostaje.

Shafir to jedyny znany Filii człowiek, który miał odwagę pić tę ciecz. Stawał się po paru łykach bardziej oszołomiony niż po wielu kubkach wina.

Spodziewała się, że dzisiejszej nocy ojciec sięgnie po ten dziwny napój, postarała się przecież, żeby go zdenerwować.

Kiedy bezszelestnie przemykała po pięknych podło-



gach i bez światła dotarła do wielkiej chińskiej szafy, serce tłuło jej się tak, że bała się, iż słycać je w całym domu. Nikt się jednak nie pojawił i bez trudu znalazła piękną karafkę ukrytą za rzędami woskowych tabliczek.

Przechodząc ponownie przez wąską bramę w murze oddzielającym pomieszczenia dla niewolników i ogrody warzywne od pięknych pokoi głównego domu, usłyszała ryk osła.

Oddechnęła i usiadła w niskiej izbie, żeby odpocząć, delikatnie głaskała puchar, jakby chciała go obudzić do nowego życia.

Siedziała tak, dopóki nie nadszedł ranek i Om nie wpuściła słonecznego światła do pomieszczenia, odsuwając tkane przez Flawinę zasłony w oknach. Filia dotzymała obietnicy.

Nigdy więcej w tym domu nie zaśnie.

Oczy ją piekły, jakby wypełnione piaskiem, głowa ciążyła. W jej żyłach jednak nadal krążyła krew, wciąż miała dość siły, by pójść z nosicielem wody aż do odległego miejskiego źródła.

Trucizna była przygotowana, teraz trzeba się postarać, by Shafir po nią sięgnął. Trzeba go zdenerwować.

Pod płaskimi dachami, gdzie lichwiarz przyjmował swoich interesantów, panował niepokój. Ludzie jak zawsze stali w kolejce przed drzwiami Shafira.

Odważnie do nich podeszła, wiedziała, że prawdopodobnie o niej słyszeli. Chociaż nigdy nie pokazywała się na rynku ani na miejscu ofiarnym, większość mieszkańców z pewnością ją rozpoznawała.

Szaloną córkę lichwiarza, tę, która nosi w sobie złego ducha i pada w konwulsjach na ziemię, kiedy on chce się wydostać na zewnątrz.

Przed wejściem przystanąła. Naczynie, które przy-

niosła, zadźwięczało dziwnie, kiedy postawiła je pod daszkiem na kamiennej półce.

Filia zaczęła wrzeszczeć z całych sił, zrywając jednocześnie z siebie ubranie. Prerażeni ludzie cofali się, dokładnie tak, jak przypuszczała. Kilka kobiet uciekało w popłochu przez plac, by znaleźć się jak najdalej od złych duchów, gdyby te zaczęły się wydobywać przez usta krzyczącej dziewczyny.

Kiedy w końcu pojawił się niewolnik ojca, by przywrócić porządek, Filia zdążyła już zerwać z siebie ostatnią sztukę odzieży i cisnąć nią o drzwi. Niewolnik musiał stąpać po jej ubraniu.

- Teraz jestem naga niczym niewolnica, teraz możesz mnie zabić. Niech spłynie na ciebie hańba, ty, który nazywasz się moim ojcem, a który jesteś tylko workiem na lichwiarskie pieniądze!

Ponownie ujęła naczynie i trzymała je przed sobą niczym tarczę.

Była to tak niesłychana obraza, że niewolnik stał z rozdziawioną gębą przez tych parę chwil, dopóki sam Shafir nie wyszedł z kantoru.

Filia dostrzegła w jego wzroku lodowaty gniew, lecz także to, na co w skrytości serca liczyła: błysk prawdziwego strachu na widok szaleństwa córki.

I wstyd!

Będzie w nocy potrzebował swego tajemniczego napoju, Filia spojrzała mu w oczy i stwierdziła, że już jej się powiodło, choć przecież widowisko nie dobiegło jeszcze końca.

Uniosła puchar nad głowę i krzyknęła coś w stronę jego oniemiałej twarzy.

Słowa starego przekleństwa odbijały się od ścian budynku niczym kamienie.

Filia wiedziała, że ludzie z plemion północnych je rozpoznają i przypomną sobie, że tego rodzaju zaklęcie skierowane do złych władców nie może być cofnięte. Tak przynajmniej twierdziła niewolnica Om.

Poczula nagle strumień zimnego powietrza na nagim ciele i zamilkła, by odetchnąć. Słońce zniknęło za chmurami.

Oczy ojca były teraz szeroko otwarte, wpatrywał się w jakiś punkt daleko poza jej głowę.

Filia zaczęła znowu krzyczeć i wtedy usłyszała, że ktoś mamrocze:

- Manat!\* Ona zwariowała, ale mieszka w niej bo gini!

Tłum padł natychmiast na kolana jakby rażony gromem. Ludzie klęczeli jedno przy drugim.

Dopiero długo po tym Filia poczuła lodowate strugi deszczu, który lał się z nieba na wysuszone ulice miasta.

Był to pierwszy deszcz od blisko dwudziestu lat.

I wtedy padły słowa:

- Nabiya! Ona jest nabiya...

- Ciii! Może być opętana przez potężnego džinna!

Filia zwróciła się w stronę tłumu. Deszcz lał się na jej głowę. Mokre włosy zwisały na piersiach niczym grube lśniące węże.

Pochyliła głowę. Po chwili dotarł do niej łoskot zbliżającego się grzmotu.

\*Manat, arabska bogini z czasów przedislamskich, później czczona jako jedna z córek Allacha, chociaż i Mahomet, i Koran przed tym przestrzegają - przypis autorki.

Serce w piersi biło spokojnie. Potrafiła zabić, ale nie więcej niż jeden raz.

- Jestem martwa! - wrzasnęła do ojca.

Pełne przerażenia oczy lichwiarza dodały odwagi najmniej lęklivym w tłumie

- Ona jest nabiya! Córka lichwiarza to nabiya, błagajmy ją o łaskę i przepowiednię!

Ojciec nadal nie mówił nic. Stał pod daszkiem, między kolumnami, i wpatrywał się w córkę, otoczoną teraz ludźmi.

- Nabiya! Córka bogini, która zmusiła niebo, by otworzyło się nad nami! Jak zdołałaś się tak długo ukrywać przed naszymi oczyma?

Filia widziała, jak błyskawice przecinają niebo, i uśmiechnęła się do siebie.

Może puchar mimo wszystko nie jest martwy?

Uniosła go wysoko ku szaroczarnym chmurom, by napelnić się deszczową wodą. Oliwa perliła się na powierzchni, a zapach, który się z niego unosił, najbardziej ze wszystkiego przypominał mirrę.

Nie mogła już dłużej widzieć twarzy ojca. Ukrył się za swoimi ciężkimi drzwiami, które zamknął na dwa spusty.

Tłum był teraz jak jedno potężne zwierzę.

Deszcz, który nagle spadł na ziemię, miał w ciągu najbliższych godzin spłynąć znowu na nich jako potężne rzeki z pobliskich gór.

Chociaż już raz w tym roku się zdarzyło, mimo że deszcz nie padał, iż rzeki spłynęły z gór i zostawiły po sobie dużą część miasta w ruinie. A takiej ulewy nie pamiętali najstarsi mieszkańcy, nawet bazarze z okolicznych plemion.

Zagłada mogła być bardzo, bardzo blisko.

Filia wpatrywała się w puchar, w którym, niczym chmury na burzowym niebie, pływały płamy sadzy.

Puchar zdawał się odzyskiwać swój blask. Przed oczyma Filii i przerażonego tłumu rozpuszczała się warstwa sadzy i gliny, ukazywały się piękne kamienie i lśniące złoto.

Filia próbowała ukryć i puchar, i swoje nagie ciało pod przemoczonym teraz ubraniem, które z siebie niedawno zdarła.

Kręciło jej się w głowie, ale była dumna niczym królowa - jakby to rzeczywiście jej wołanie otwarło niebios a i sprowadziło na ziemię deszcz.

Wciąż naga stała, czekając, aż woda oczyści puchar, aż będzie w jej pobielających, zmarzniętych palcach przypominał wykonane ludzką ręką słońce.

Tłum błagał ją, by powstrzymała deszcz. Radość z ożywczej wody przerodziła się w lęk przed powodzią, która może spłynąć na miasto z gór.

Jeśli ta naga kobieta nie okaże łaski i nie zamknie lejącego się z nieba strumienia.

Kiedy Filia w końcu zdołała się wyrwać tłumowi i wąskimi uliczkami wróciła do domu, niewolnica Om miała wszystko przygotowane.

Najpierw ludzie próbowali zatrzymać Filie, potem ciągnęli za nią niczym rozwrzeszczany ogon.

Aż do chwili, gdy ponownie uniosła puchar nad głową i posyłała im ostrzegawcze spojrzenia.

Wtedy zawrócili, śmiertelnie wystraszeni, że zechce skazać miasto na zagładę poprzez wywołanie kolejnego ulewnego deszczu.

Ale na razie deszcz nie padał, słońce było niemal tak samo piekące, jak przed gwałtownym załamaniem się pogody, a miasto szumiało od podnieconych głosów. Posłano wiadomość do kapłanów, ale równie szybko wieści dotarły na place handlowe, do karawan, do greckich domów tańca:

Została odkryta nowa wieszczka; szalona córka Shafira posiada magiczne naczynie ze złota, które daje jej władzę nad niebem i ziemią. Dopiero co wygłosiła wobec licznego tłumu wiele przepowiedni: o świętych mężach, którzy narodzą się w tym miejscu, o złych zdobywcach, którzy zagrożą mieszkańcom miasta, i o groźnej zarazie, która zostanie tu przywleczona przez przełęcz koło góry Ararat.

Tłum wypuścił ją bardzo niechętnie.

Teraz Filia miała nadzieję, że ojciec nie odważy się

wyjść na spotkanie ludzi, dopóki nie zapadnie ciemność.

Ona sama szukała schronienia w tajemnym kącie, tam gdzie Om postawiła ciasto na chleb, żeby wyrosło.

Poprzez zasłonę widziały obie strzęp nieba, a kiedy się ściemniło, zapłonęła tam na ciemnoniebieskim tle wielka, łatwo rozpoznawalna Wenus.

Om powiedziała:

- Powinnyśmy podążać za nią, ona bowiem jest córką bogów.

Filia przytaknęła. Uniosła wzrok ku niebu i uśmiechnęła się z wdzięcznością do Wenus, która, jak wiedziała, jest uosobieniem bogini Al-Uzza.

- Jutro zejdziemy na dół do Al-Kaba - powiedziała Filia.

Om spojrzała na nią przerażona.

Wtedy Filia opowiedziała jej, co się stało. Przez cały czas trzymała w objęciach puchar i głaskała go delikatnie, jak dziecko.

W końcu Om, oszołomiona niezwykłą historią, zasnęła.

Kiedy się rozwidniło, po Filię przyszedł niewolnik, który pilnował drzwi prowadzących do sypialni i pokoi Shafira.

Pan domu ma objawy jakiejś niebezpiecznej choroby.

Znaleziono go zakrwawionego na wąskich schodkach wygodki, był rozpalony od gorączki.

Posłano już po pozostałe córki Shafira, Dhermia pewnie niebawem nadejdzie ze swego domu w północnej części miasta, Haliza będzie musiała odbyć długą podróż szlakiem karawan z morskiego wybrzeża.

Niewolnik nie odważył się spojrzeć Filii w oczy i odskoczył jak oparzony, kiedy uniosła rękę, by odsunąć z czoła włosy.

- Muszę się ogarnąć, zanim pójde na spotkanie z ojcem - oznajmiła jakimś nieoczekiwanie władczym tonem.

Nabrała pewności, że trucizna działa, ale wiedziała też, że wydarzenia na placu poprzedniego dnia uczyniły to morderstwo niepotrzebnym.

Puchar był zimny i ciężki, jakby się opierał, kiedy stawiała go z powrotem na półce.

Przeniknął ją ostry ból, ustąpił jednak natychmiast, gdy spostrzegła, że rosły niewolnik wychodzi pospiesznie, a w jego oczach czai się lęk.

Teraz się jej boją. *Wszyscy!*

Jahiz nie słyszał grzmotów, nie widział tnących niebo błyskawic.

Leżał w niewielkim, zamkniętym pomieszczeniu, gdzieś w piwnicach pod placem targowym. Cuchnęło tu zgniłymi warzywami, ale było spokojnie i chłodno.

Obcy ludzie, którzy się nim zajęli, byli wyznawcami owej dziwnej, nowej tu wiary i powiedzieli, że za nic nie chcą pieniędzy, choć przecież opatrzyli mu rany i nakarmili tłustym, mocno przyprawionym wołowym rosółem.

Spoczywał na podłodze, oparty plecami o jakiś worek. Kiedy otworzono okienko wysoko w ścianie, zobaczył nogi przechodzących na górze ludzi. Nogi były ubłocone, a szaty przechodniów ociekały wodą.

Hałas z zewnątrz przekonał go, że znajduje się pod wielkim targiem ptaków, we wschodniej części miasta. Przypomniał sobie teraz, że słyszał od kogoś, iż to tutaj gnieźdzą się ci obcy żydowscy przybysze -mieszkają w małych kamiennych domkach, budowanych ciasno jeden przy drugim.



Oni sami nazywali siebie chrześcijanami, Jahiz słyszał, że wierzą w to, iż syn Boży, którego przyjście przepowiedzieli prorocy, narodził się w biednej rodzinie żydowskiej, a kiedy dorósł, został zamordowany przez Rzymian. Chrześcijanie twierdzili jednak, że ów syn Boży zmartwychwstał i przekazał swoim przyjaciołom wiadomość o przezwycięzeniu śmierci. Dlatego jego wyznawcy uważają, iż są nieśmiertelni, choć cesarz Rzymu morduje ich w całym cesarstwie jak muchy.

Oni się go jednak nie boją. Twierdzą, że są ludem Pana i że śmierć Nazarejczyka dała im świętą siłę, dzięki której mogą stawiać opór. Ich kobiety chodzą wyprostowane i najchętniej noszą rozpuszczone włosy. Są też zdolnymi lekarkami, ludzie gadają, że niektóre z nich potrafią zasklepić rany i oczyszczać wrzody po prostu gołymi rękami.

Może to dzięki temu zdołały zatamować krew płynącą z jego ran, kiedy znalazł się w ich domu? Jahiz był słaby, kręciło mu się w głowie, ale nie na tyle, by nie podnieść się lekko, kiedy ludzie przy kamiennym stole wymienili imię Shafira.

Oczyszczali słodkie korzenie, przebierali groch, obierali cebulę z uschłych warstw. W ten sposób przygotowywali nie sprzedane dzisiaj produkty, żeby łatwiej znalazły kupca jutro.

- Deszcz ustał na jej rozkaz. Nawet najśmielsi zatrzymali się, kiedy zagroziła, że znowu rozpęta ulewę!

- Jezu, miej nas w opiece... a co to za czarownica?

- To córka lichwiarza. Nie dostała nawet porządnego imienia. Mówią na nią Filia. Nosi przy sobie złoty puchar, w którym mieszkają potężne dzinny. Mienił się i lśnił niczym słońce, gdy go uniosła ku niebu...

Jedna z kobiet jęknęła głośno:

- Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Pozostali przyłączyli się do modlitwy.

Jahiz słuchał i marszczył brwi na te niezwykle słowa. Najwyraźniej nie prosili Boga o opiekę, lecz tylko o wybaczenie im wszystkiego złego, czego się sami dopuścili.

Czuł drapanie w gardle, ale bał się kaszleć. Bo pewnie gdyby ci ludzie przekonali się, że już odzyskał przytomność, przestaliby rozmawiać o wydarzeniach na rynku.

Jedna z kobiet oznajmiła:

- Powinniśmy pójść do jej domu i powiedzieć o cudzie, jaki Pan nam zesłał. Jeśli to prawda, że jest opętana przez złe duchy mieszkające w pucharze, to powinniśmy przedstawić jej naukę Mistrza i uwolnić ją!

Pozostali mamrotali coś niepewnie. W tym momencie Jahiz musiał dać im do zrozumienia, że słuchał rozmowy.

- Zaczekajcie! Ja ją znam! Filia nie ma w sobie żadnych złych duchów. Jest piękna, mądra i miła, i została mi przez bogów wyznaczona na żonę!

Przyglądali mu się z uwagą, ręce zastygły nad stołem.

- Znasz ją?

Jahiz powoli przymknął powieki.

- Tak. Bogu niech będą dzięki, że żyje, bo ten barbarzyńca, który jest jej ojcem, groził, że ją zabije! Kto ją teraz ochrania, skoro mnie przy niej nie ma...

Jedna z kobiet zdjęła brudny fartuch, którym była przewiązana w pasie, i podeszła do niego. Delikatnie pogładziła dłonią jego czoło.

- I znasz ten puchar? Kim ty właściwie jesteś? Jeszcze jedna kobieta zbliżyła się do rannego.

- Teraz cię poznaję. Kiedy cię znaleźliśmy, miałeś

taką zmienioną twarz, ale teraz widzę, że jesteś Jahiz, siostrzeniec lichwiarza. Więc to prawda, co ludzie gadali, że to sam Shafir przebił cię mieczem, kiedy chciałeś kupić sobie wolność?

Jahiz mógł tylko skinąć głową. Każdy ruch wywoływał palący ból w piersiach.

- Pomóżcie jej - wykrztusił. - Ona będzie w wielkim niebezpieczeństwie, jeśli Shafir się dowie, ile wart jest puchar...

Kobiety popatrzyły po sobie.

- Ty coś wiesz o tym pucharze?

- Przyprowadźcie ją tutaj. Z pucharem. I żeby nikt nie wiedział, że ona tu jest...

Kobiety naradzały się przez chwilę, w końcu starsza powiedziała:

- Poślemy do niej naszych mężczyzn, gdy tylko będziemy mieć pewność, że to bezpieczne.

Jahiz chciał protestować, chciał przekonywać, że czas nagli. Wszystko się w nim skręcało z pragnienia, by zapewnić Filii bezpieczne schronienie, nawet w lochach u owych dziwnych wyznawców Chrystusa.

- Bądźcie tak dobrzy - błagał. - Nie pozwólcie, by Shafir odebrał jej puchar, bo wtedy wszystko zostanie stracone...

Głos mu się załamał, gardło miał opuchnięte i suche.

Starsza z kobiet długo mu się przyglądała, zanim podeszła i podtrzymała mu głowę tak, żeby mógł się napić.

- W imię Jezusa... pójdziemy do niej. Dlatego, że tak mówisz, i dlatego, że tak ją kochasz. Być może sam Pan nam ciebie zesłał, byśmy przypomnieli sobie jego opowieść o miłosiernym Samarytaninie, który pomógł swemu rannemu wrogowi!

Jahiz chciał się uśmiechnąć w podzięcie, ale opadł bez sił na twardy worek.

Kobiety okryły go derką, jedna z młodszych wsunęła mu do ust słodkiego daktyla.

- Teraz odpoczywaj. Jeśli Bóg zechce, ona przyjdzie tu z nami. Ludzkie serce jest niczym pole, jeśli już raz miłość je przeorała, wtedy słowa Pana łatwiej zapuszczają w nim korzenie...

Nie rozumiał, o czym ta kobieta mówi, pojął jedynie, że oni naprawdę chcą przyprzewodzić Filię. Z ulgą zapadł w coś w rodzaju snu.

Natychmiast gdy tylko znachorki z beduińskich plemion oznajmiły, że Shafir został otruty, starszyzna miejska wszczęła badanie sprawy.

Lichwiarz był człowiekiem zniechęconym, w mieście aż się roiło od ludzi, którzy chętnie widzieliby go martwym, pochowanym pod skałą.

Nie minęło wiele czasu, a zaczęli się pojawiać ludzie z informacjami, które mogłyby pomóc odnaleźć mordercę. Pewien człowiek, Ibn Al-Harasni z plemienia Kuresz, doprowadził nawet przed oblicze rady własną małżonkę.

- Ona odwiedzała kobietę zajmującą się mieszaniem trucizn, to ona go zamordowała, bo nie chciał jej dać więcej pieniędzy za pewną złotą ozdobę, którą ukradła i wyniosła z mojego domu - twierdził ów wpływowy mężczyzna.

Najstarszy z rady dał mu znak, by sobie poszedł, kobieta jednak została przykuta do metalowej kraty w bramie.

Zjawili się też dwaj kupcy i donieśli o swoich podejrzeniach co do trzeciego, który właśnie nawiązał

kontakty z przewodnikiem karawan, z którym dotychczas oni handlowali.

Grecka tancerka krzyczała na całe miasto, że to ona otruła lichwiarza, nikt jednak jej nie słuchał, bo już dawniej przyznawała się do jakoby popełnionych morderstw po to, by przyciągnąć ludzi na swoje bezwstydną przedstawienia. Twierdziła ponadto, że jest prawowitą właścicielką złotego pucharu.

Rada słyszała o wydarzeniach na rynku, nie odważyła się jednak wezwać Filii, zanim wszystkie inne okoliczności nie zostaną zbadane. Jeśli jednak ta kobieta potrafi nakłonić niebiosy, by się otwały, to dlaczego nie jest w stanie sprawić, by ziemia pochłonęła jej znienawidzonego ojca i musi się posługiwać trucizną czy spychać go ze schodów?

Tymczasem dwie beduińskie znachorki pielegnowały Shafira. Nadeszły też deklaracje pomocy zarówno od żydowskich lekarzy, jak i od egipskich kapłanów.

Wszyscy wiedzieli jednak, że jeśli chodzi o ratowanie otrutych czy ukąszonych przez węża, to mleko beduińskich kobiet jest najlepsze i najszybciej działa. Mimo wszystko wola bogów musiałaby być bardzo wielka, by lichwiarz przeżył.

Dhermia, średnia córka Shafira, przybyła z trzema służącymi oraz czterema poważnymi mężami i wszyscy inni zostali przepędzeni z domostwa. Niewolnicy poinformowali ją, że najmłodsza siostra zniknęła, ale że z pewnością znajduje się gdzieś niedaleko. Nie brakowało bowiem ani konia czy wielbłąda, ani nawet osła.

Dhermia poprosiła ze sobą owych czterech mężczyzn i usiadła przy łożu ojca. Szeptala mu czule do ucha:

- Filia uciekła. To potwierdza nasze podejrzenia, że

to ona chciała cię otruć! Moja droga siostra Haliza chyba nie otrzymała wysłanej wiadomości, wiesz przecież, że ciągle jest w podróży z tym swoim zwariowanym mężem. A tu ludzie mówią, że i ciotka Flavinia nie żyje!

Westchnęła cicho.

Uśmiechała się, patrząc na udreńczoną, półprzytomną twarz ojca.

Chude ciało lichwiarza w ciągu zaledwie kilku dni skurczyło się jeszcze bardziej, przypominał teraz porzuconą przez węża starą skórę.

- Niewiele ci już zostało, drogi ojcze. Teraz nareszcie ja przejmę zarządzanie tym domem!

Poklepała go delikatnie po policzku. Ujęła jego rękę z sygnetem na środkowym palcu i przycisnęła do pierścienia tabliczkę z miękkiej gliny. On próbował protestować, choć opór był jedynie symboliczny. Wrażliwe ucho usłyszałoby jednak zgrzyt zębów za sinymi wargami.

- Dzięki, drogi ojcze! To naprawdę miło z twojej strony! I przy czterech świadkach, jak każe prawo...

Zebrała swoje gliniane tabliczki i podeszła do czekających na nią mężczyzn, pospiesznie sprowadzonych członków rady starszych, by potwierdzili ostatnią wolę lichwiarza Shafira.

- Znajdźcie ją! Słyszycie, tchórzliwe zmije? Nie do staniecie ani denara, jeśli nie przyprowadzicie jej tu tutaj i nie przyniesiecie złotego pucharu! Przetrzęsnać każdy dom w mieście, zrozumiano?

Dysponując majątkiem ojca, Dhermia z łatwością znalazła dość ludzi, by poruszyć w mieście każdy najmniejszy nawet kamień. Zaczęli poszukiwania od zatłoczonych bazarów i otrzymali pozwolenie zagładania do

namiotów, w których mieszkali członkowie karawan.

Chętnie rozdawali drobne monety i wszyscy mogli się dowiedzieć, że Dhermia zapłaci dwadzieścia denarów każdemu, kto odnajdzie jej ukochaną, przestraszoną siostrę i sprowadzi ją bezpiecznie do domu, żeby mogła się pożegnać z umierającym ojcem.

Zdarzało się, że przechodnie słyszeli nocami jego krzyki, nikt jednak nie mógłby przysiąc, że nieszczęsny wykrzykuje imię najmłodszej córki; słychać było coś w rodzaju: Il - Ilja, pomocy!

Dhermia w nowo zakupionym powozie pojechała do Al-Kaba, gdzie złożyła kosztowne dary i modliła się o wyzdrowienie ojca. W tej świątyni, która początkowo górowała nad miastem, dochodziło już do cudownych uzdrowień. Święty Czarny Kamień, który złożył tu osobiście Adam po wypędzeniu z Raju, można było ubłagać poprzez złożenie sporej sumy pieniędzy dla kapłanów i panującego plemienia.

Lichwiarza jednak najwyraźniej nic nie mogło przywrócić do życia, nawet kąpiel w wodzie ze świętego źródła Ismaela.

*Leżał półprzytomny, ciekło mu z nosa i z ust.*

Córki Filii i jej cudownego pucharu nikt nigdzie nie widział.

Kiedy w końcu do domu wróciła również Haliza, dowiedziała się, że najmłodsza siostra zniknęła, a średnia przejęła już dziedzictwo po ojcu.

Filia zrozumiała, że mężczyzna mówi prawdę.

Nie pojmowała tylko, dlaczego ci obcy do niej przyszlali ani kim są. Ale żar w oczach rozmówcy nie zapowiadał niczego złego. A kiedy ów człowiek dotknął lekko jej ramienia, Filia usłyszała jakby cichy szmer docierający z wnętrza pucharu.

Przyniosła naczynie.

Poprosiła obcego, by go dotknął.

Pamiętała, że złodziej czy oszust, jeśli dotknie naczynia, to się oparzy. Słyszała, że tak miało być.

Ale tamten uśmiechnął się tylko i pogłaskał palcami szlachetne kamienie.

- Chodź z nami. Chodź, w imię Pana. Zostaliśmy przysłani przez Boga, mieliśmy objawienie.

Zdecydowała się. Poszła, choć nawet nie miała pojęcia, dlaczego to robi.

Może ze względu na sny? Te dziwne sny, w których nieustannie widziała kołyszące się karawany. Posuwały się zawsze przez krajobraz, który wypełniał nie tylko piasek i nagie skały, krajobraz, który nie miał określonej formy, a jeśli chodzi o barwę, to przypominał niebo.

Czyż nie tak wygląda morze?

A nad karawaną zawsze widziała twarz Jahiza, podobną do księżyca, który nie może zniknąć za górami.

Nie zabrała ze sobą wiele rzeczy, tylko kilka słoicz-



ków perfumowanego olejku i woreczki z delikatnymi przyprawami. Ciepły płaszcz z wielbłądziej wełny i dodatkową parę sandałów. Chustkę na głowę, którą miała po matce. Małą oliwną lampkę, chińskie krzesiwo, grzebienie do włosów i zniszczoną torbę ze skóry, w której ukryła puchar. Nie odważyła się pożegnać z Om.

Dhermia gotowa dręczyć dziewczynę jeszcze bardziej, gdyby się zorientowała, że ta jednak coś wie.

Między dwiema płonącymi świecami rozłożono zwój pisma. Kosztowny воск rozsiewał woń sanda-lu, świece zapalano tylko wtedy, gdy trzeba było czytać modlitwy lub przypowieści Pana.

Mężczyzna o białych włosach spokojnie wygłaszał grecki tekst. Niektórzy zebrani szeptali innym do ucha, bo nie wszyscy członkowie grupy znali grecki.

W końcu starzec zamilkł, długo przecierał oczy, po czym przyglądał się uważnie swoim braciom.

- A więc to oczywiste! Czarodziejskie sztuczki są zakazane! Tak, nawet jeśli ludzie nam mówią, że po służą się nimi dobre siły, sam Pan nas przed nimi przestrzega.

Jedna z kobiet zaprotestowała:

- Sam Pan? A co ty nam czytałeś? Czy to nie była kopia listu, jaki otrzymali mieszkańcy Galacji? O ile wiem, to ten list napisał święty Paweł, Rzymianin, który nigdy nie spotkał Pana, kiedy ten chodził po ziemi!

Dały się słyszeć popierające ją szepty. Kobiętę ogarniał zapał.

- Czyż to nie sam Paweł sprowadził przekleństwo i oślepił czarownika z Pafos? Więc skoro tak, to słudze Pańskiemu wolno się posługiwać taką siłą. A może tylko służebnicom się tego zakazuje, co? Może to

prawda, co się słyszy tu i ówdzie, że kobiety mają być wyrzucane z chrześcijańskich wspólnot. Starszy mężczyzna westchnął:

- Bracia w Chrystusie! Nie wolno nam dopuszczać do rozłamów i niepokojów. Akurat to, o czym mówisz, było wielkim dokonaniem Pawła, uratował słowa Mi strza przed zbłąkaną, skłoną do zła ludzką naturą.

Kobieta znowu zabrała głos:

- Słyszeliśmy i czytaliśmy o cudach wśród chrześcijan. Wiemy, że Duch Święty może sobie obrać mieszkanie w sercu tego, kto podąża za Jezusem! Dla czego więc nie mielibyśmy uznać, że Filia i puchar zostali nam zesłani przez Boga?

Mężczyzna nad zwojami zaczynał się niecierpliwić. Ktoś chrząknął i poprosił kobietę, by milczała.

- To możliwe, że puchar ma złe pochodzenie. Gdy by Pan Bóg chciał go nam dać, to z pewnością za dbałby, by dokonało się to w prostszy sposób. Pan by chyba nie chciał, żeby bezwstydną córką lichwiarza została właścicielką pucharu, w którym zamieszkał Duch Święty.

Kobieta potrząsnęła w milczeniu głową. Nie mogła powiedzieć nic więcej. A jednak coś w jej duszy szeptało wyraźnie, że ta obca dziewczyna i jej puchar są błogosławieństwem dla małej grupki prześladowanych Żydów.

- Pomódlmy się, to Pan sam da nam radę w tej sprawie. A tymczasem dziewczyna powinna pozostawać w ukryciu. I nie może się połączyć z tym rannym mężczyzną, który podaje się za jej narzeczonego. Najlepiej będzie, jeśli nie pozwolimy im się spotykać, do póki nie będziemy pewni, że nie przyszli tu, by nas kusić i sprawdzić naszą wiarę.

Wszyscy potakiwali.

- Kisz, ty weźmiesz rannego do swego domu. Dziewczyna powinna mieszkać z niezamężnymi kobietami, ale nie wolno jej pracować poza domem. Pri-scilla! Ty za to odpowiadasz. Trzymaj ją z daleka od pól i nie posyłaj na targ. Postaraj się też, by ten jej puchar został zbadany przez Azaka, który zna egipskie zagadki i znaki.

Pomodlili się jeszcze do Pana o opiekę i zakończyli tę dziwną ceremonię tak, jak sam Jezus im nakazał, że powinni czynić: rozdzielono chleb i wino, podobnie jak on sam obdzielił swoich braci i siostry ostatniego wieczora swego życia.

Słowa Jezusa za każdym razem dawały pociechę.

Może on już jutro zechce wrócić na ziemię?

Może jutro skończą się próby, jakim nieustannie poddawana jest mała grupa jego wyznawców?

Jutro chrześcijanie z Rzymu, Macedonii, Aleksandrii, Cylicji i Arabii zostaną zebrani razem, albowiem zwycięstwo będzie po ich stronie.

Ani razu nie położyli się spać bez modlitwy, aby to się stało. W pierwszym okresie po wniebowstąpieniu Pana Paweł mówił, że on wróci na ziemię bardzo niedługo. Ale wszyscy jego uczniowie, i kobiety, i mężczyźni, pomarli, a obietnica nie została spełniona. Starzy opowiadają, że wtedy wielu odwróciło się od chrześcijaństwa, ale też przybywają wciąż nowi wyznawcy. Grecy, Żydzi, Egipcjanie, a nawet barbarzyńcy z północy ulegają opowieściom o Jezusie.

Nawet cesarz nie jest w stanie powstrzymać tego żywego ognia! Setki, tysiące ludzi idzie za niego na śmierć z niezłomnym uporem i pieśnią na ustach.

Żeby tylko on jak najprędzej przyszedł...

Kobieta zwana Priscillą miała swoje żydowskie imię, żydowskie szaty i swoje żydowskie serce. Ale dokonał się w tym sercu cud i dobrowolnie poszła za swoim mężem, kiedy powiedział, że starzy prorocy mieli rację: Mesjasz się narodził. Kiedy mąż umarł, znalazła pocieszenie w gronie innych chrześcijańskich wdów: Gai z Cypru, Marii z Kenkru i czarnowłosej Ghuli, która za nic nie mogła pojąć, dlaczego jej imię tak przeraża Arabów.

Uchodzili przed prześladowaniami już od wielu lat. Oaza była dla nich miejscem spokoju. Tutaj nie zapuszczali się rzymscy żołnierze poszukujący zbiegłych chrześcijan. Tutaj mogli zapracować na codzienny chleb i ukryć się między licznymi obyczajami i najrozmaitszymi strojami aż do dnia, kiedy nareszcie Jezus powróci, by ich wyzwolić.

Bo kiedy dzisiaj Lydia bronila Filii, to naprawdę miała nadzieję, że duchy mieszkające w jej pucharze okażą się silne i dobre.

Filia wsłuchiwała się w szemrzące głosy w sąsiednim pomieszczeniu. Tylko zasłona oddzielała ją od wspólnej izby kobiet, pośrodku której stała wkopana do połowy w ziemię beczka na wodę.

Dziewczyna nie wiedziała, co się stało, z tonu rozmów jednak wnioskowała, że ci ludzie wzięli ją do siebie ze względu na puchar.

Zabrała go ze sobą do łóżka, starannie okryła kołdrą. Nie spuszczała zeń oka, był niczym dziecko przytulone do ciała matki.

Czy tamci to wrogowie czy przyjaciele?

Cóż to za dziwną wiarę wyznają, skoro Rzymianie poświęcają tyle sił i czasu, by ich mordować, podczas gdy innym ludom wolno czcić własnych bogów?

Czy to może jacyś niebezpieczni czarownicy?

Nie, bo przecież w takim razie nie pozwoliliby się tak mordować. W każdym razie nie był czarownikiem ten ich syn Boży, którego nazywają Panem i który umarł trzysta lat temu na rzymskim krzyżu!

Są pewnie, jak ludzie gadają, jedynie gromadą na pół szalonych wędrowców. Nie tyle niebezpieczni, co dziwni. Niektórzy z nich to naprawdę zdolni rzemieślnicy. Nie boją się też żadnych nieczystych prac, jak Żydzi. Jedzą wszelkie pokarmy. Nie boją się miejsc pochówku ani tych, którzy tam spoczywają. Podobno, jeśli któryś z nich zachoruje, to inni kładą na nim swoje ręce i często zdarza się, że chory zdrowieje.

Nikt jednak nie jest całkiem pewien, czy to tylko nie pogłoski...

No i teraz ona znalazła się w tej tajemniczej gromadzie. Rozglądała się dookoła po małej zamkniętej izdebce, ale nie napotykała niczego znajomego, na czym mogłaby oprzeć wzrok.

Mimo to puchar szeptał do niej dziwne słowa: jesteś w domu, jesteś tu bezpieczna.

Filia leżała z otwartymi oczyma. Obietnica, że już nigdy nie zaśnie, nadal obowiązywała. A mimo to duch Flawinii przychodził do niej kilkakrotnie tej nocy. I pocieszał.

Bólu Filii to jednak nie zmniejszało. Tęskniła za ciotką, a rany, jakie ojciec jej zadał, zabijając Jahiza, wciąż krwawiły.

Zamykała oczy i próbowała przywołać ducha swej siostry Dhermii, by mu powiedzieć, że zamierza wypuścić na świat dzinny zemsty.

Wszystko jest stracone.

Wojna mogła się rozpocząć.

Kiedy Haliza została wydana za Muaywę, miała dwanaście lat.

ją z powrotem do ojca i zażąda zwrotu poniesionych kosztów, jak prawo nakazuje, kiedy żona jest niepłodna. Haliza wiedziała, że gdyby do tego doszło, nie pożyłaby długo. Ojciec nigdy by nie wybaczył, że ściągnęła na jego dom taki wstyd, a już zwłaszcza nie wybaczyłby jej straty tak wielkiej sumy pieniędzy.

Prawdopodobnie poprosiłby raczej Muaywę, żeby ją sprzedał handlarzom niewolników.

Haliza krążyła wśród akacjowych drzew i starała się przywołać dobre wspomnienia.

Oto kamień w kształcie zaciśniętej pięści. W dzieciństwie bawiła się koło niego z siostrami. Oto cysterna na wodę, przeważnie pusta albo tylko z odrobiną wody na dzień. Dziewczynki dostały straszne lanie, gdy któregoś dnia wrzuciły tam szczeniaka, żeby się przekonać czy to prawda, że zwierzęta umieją pływać.

Oparła dłoń na szorstkiej korze najbardziej pokrzywionego drzewa i poczuła cierpki zapach. Akacjowe drzewa prawie nie potrzebują wody. Rosną tam, gdzie nic innego by nie przetrwało.

Korzenie akacji tkwią w kamieniach i piasku, nawet trawa by w takim miejscu nie wyrosła, gdyby niewolnicy codziennie nie podlewali ogrodu.

Czy te wielkie, czerwone maki tam dalej, to te same kwiaty, które tutaj rosły jeszcze za życia matki?

A ta kamienna ławka, czy to jeszcze ta sama, na której siadywała jako mała dziewczynka i słuchała cichego śpiewu matki?

Nie, to wszystko wygląda na znacznie mniejsze.

Nawet dom jakby się skurczył, jak wypalony przedmiot wykonany z marnej gliny.

Tutaj też są rozpadliny, myślała Haliza. Szczeliny i dziury w jej wspomnieniach.

Widziała roziskrzzone oczy Dhermii podczas powitalnego obiadu, jej poruszające się szybko, zdobne w pierścienie ręce. Siedziała u szczytu stołu, na miejscu Shafira, i bawiła się w gospodynię. Były śmiechy, toasty, nawet tańce.

A pod tym samym dachem Shafir leżał na łożu śmierci!

Haliza nie robiła siostrze wymówek, że nie rozpacza nad losem ojca. Przecież ona sama przez te wszystkie lata żywiła nadzieję, że pewnego dnia obudzi się i usłyszy wiadomość: ojciec nie żyje!

Ale Dhermia dobrze wykorzystała czas i nie będzie musiała odprawiać tych wszystkich ceremonii, jakich wymaga przejęcie spadku po śmierci gospodarza.

Już wszystko przejęła. A czterej szanowani mężowie byli jej świadkami, wszyscy czterej widzieli, jak Shafir przybija pieczęć na testamencie, jak błogosławi córkę, jak ją całuje.

Haliza ani przez moment w to nie wierzyła.

Ale udowodnienie oszustwa było niemożliwe. Wiarygodności tych świadków żaden sędzia nie podważy, sam Shafir zaś nie był w stanie przemówić we własnej sprawie, żeby Haliza nie wiem jak krzyczała i błagała nieruchome ciało o znak życia. Nawet powieka mu nie drgnęła.

Wlewali mu do gardła ciepłą zupę fasolową, dwaj niewolnicy przez okrągłą dobę karmili go, kropla po kropli, mlekiem z miodem.

Dhermia znakomicie się wystrzegła, by nie zrobić niczego, co pozwoliłoby ludziom sądzić, że zbyt pospiesznie chciała pochować ojca! Było oczywiste, że Shafir umrze, trzeba tylko trochę czasu.

Możliwość, że mógłby się podnieść z łożka i wrócić do życia, w ogóle nie wchodziła w rachubę.



Dhermia czuła się bezpieczna.

Haliza usiadła na kamiennej ławce i zaczęła wchłaniać w siebie zapachy dochodzące tu od strony kuchni.

Przez chwilę miała ochotę tam pójść, żeby poprosić Flawinię o słodkie migdałowe ciastko, które ciotka piekła.

Ale przypomniała sobie, że Flawinii też nie ma.

Ktoś inny musiał teraz posługiwać się przepisem na wyszukane słodkie ciasteczka, przepisem, który Flawinia w żartach nazywała swoim posagiem.

Haliza zerwała się z ławki i pobiegła przez korytarz łączący różne części domu. Kiedy w końcu stanęła przy palenisku, zapach ciasta nie wydawał się intensywniejszy. Piec był zimny i martwy, tylko mała Om siedziała pod daszkiem za kuchnią i skubała gołębia. Pierze piętrzyło się na dwóch dużych stosach, po jednej stronie puch, po drugiej barwne, sztywne pióra. U belki w narożniku wisiało pięć już oskubanych gołębi gotowych, by natrzeć je przyprawami.

- Poczulałam zapach ciastek, daj mi jedno. Szybko! Tylko umyj najpierw te swoje brudne łapy!

Om zerwała się na równe nogi. Mrugała, wpatrując się w kobietę na progu. Gołąb upadł na ziemię.

- Ciastko? Szanowna Halizo, ja nie mam żadnych ciastek...

Haliza wpadła w złość.

- Ty głupia, myślisz, że nie rozpoznaję zapachu ciasta? Przestraszona Om potrząsała głową i wytrzeszczała oczy. Jedna ręka jej drżała.

- Nie... nie... przykro mi, ale dzisiaj się nie piecze... kobiety są na polu i...

Haliza nie spuszczała wzroku z małej niewolnicy.

- Dzisiaj się nie piecze? Nie ma ciastek? Ty bezczel-

na smarkulo... będziesz mi tu łącać w żywe oczy? Myślisz, że nie odróżniam zapachów? Za kogo ty mnie bierzesz, nędzna niewolnico? Myślisz, że zwariowałam tak jak moja siostra i czuję coś, czego nie ma?

Om jeszcze bardziej pochyliła głowę, wiedziała jednak, że cokolwiek powie, to i tak nie będzie miało znaczenia.

Haliza poprzestała na jednym policzku, odchodząc szarpnęła jeszcze Om za warkocz.

Tamta opadła z powrotem na stół, jej ręce mimowiednie kontynuowały pracę, wrywały pióra z ciała martwego ptaka.

Dziewczyna czuła zapach tłuszczu, tej gęstej cieczy, która chroni ptaka przed wiatrem i deszczem, bo zlepia pióra i sprawia, że stają się nieprzemakalne.

Czuła lekki zapach krwi i wnętrzości, a także własny słodkawy pot. Ale zapachu ciastek nie umiała się w tym doszukać.

Kiedy skończyła, spojrzała na półkę w narożniku. Musiała się uśmiechnąć. Wielokrotnie duch Flawinii zdołał ją oszukać i zmusić, by wierzyła, że puchar nadal tam stoi. Tak jest, raz po raz Om dostrzegała go tam, mieniący się i jeszcze bardziej niezwykły niż kiedykolwiek przedtem.

W rzeczywistości jednak półka była prawie pusta. Wszyscy inni dostrzegali jedynie niedużą szkatułkę i małe kubki otaczające jeden większy, brązowoczerwony.

Om miała nadzieję, że złoty puchar znajduje się tam, gdzie powinien.

U Filii.

I nikt nigdy nie skłonił jej, by odpowiedziała cokolwiek na nieustanne pytania, co się stało z Filią.

W końcu uznali, że Om nie wie. W każdym razie przestali pytać i przestali straszyć biciem.

Nieoczekiwanie Om poczuła się silna i bezpieczna.

Filia obiecała, że wróci, a teraz Flawinia w snach potwierdza jej słowa.

Gdyby choć połowa tego, co ludzie gadali o wydarzeniach na rynku, była prawdą, Om i tak nie miałyby wątpliwości, że cudowny puchar ocknął się do życia w rękach Filii i okazał swoją moc. A w takim razie dla mieszkających w nim dzinnów będzie drobiazgiem przepędzenie obu złych sióstr.

Tak więc Filia powinna niedługo wrócić w sławie i stać się nową właścicielką domu.

Wobec tych sił, które jej służą, ani świadkowie, ani sędziowie, ani nawet sam na pół martwy lichwiarz nie będą mieli nic do powiedzenia.

Om za każdym razem, gdy o tym myślała, nabierała większej pewności.

Ale odczuwała też niecierpliwość. Na co jeszcze Filia czeka? Dlaczego wciąż się ukrywa, choć minęły już dwa miesiące od chwili, gdy jej ojciec zachorował?

Czyż Filia nie rozumie, że ludzie wkrótce zapomną o tym potężnym znaku, jakim było wywołanie deszczu i cuda w pobliżu Al-Kaba?

Wprawdzie wielu wciąż mówi o niej jako o kahi-ni, wieszczce, ale jeśli się wkrótce nie pojawi, to ludzie gotowi pomyśleć, że umarła.

Om gotowała gołębie w mleczku kokosowym z pieprzem i ani na chwilę nie traciła nadziei, że Filia nie zawiedzie.

Haliza wyjęła kawałek kości z ust i dalej żuła ciemne mięso. Jak długo to było możliwe, nie patrzyła sio-

strze w oczy. Dhermia poprosiła, by podano jej jedzenie w sypialni, gdzie zaprosiła też siostrę.

To musiało oznaczać klótnię.

Podczas gdy mężczyźni raczyli się po obiedzie winem, pojadając solone, suche mięso i orzechy, Dhermia piła jedynie kwaśne mleko z szafranem i cynamonem, by stłumić niepokój i ssanie w żołądku.

- Owszem, jedzenie jest smaczne - odpowiedziała Haliza na pytanie siostry.

- A co sądzisz o winie?

- Pewnie bardzo dobre, ale nie pijam dużo wina.

Dhermia roześmiała się krótko.

- No tak, rzeczywiście. I, kochana siostrzo, przykro mi, ale muszę ci się z czegoś zwierzyć. Widzisz, w przyszłości będziesz go pić jeszcze mniej.

Haliza podniosła wzrok.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Serce zabiło jej gwałtownie, bardzo się jednak pilnowała, by nie okazać przed siostrą niepokoju.

Dhermia otarła wargi, zanurzyła palce w miseczkę z wodą i ujęła trzy związane ze sobą woskowe tabliczki.

- Twój mąż winien jest ojcu wielkie sumy. Bardzo wielkie, szczerze mówiąc, dług przekracza wartość jego majątku nawet, jeśli i ciebie do tego majątku włączyć!

Haliza długo jej się przyglądała.

Czy to jakiś żart? Czy to jakieś złośliwe kłamstwo? Jedno z tych, jakimi niegdyś drażniła ojca?

Starła się, by jej głos brzmiał możliwie jak najpewniej, prawie obojętnie.

- Co masz na myśli?

Siostra machnęła ciężkimi tabliczkami.

- Gdybyś umiała czytać, to bym ci chętnie pokażała. Myślę jednak, że wystarczy, byś zapytała swego

drogiego męża. On, rzecz jasna, wiedział o tym od dawna. Wierzył jednak chyba, że ojciec mu ten dług daruje albo że może zdoła go spłacić...

Haliza poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Jedzenie, które przed chwilą spożyła, poruszało się niebezpiecznie.

- Ojciec jeszcze nie umarł, Dhermia. Nie wolno ci zaczynać...

Dhermia przerwała jej.

- Mnie dał pełną władzę nad wszystkim, co posiada. Dobrze o tym wiesz. Jesteś absolutnie zależna od mojej dobrej woli, droga siostrze. Cóż, może to bardziej nas do siebie zbliży?

Puchar został uniesiony, nad jego brzegiem mieniły się oczy Dhermii.

- Pewnie chętnie byś się pozbyła tej nowej żony swego męża? I pomyśl, jaką władzę będziesz mieć nad nim teraz, kiedy twoja rodzona siostra przejmie za rządanie majątkiem. On jest na mojej łasce, Halizo, dokładnie tak samo, jak ty byłaś dotychczas na jego.

Haliza ostrożnie przytaknęła.

Wiele zależy od tego, jak szybko odkryje, co Dhermia zamierza. Z pewnością tamta chce, by Haliza coś dla niej zrobiła, ale co...

Kiedy rozmowa dobiegła końca, Haliza oparła się o miękkie poduszki i przymknęła oczy.

Wciąż nie była pewna, czy może polegać na obietnicy siostry, natomiast ani przez chwilę nie wątpiła, że nie ma wyboru.

Jeśli nie zrobi tego, co Dhermia jej każe, to i tak wszystko będzie stracone. Mąż zostanie ukarany za to, że nie spłacił długu. Dom w Yathrib przejdzie na własność Dhermii, podobnie jak wszystkie wielbłądy,

wszystkie kozy. Bizuteria, meble, ubrania i całe wyposażenie zostanie sprzedane, prawdopodobnie na upokarzającej aukcji. Nawet piękne portrety, które jej zrobił rzymski malarz, przejdą w obce ręce.

Ona sama nie ma już żadnej przyszłości. Będzie zmuszona, by własnymi rękami skończyć z tym haniebnym życiem, lub zostanie sprzedana jako niewolnica.

Haliza próbowała wywołać pod przymkniętymi powiekami wizerunek siostry.

Ile lat miała Filia, kiedy widziały się ostatni raz?

Czternaście? Szesnaście?

Nie pamięta dobrze.

Czy wciąż jest taka chudziutka i płaska? A może z latami nabrała kobiecych kształtów i już nie przypomina tych długonogich koni, na których jeżdżą Beduini?

Haliza czuła się bardzo zmęczona.

Gdyby jednak zdołała odszukać Filię i ten kosztowny puchar, to - jak mówi Dhermia - siła w nim zawarta potrafi uleczyć również i to.

Haliza będzie znowu młoda i piękna, ba, może nawet płodna. Taka podobno jest moc pucharu, tak opisał go Egipcjanin. Ten, który gotów był za niego słono zapłacić. Cena była tak wysoka, że Dhermia uznała, iż handlarz musi działać w imieniu jakiegoś króla.

Haliza pamiętała puchar.

Nie potrafiła jednak zrozumieć, dlaczego jest taki wartościowy, przecież szarobury i niepozorny stał na półce w kuchni i służył do przechowywania oliwy. Niejasno przypominała sobie chwile, gdy Flavinia zdejmowała go stamtąd, nie pamiętała jednak, by traktowała go z jakimś szczególnym pietyzmem.

Ale żeby był złoty, zdobiony szlachetnymi kamieniami, czy choćby żeby był zrobiony ze srebra?

Nie. To pospolity puchar nawet mimo tej swojej dziwnej formy, składał się mianowicie z trzech części. Prawdopodobnie wykonano go ze specjalnego gatunku gliny, brunatnozłocistej, a nie ze zwykłej czerwonej, jasnoszarej, czy po prostu takiej, która po wypaleniu robi się szara.

Egipcjanin widział, jak Filia wywołała deszcz i jak go potem zatrzymała. Był przekonany, że dzinny mieszkające w pucharze są potężniejsze od innych.

W końcu Haliza zapytała siostrę:

- Czy ty w to nie wierzysz?

Dhermia wybuchnęła śmiechem.

- Na całym świecie aż się roi od dzinnów i ghuli, ifritów i silów! Wszyscy mówią, że je widzieli, ludzie składają im w ofierze swoje jedzenie i boją się ich ze msty. Ale czy ty kiedykolwiek widziałaś coś, co na prawdę zostało zjedzone przez dzinny? Oczywiście, nie widziałaś, słyszałaś jedynie, jak gromada głupich Beduinów opowiada o przemienionych demonach, o pięknej kobiecie, która krąży po pustyni i zjada ludzi. I że trzeba ją uśmiercić jednym jedynym ciosem, bo jeśli ktoś uderzy ghula po raz drugi, to ten znowu ożyje. Cóż za głupstwa!

Haliza nie mogła pojąć, dlaczego siostra jest taka pewna swego.

- A co, jeśli on... chodzi mi o to, że Filia może go mieć po swojej stronie...

- Przestań gadać od rzeczy! Masz iść do niej, wykonać nasz plan, a potem możesz sobie nadal prowadzić to swoje śmieszne życie. I kto wie, może duchy Filii ci pomogą i jałowa pustynia zmieni się w płodną kobietę?

Kiedy Haliza włożyła na siebie podarte i brudne ubranie przyniesione przez siostrę, najbardziej ze wszystkiego pragnęła je z siebie zerwać.

Plan był nie tylko zuchwały, był też okrutny i niebezpieczny.

Ale ona nie miała wyjścia.

Dlatego zaraz po zapadnięciu zmroku Haliza wymknęła się z domu, a na ulicy natychmiast natknęła się na poganiacza wielbłądów, który przewiózł ją przez miasto w okolice, gdzie tłoczyły się ubogie namioty i pospiesznie budowane małe domki.

Tutaj mieszkała biedota, poszukiwacze szczęścia, ubogie wdowy, wędrowni handlarze i garbarze. Tutaj dzieci biegały po śmieciach i szukały w wielbłądzych odchodach niestrawionych ziaren.

Tutaj także przebywać miała jej siostra Filia, zatrzymała się jakoby u ludzi, którzy ukrywają się przed rzymskimi żołnierzami od czasu, kiedy widzieli, jak ich przyjaciół i współwyznawców rzucono w wielkich cyrkach lwom na pożarcie.

Rany od bicia na plecach nie piekły już tak boleśnie.

Dhermia powiedziała, że chłosta jest konieczna, żeby Filia uwierzyła, iż Haliza naprawdę jest w potrzebie. Wszystko pozostałe nietrudno będzie potwierdzić, całe miasto przecież wie, że średnia córka lichwiarza doprowadziła swego szwagra do bankructwa, bo zażądała natychmiastowego zwrotu całego długu.

Niektórzy mogą uważać, że on sam jest sobie winnym, przeważnie jednak ludzie myślą, że Dhermia nie ma honoru, skoro tak się zachowuje. Jeśli na dodatek do tego Filia dowie się o strasznym potraktowaniu siostry, z pewnością wyciągnie ręce i przygarnie do siebie Halizę.



W ten sposób pierwszy krok zostanie uczyniony. Potem już Haliza będzie mogła w spokoju, przez nikogo nie podejrzewana o złe zamiary, dowiedzieć się jak najwięcej na temat pucharu, a w końcu zabrać go i wrócić do Dhermii. Wszystko to potrwa nawet kilka tygodni, Filia mogła bowiem ukryć puchar i nie będzie chciała o nim rozmawiać. Ważne więc, by Haliza się nie zdradziła zbyt niecierpliwym rozpytywaniem.

Ale pytać, rzecz jasna, musi. Wszyscy przecież mówią o cudzie z deszczem! I o pucharze...

Ostatni odcinek drogi Haliza pokonywała po ciemku. Bose stopy ślizgały się na świeżych psich odchodach i zgniłych warzywach. Odór panujący między namiotami nie był teraz taki dokuczliwy, wiał bowiem wiatr od pustyni, mimo wszystko trudno jej było oddychać.

Żałowała, że nie ma przy sobie flakonika z eukaliptusowym olejkiem, ale przecież nie mogła zabrać ze sobą czegoś tak cennego.

Podarte ubranie, niemyte włosy, rany - wszystko musiało się zgadzać.

Zostawiono ją przed jakimś większym domem, na w pół wkopanym w skalne zbocze, niedaleko miejsca gdzie, jak przypuszczała, znajdował się ptasi targ.

Dhermia powiedziała, że może bez obaw pukać do drzwi i w imieniu swej siostry Filii prosić ludzi o pomoc. Na pewno ją wpuszczą.

Filia przerażona przyglądała się siostrze przez wąską szparę w drzwiach. Cięła właśnie na kawałki dużą owczą skórę, z której miała szyć czapki na sprzedaż. Była z nią tylko Lydia, inne kobiety pracowały na targu lub uprawiały małe poletko. Kiedy ktoś zapukał do drzwi, Lydia poszła zobaczyć, o co chodzi.

Filii nie wolno było otwierać i za każdym razem, gdy zjawiał się ktoś obcy, musiała się chować.

Kiedy jednak rozpoznała głos błagający o pomoc, podbiegła i odsunęła Lydią na bok.

- Haliza? Jesteś tutaj? Co się z tobą stało?

Z cichym szlochem siostra dosłownie wpadła do środka. Filia poczuła płynący od niej ostry zapach, pot, świadczący o strachu.

- Co oni ci zrobili? Jesteś ranna?

- Nie... ranna właściwie nie jestem...

- Dhermia! Ona cię wypędziła?

- Tak. Ona... ojciec wszystko jej oddał... jako zaliczkę na spadek. A teraz ona chce odzyskać dług od mojego męża. My... my sobie z tym nie poradzimy, nie stać nas. Ona mówi, że sprzeda mnie jako niewolnicę, żeby pokryć dług męża!

Pospiesznie schowała twarz w dłoniach, udawała, że drży.

Filia nie krzyczała głośno, ale mówiła z goryczą.

Haliza poczuła dłoń siostry na swoich potarganych włosach.

- Dobrze już... nie płacz. Ja ci pomogę. Odplacimy za tę niesprawiedliwość. Jeśli ojciec jeszcze żyje, jak powiadasz... to nie pozwól, byś znalazła się w takim położeniu.

Kiedy Haliza spojrzała w górę, naprawdę miała łzy w oczach.

- On już nie jest człowiekiem, Filio. Wprawdzie jeszcze oddycha, ale jest martwy. Ja myślę, że został przeklęty, zły duch w nim zamieszkał i trzyma go w niewoli. On już nigdy nie odzyska mowy.

Filia poprowadziła ją za sobą do dużego pokoju, w którym sypiały niezamężne kobiety, i jeszcze dalej, do małej izdebki służącej za jadalnię. Wszystko

tonęło w ciemnościach, mdły płomyk ledwo oświetlał zalaną łzami twarz Halizy.

- Filia, musisz mi pomóc!

- Cóż ja mogę zrobić? Najwyżej umyć ci włosy i trochę ogarnąć? Jak chyba wiesz, uciekłam od ojca, nie mam pieniędzy, żyję tu na łasce moich przyjaciół.

Haliza wycisnęła jeszcze więcej łez, obficie spływały jej po policzkach.

- O, a czy ja nie mogłabym też tutaj zostać? Albo może obie powinnyśmy uciec, Filio, i nigdy nie wracać do tego miasta? Musimy znaleźć jakiś sposób, że by przeżyć, musimy zdobyć trochę pieniędzy.

Rzuciła pospieszne spojrzenie Lydiah, która w kącie zajmowała się skórą na czapki. Teraz powiedziała:

- Jeśli jesteś siostrą Filii, to powinnaś wiedzieć, że ona da sobie radę!

Serce zabiło mocno w piersi Halizy. Teraz pewnie siostra wspomni o pucharze. Sama z siebie, bez żadnej zachęty.

Filia skinęła głową.

- Ja... ja bym też najchętniej stąd wyjechała. Ale... tyle się wydarzyło. Sprawy, o których ty nie wiesz, Halizo. Porozmawiamy jednak o tym później, teraz przede wszystkim musisz się umyć. Jesteś też pewnie głodna i zmęczona?

- Nnnie! Nie mogłabym jeść ani spać. Tak bardzo za tobą tęskniłam, siostrzyczko. Czy nie mogłybyśmy posiedzieć i porozmawiać w nocy, jak to robiłyśmy w dzieciństwie? Czy pamiętasz...

Filia poczuła, jakby ostre szpony zaciskały się jej wokół serca.

Jakoś nie mogła sobie przypomnieć, by Haliza albo

Dhermia zaprosiły ją kiedykolwiek na swoje nocne wyprawy, gdy podkrażały w piwnicy daktyle i miód. Przeciwnie, pamiętała, że zawsze ją przepędzały mówiąc: jesteś za mała, nie możemy na tobie polegać.

Tylko raz ją zabrały. Ale się wtedy przeliczyły, kiedy wracały do domu, brama była już zamknięta. Dla Filii nie stanowiło to żadnego problemu, ona bowiem najchętniej sypiała u Flawinii. Wtedy też zaprosiła tam siostry. Siedziały wtedy u Flawinii długo w noc, jadły baraninę z kapustą, szeptały i chichotały.

Następnego ranka to na nią spadły razy ojca, bo to ona jakoby wciągnęła siostry w bagno. Wkrótce potem obie zostały wydane za mąż i opuściły dom.

Rozmyślała o tym, przygotowując kąpiel dla Halizy. Na szczęście beczka na wodę była pełna, a nad paleniskiem wisiał jeszcze kociołek z ciepłą wodą, której nie zużyto do prania.

Filia wyjęła swój olejek i żałowała, że nie ma pachnącego mydła, które robiła Flavinia. Tym razem musi wystarczyć szorowanie i splukiwanie.

Haliza jęczała, kiedy Filia zabrała się do roboty. Ona tymczasem nie mogła się nadziwić, dlaczego włosy siostry są takie brudne, choć skóra na głowie pozostała czysta.

Ale kiedy usłyszała wiadomości o stanie zdrowia ojca, zrozumiała, że puchar spełnił jej życzenia.

Duchy zemsty działały w jej imieniu, ojciec leżał niemy i bez ruchu, choć nadal żył. Był całkiem pozbawiony siły i cierpiał straszne bóle.

Teraz nadszedł czas, by odplacić Dhermii!

Wycierała włosy siostry i uśmiechała się krzywo.

Kłamstwa, z którymi przyszła Haliza, były naprawdę grubymi nićmi szyte. Przypominały raczej sieć niż

tkaninę, wielka ryba mogła się przez to prześlizgnąć. Głośno

Filia powiedziała:

- Moja biedna, biedna siostra. Ty straciłaś więcej niż ja, bo ja nic nie miałam. Ale przekonasz się, że świetnie sobie poradzimy. Tutaj, w plemienu, które mnie przyjęło, nie są potrzebni mężowie. Ani synowie. Tutaj bowiem dziewice i wdowy ceni się na równi z innymi ludźmi. To miłość Boga przywiodła cię do nich, kochana siostró!

Świeżo wykąpana kobieta skinęła i położyła głowę na ramieniu Filii.

- Siła, jaką posiadasz, pewnie i mnie w jakiś sposób pomoże...

Filia uśmiechnęła się. A więc

to taka taktyka.

- Co masz na myśli?

Haliza wahała się, ale nie mogła uniknąć odpowiedzi.

- Puchar... ludzie gadają, że jest ze złota. Skąd ty go wzięłaś, Filio?

Filia usiadła obok siostry i zaczęła zaplatać jej włosy. Nie pachniały jeszcze, ale były czyste i błyszczące.

- Rozumiem, że ludzie gadają, a w miarę upływu czasu cała sprawa staje się coraz bardziej fantastyczna... masz na myśli zamieszanie na rynku, prawda?

- Taaak... twój puchar, w którym mieszkają takie potężne duchy...

Filia uśmiechnęła się. Poklepała chłodną dłonią policzek siostry.

- Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co słyszysz, siostró. Przecież gdybym miała złoty puchar, to bym go sprzedała i nie musiałam zarabiać na życie tymi czapkami.

Haliza spuściła wzrok, mamrotała coś pod nosem. Filia miała nadzieję, że teraz siostra się zdradzi. Haliza jednak ucałowała ją tylko w oba policzki i po-

dziękowała za pomoc przy uporządkowaniu włosów.

- Tak cię kocham, siostrzyczko. Właściwie to ni gdy nie godziłam się z nieludzkim postanowieniem ojca. I z Dhermią też się nie zgadzałam! Nie powin naś być dorastać pośród niewolników, jesteś prze cież naszą rodzoną siostrą, co z tego, że chorą... gdy by ojciec postarał się trochę bardziej, na pewno mógł by znaleźć dla ciebie odpowiedniego męża. I może nawet miałabyś dzieci...

Filia wykrzywiła delikatnie wargi.

- No, to chyba jeszcze nic straconego, Halizo. Przeciwnie...

Haliza popatrzyła na nią z ciekawością. Zmrużyła oczy.

- No a poza tym... czy nie jesteś teraz trochę zdrowsza? Czy miałaś atak od czasu... no od czasu te go na rynku?

Filia westchnęła cicho.

- Tutejsze kobiety modlą się za mnie. Może syn ich Boga zdoła wypędzić ze mnie złe duchy. Czynił tak przecież, kiedy żył na ziemi. Oni mówią, że uzdrowił wielu takich jak ja.

Haliza długo jej się przyglądała.

- Ale ty nie jesteś... jedną z nich? Tych, którzy na zywają siebie chrześcijanami?

Filia z wolna zbierała grzebienie i szmaty, wyniosła miednicę i olejek, a potem powiedziała:

- Mieszkam w ich domu i jem ich jedzenie. I mąż czyżni, i kobiety nazywają mnie siostrą. To dla mnie dziwne uczucie, Halizo, że mam tyle drogich sióstr...

Haliza poczuła, że te słowa coś w niej poruszyły. Spędziła w tym domu tak niewiele czasu, nawet niecały wieczór, a jakby dwa wilki zaczynały rozrywać jej serce, każdy ze swojej strony.

Nadszedł miesiąc pokoju, a Haliza wciąż niczego o pucharze się nie dowiedziała.

Każdego roku o tej porze oaza wypełniała się ludźmi, pielgrzymi ciągnęli ze wszystkich stron świata i gromadzili się wokół świętego kamienia.

Można tu było w tym czasie zobaczyć członków plemienia Quresh z od dawna wrogo nastawionego kraju, jak siedzą spokojnie w środku miasta przez nikogo nie niepokojeni nad kubkiem herbaty, kwaśnego mleka lub wina. Oaza w tym świętym czasie dosłownie rozkwitała, wszędzie urządzano wielkie uroczystości. Wiele plemion rozbijało obozy tuż za miejskimi murami, była to też pora zawierania małżeństw.

Dla Jahiza oznaczało to, że nadszedł czas, by próbował się wymknąć poza przełęcze. Nie należało się już raczej obawiać, że ludzie lichwiarza nadal go szukają. Jeśli plotki zawierają prawdę, to on sam leży na łożu śmierci, a średnia córka wymachuje biczem nad nieszczęsnymi dłużnikami.

Ważniejsze było to, że rany Jahiza się już zagoiły, nawet złamana noga zdawała się całkiem sprawna i silna.

Powinien stąd odejść.

Ludzie, którzy się nim zaopiekowali, nie żądali pieniędzy za maści, jedzenie ani dach nad głową. Rozpaczliwie pragnął posiadać coś, co mógłby im ofiaro-

wać. Gdyby zachował swoje pieniądze, mógłby pewnie kupić sobie konia, a przynajmniej osła. Ale w tej sytuacji jedyne, co mu pozostawało, to nająć się na poganiacza wielbłądów.

No, mógł jeszcze sprzedać się na jakiś czas w niewolę jednemu z azjatyckich kupców, którzy wstępowali do miasta po drodze do Rzymu.

A może powinien zaciągnąć się na służbę do cesarza? To jednak szalona myśl, żaden wolny Arab dobrowolnie by się nie najął do służby pod znienawidzonymi czerwonymi sztandarami.

On sam najchętniej szukałby pracy na statku, najlepiej greckim. Kto jednak chciałby wziąć na pokład chłopaka z pustyni, który nigdy nie próbował wody bardziej słonej niż dziecięce łzy?

I tak trwał z dnia na dzień, w pełni zdając sobie sprawę z tego, że wymyśla różne usprawiedliwienia, żeby tylko tu zostać.

Filia.

Jeśli żyje, to musi być tutaj. W tej oazie, między tymi górami, gdzieś w drugiej części miasta.

Nie mógł jednak do niej pójść, nie mógł jej ze sobą zabrać.

Pozostała mu tylko nadzieja, że pewnego dnia będzie mógł po nią wrócić. Kiedyś, gdy lichwiarz już umrze i wszyscy zapomną i o nim, i o jego podobno także martwym siostrzeńcu.

Tymczasem powinien wierzyć słowom matki i polegać na jej przekonaniu, że puchar ochroni Filię.

Próbował sobie wyobrazić, czy tęsknota za nią będzie większa czy mniejsza, gdy dzieląca ich odległość osiągnie kilka dni drogi, i nie wystarczy już, tak jakby to mogło być teraz, spacerować na drugą stronę oazy.



Mimo wszystko będzie mu bliska, ale z pewnością inaczej niż teraz. Pustynne wiatry poruszające koronami palm, które wieją ponad pachnącymi ogniskami i szarpią ubraniami... w tych wiatrach kilkakrotnie wyczuwał jej ślad.

Wiedział, że to przywidzenie, znajdował jednak pociechę w tym, że parę razy zdawało mu się, iż wyczuwa jej zapach w mrocznych pomieszczeniach.

Przyciskał policzek do ściany, palce mu zbieleły, kiedy próbował złamać na dwoje gruby kij.

Musi wyjechać.

Nie ma wyboru, mimo że wszystko się w nim przeciwko temu buntuje, że tak bardzo chciałby tu zostać, właśnie pod tym dachem.

- No i co my zrobimy z tymi ludźmi? - zastana wiał się stary człowiek, którego chrześcijanie uważali za swojego wodza.

Rzadko kiedy wydawał polecenia, a gdy trzeba było podjąć jakieś ważne decyzje, wzywał wszystkich. Uważał, że tak właśnie postępował sam Jezus. Nie powinno być ani kapłanów, ani uczonych w piśmie, którzy by decydowali o wyznawcach Jezusa.

W zebraniu nie uczestniczyli tylko Filia, Haliza i jeszcze jeden nie chrzczony gość. Polecono im, by przygotowali w kuchni kolację dla wszystkich.

- Młody człowiek jest zdrowy. Musi wyjechać albo się ochrzcić - stwierdziła jedna z kobiet.

- Nie możemy go tak po prostu wyrzucić. Jeśli ludzie dowiedzą się, że przeżył, będzie musiał odpowiedzieć za nieszczęście swego wuja. Zetną mu głowę jak mordercy - protestowała inna.

- Mimo wszystko jego życie jest w rękach Pana -

westchnął stary. - Zastanawiam się raczej, co powinniśmy zrobić z jego... narzeczoną? I z jej siostrą. Na to podniosła się Lydiah.

- Filia powinna zostać z nami. Myślę, że zgadzacie się ze mną, iż w jej pucharze nie kryją się żadne złe moce. Od kiedy tu przybyła, w naszych domach panuje spokój. Nie przytrafiło się nam nic złego. Ona sama zaś nauczyła się wiele o Chrystusie, jest pełna dobrej woli i...

- Ale ma zamknięte serce - wtrąciła inna z kobiet. - Nie chce zrozumieć, że miłość jest większa od nienawiści. Gardzi i nazywa naszą słabością to, że wybaczymy wrogom i nie mścimy się za niesprawiedliwość...

Stary przysłuchiwał się przez chwilę sprzeczce swoich współwyznawców na temat Filii.

Potem poprosił Lydiah, by przyniosła jej puchar.

- Ale ona nie rozstaje się z nim ani na chwilę, zawsze nosi go przy sobie!

- To sprowadź ją. Filia powinna być już dojrzała do przyjęcia chrztu. Powiedz jej, że chcemy nalać do pucharu święconej wody. To nam wiele wyjaśni. I jeśli taka będzie wola Pana, to wyjadą stąd oboje, zanim rodzina sprzeda ich w niewolę.

Kobieta skinęła głową, ale jej wzrok wyrażał wątpliwość.

No, a Filia, rzecz jasna, odmówiła.

Tej nocy Haliza wypełniła swoje zadanie. Filia wyprowadziła ją na dwór i pod osłoną ciemności, w porywistym wietrze, zwierzyła siostrze tajemnicę pucharu.

- Wkrótce musimy wyjechać, siostrzo. Nie może my tu dłużej zostać.

Haliza dygotała z przejęcia i ze złości na to, że

ciotka ukryła prawdę o klejnocie, by w tajemnicy przekazać go Filii.

Puchar jest przecież tak samo jej. I Dhermii, jeśli już o to chodzi.

Filia wyjęła zawieszony na szyi puchar spod sukni i Haliza zobaczyła, że mieni się on pięknie na tle płaszcza siostry, promienieje jakimś wewnętrznym światłem, choć przecież jest noc.

Kiedy go dotknęła, poczuła drżące ciepło. Coś w nim pulsowało i wibrowało, jak ziemia, gdy zbliża się oddział jeźdźców.

- To puchar sprawia, że ojciec żyje, ale to przez niego jest niemy. Za pośrednictwem pucharu mogę rzucić przekleństwo. A zatem teraz pytam ciebie, siostrze: Czy chcesz wrócić ze mną do domu, by zobażyć upadek Dhermii?

Haliza zadrżała.

- Masz zamiar ją... możesz ją... zabić?

Filia wzruszyła ramionami.

- Ja nie wiem, co się stanie. Nie mam jednak wątpliwości, że duchy pucharu wpadły w gniew. Chcą zajrzeć w jej fałszywe serce i być może rozerwać je na strzępy...

Haliza poczuła, że jej własne serce drży z przerażenia.

- Czy jesteś... czy ty jesteś ich władczynią? Skoro puchar należy do ciebie...

Filia nie odpowiedziała. Haliza dowiedziała się już dość. Teraz pozostaje tylko patrzeć, co zrobi.

Rano Haliza znalazła siostrę nieprzytomną. Podczas ataku musiała się ugryźć w język, krew zastygła w kącikach ust. Cała twarz pokryta była zaschlą śliną i pianą.

Haliza pomyślała: a zatem puchar jej nie uzdrowił! Ci wyznawcy Jezusa także nie... Może więc nie jest prawowitą właścicielką tego cudownego przedmiotu...

Ostrożnie uniosła torbę, w której Filia nosiła kosztowne naczynie. Trzeba było rozsupłać wiązanie.

Nikt jej o nic nie spytał, kiedy jak zawsze powiedziała dzień dobry i poszła się umyć.

Zamiast jednak wrócić i zabrać się do pracy, pobiegła co sił w nogach do miasta.

Kiedy słońce znalazło się w najwyższym położeniu, ukryła puchar na skraju pustyni za obluzowanym kamieniem w starym murze, który niegdyś okalał stojące tu zabudowania. Teraz przy murze rosły dwie cher-lawe bliźniaczo do siebie podobne palmy.

Dopóki nie zapadły ciemności, nie odważyła się pokonać ostatniego odcinka do budynku, który był jej domem.

Dhermia podskoczyła, jakby zobaczyła zjawę, kiedy Haliza gwałtownym ruchem odsunęła zasłonę w jej sypialni.

- Wstań, siostrze! Wykonałam zadanie, które mi zleciłaś. Ale jest wiele spraw, o których musimy porozmawiać.

Jahiz rzucał się w przepoconej pościeli. Sen był po prostu przerażający.

Nadal czuł pieczenie w gardle od krzyku, który z siebie wydał i który sprowadził do niego braci.

Kiedy zorientowali się, że ma koszmary, zaczęli się za niego modlić półgłosem. W końcu polecili go opiece Jezusa i zapewnili, że teraz może spać spokojnie.

Ale Jahiz nie mógł zasnąć.

Dygotał, jakby obrazy z kosmaru były rzeczywistością, jakby krew płynąca we śnie z ust Filii była prawdziwa.

Filia jest w niebezpieczeństwie!

Im bardziej wsłuchiwał się w bicie swego udręczonego serca, tym większej nabierał pewności, że powinien natychmiast udać się tam, gdzie jego zdaniem przebywa Filia.

Być może zechcą go zatrzymać, możliwe, że zabiją go bez wahania, by go ukarać za próbę zamordowania lichwiarza. Ale czy tak się stanie, skoro lichwiarz podobno nie umarł? Czyż to nie sam lichwiarz przekonywał ludzi, że Jahiz nie żyje?

Nie było czasu na rozmyślania.

Krzyki ze snu wciąż jeszcze huczały mu w głowie, wnętrzości kurczyły się ze strachu. Powinien czym prędzej ruszać w drogę.

Filia dochodziła do siebie, ale była oszołomiona i rozbita. Poczula znajomy, metaliczny smak w ustach, wszystko ją bolało. Znowu miała atak, i to bardzo silny, zawładnął nią bezlitośnie i powalił na ziemię.

Pojawiały się te ataki bardzo nieregularnie i trudno je było przewidzieć. Czasami przychodziło ostrzeżenie pod postacią czerwonych, migotliwych plam przed oczyma. Rzadko jednak pamiętała chwile tuż przed utratą przytomności.

Tym razem nie zapamiętała nic.

Wszystko tonęło w panicznym strachu, że utraciła puchar.

Zerwała z szyi szelki, do których dawniej przymocowana była torba z pucharem, odrzuciła je od siebie. Jęknęła boleśnie, gdy się okazało, że boli ją biodro, musiała się uderzyć przy upadku. Ból głowy wkrótce minie, zawsze tak jest. Powinna teraz odpocząć i bardzo tego pragnęła, ale puchar znajdował się w niebezpieczeństwie!

Filia podczołgała się ostrożnie do naczynia z kwaśnym mlekiem i napiła się. Mleko przywróciło jej siły, mogła teraz wstać i przynieść wody.

Ciałem wciąż jeszcze wstrząsały jakby wspomnienia niedawnych spazmów. Była wdzięczna bogom, że tym razem nikt jej nie widział.

Krew pulsowała w żyłach jak uderzenia dalekiego bębna.

To Haliza zabrała puchar.

I teraz Filia czuła, że puchar ją wzywa, przejmująco, niczym zbląkane dziecko.

Biegła, dopóki przed oczyma nie roztańczyły się znowu czerwone plamy. Przestraszyła się, że ponownie straci przytomność.

Gniew Dhermii przejawiał się jedynie w błyskach oczu, twarz była nieporuszona i spokojna, ręce nawet nie drgnęły, kiedy z szacunkiem nalewała egipskiemu gościowi herbatę z posrebrzanego dzbanka. Na nadgarstkach miała mnóstwo srebrnych krążków, które po-dzwaniały leciutko, gdy podawała napój. Zapach chińskiej herbaty mieszał się ze słodką wonią jej perfum.

- Szanowny nasz gościu i czcigodny przyjacielu. Ty, który cieszysz się zaufaniem króla i łaską bogów... dziękujemy ci raz jeszcze za honor, który nam czynisz, odwiedzając nasz dom.

Dhermia wiedziała, że czas uprzejmości zaraz się skończy, gościowi wypadało jednak trochę zwlekać z przedłożeniem prawdziwego interesu, jaki go tu sprowadził.

Puchar.

Nie wypowiedział więcej niż parę zdań, popił trochę herbaty, oparł się wygodnie na miękkich poduszkach i zwrócił się do Dhermii.

- Słyszałaś moją propozycję. Teraz musisz mi po kazać puchar, żebym wiedział, że niepotrzebnie nie tracę czasu.

To była gra.

Dhermia powiedziała mu przecież o zdradzie siostry, o tym, że Haliza ukryła puchar. I że ani prośbą, ani groźbą nie można jej nakłonić do uległości. Niczego się nie boi i jest niewiarygodnie uparta w swoich żądaniach: jedna trzecia część wartości pucharu ma należeć do niej, jedna trzecia do Filii.

Dhermia chrząknęła i popatrzyła na Halizę.

Egipcjanin mógłby ją przestraszyć tymi swoimi małymi, dziwnymi oczkami. Cała nieduża postać przybysza dosłownie rozsiewała wokół siebie niepo-

kój. Miał spiczasty, prosty nos, który upodabniał go do drapieżnego ptaka. Pod płaszczem na tle jedwabnej koszuli mieniły się amulety z obcymi znakami. Był kapłanem, Chaldejczykiem, jednym z tych, którzy mają władzę nad duchami. Haliza powinna chyba zrozumieć, że nie zdoła się przeciwstawić jego woli.

- Tak się złożyło, że to ja mam puchar pod opieką. Jest zakopany w pewnym miejscu na pustyni, w miejscu, które tylko ja znam. Sami nigdy go nie znajdziecie. Zrobiłam to, żeby moja siostra nie ukradła jeszcze więcej spadku po rodzicach.

Słowa padały jasne i stanowcze. Dhermia czuła, jak ją pieką. Powinna była udusić tę idiotkę o kurzym mózdzku wtedy, kiedy miała do tego okazję.

Oczy Egipcjanina zmieniły się w wąskie szparki. Z uwagą wsłuchiwał się w słowa Halizy.

- Tak więc nie widzę innej rady... zapłatę dasz mnie, a ja zaprowadzę cię do miejsca, w którym znajduje się puchar. Zapłatę muszę dostać w złocie i muszę mieć świadków na to, że obie moje siostry zgadzają się na takie rozwiązanie.

- Nigdy! - syknęła Dhermia.

W tym momencie wykonana z paciorków zasłona przy wejściu zachrzęściła.

- Nigdy - oznajmiła Filia i weszła do pokoju.

Obie starsze siostry jęknęły, zacięta twarz Filii wydawała się obca.

Usiadła obok Egipcjanina. Potem mówiła już tylko do niego, na siostry nie zwracając najmniejszej uwagi.

- Puchar należy do mnie, a poza tym on nie jest na sprzedaż. Siostra mi go ukradła, ale on do mnie wróci. Bo ja jestem jego prawowitą właścicielką.



Egipcjanin patrzył na nią. Długo.  
- Czy to ty byłaś wtedy na rynku? To ty wywołałaś deszcz?

Filia uśmiechnęła się leciutko.

- Tak, to ja.

Gość spokojnie skinął głową. Wyciągnął rękę, prosząc o więcej herbaty. Jedna z niewolnic natychmiast nalała i chciała też nalać Filii, ale Dhermia uderzeniem odtrąciła jej rękę.

- A czy wy znacie historię pucharu? - zapytał Egipcjanin.

Żadna z siostr nie odpowiedziała. Filia

wpatrywała się w podłogę.

- Moja matka dała go mnie - rzekła w końcu. - Od ciotki wiem, że to święty przedmiot. Stary puchar egipskich bogów z czasów faraonów.

Wargi gościa drgnęły.

- Więc wiecie o tym?

- A czy to nieprawda? - spytała Filia.

On głęboko wciągnął powietrze i popił trochę herbaty.

- Prawda, ale powinnaś się dowiedzieć jeszcze więcej. Dużo więcej. Ten przedmiot nie może zagać.

Gwałtownie wstał z miejsca i wbił spojrzenie w Ha-lizę.

- Jeśli to prawda, że zakopałaś go na pustyni, to jest tam bezpieczny. I jeśli to prawda, że ty jesteś prawdziwą właścicielką pucharu, Filio, to też jest bezpieczny. Gdyby się jednak okazało, że jest tak jak mówisz ty, Dhermio, że puchar należy do ciebie, to bądź pewna, że do ciebie wróci.

Filia czuła ogarniający jej ciało niepokój. Mężczyzna wygładził płaszcz, umył ręce w miseczce i szyko-

wał się do wyjścia.

- Poczekaj! - krzyknęła Dhermia. - Czy to znaczy, że nie chcesz go kupić mimo wszystko?

Egipcjanin długo na nią patrzył. Potem skłonił się wszystkim trzem kobietom i rzekł:

- Jak powiedziałem, puchar odnajdzie drogę do domu.

Haliza zerwała się na równe nogi, zaczęła go szarpać za płaszcz.

- Zaczekaj! Powiedz nam coś więcej! Nie odchodź!

Egipcjanin uśmiechnął się blado.

- Wy myślicie, że puchar spełni wszystkie wasze marzenia. I on by to z pewnością mógł zrobić. Ty, Dhermio, byłabyś bogatsza, niż potrafisz sobie wyobrazić, gdyby udało ci się sprzedać puchar. Halizo, ty jako jego właścicielka mogłabyś być i piękna, i płodna. A Filia...

Umilkł. Podszedł do Filii i pogłaskał ją po policzku takim gestem, jakby był jej kochankiem. Dziewczyna zadrżała, wiedziała jednak, że on nie chce jej przestraszyć ani obrazić.

- Puchar ciebie mógłby oczyścić, kochana. On na dal posiada moc księcia pokoju.

I wyszedł.

Dhermia prychnęła.

Groziła, że poleci strażnikom, by zabili obie siostry, ale Haliza wiedziała, że nigdy się na to nie waży. Filia zaś nie odpowiadała na pogróżki, siedziała w kącie i obserwowała pełną nienawiści kłótnię swoich sióstr.

One obie to po prostu mętna piana.

Chciwe, złe i bezlitosne, obie odziedziczyły małe, głęboko osadzone oczka ojca i jego długie, łapczywe palce.

Czuła, że narasta w niej gniew, niczym zbliżająca się burza.

Pewnego dnia zapłacą za wszystko.

Pewnego dnia Dhermia będzie musiała uznać, jaką niesprawiedliwość wyrządziła Flavinii, Filii, małej Om i innym, którymi poniewierała w tym domu.

Zła krew ojca pieni się w żyłach obu starszych siostr. Wprawdzie on leży bezradny w pościeli, ale jego zła moc nadal ciąży na tym domu.

Filia nie wiedziała, w jaki sposób dokona się zemsta. Wiedziała jedynie, że ta przestrzeń w niej, którą kiedyś wypełniała miłość do Jahiza, teraz zawiera tylko ciemność. Że wszystko w niej jest lodowate i nieprzyjazne jak wykładana kamieniami studnia.

Przeniknięta złem i chciwa Dhermia powinna zostać przez tę ciemność pochłonięta.

Haliza jest niewiele lepsza, roztrzęsiona i podstępna jak zawsze.

Ale teraz chodziło o puchar. O to, by znaleźć jakąś metodę odzyskania drogocennego dziedzictwa matki.

Filia wiedziała, że może wygrać tę walkę tylko w jeden sposób, musi mianowicie przestraszyć siostry tak, by nie odważyły się więcej wątpić w moc pucharu.

Czekała, aż tamte się wykrzyczą tak, że zabraknie im sił na dalszą kłótnię, potem powiedziała:

- A dlaczego nie pójść do sędziego, żeby to on roz sądził sprawę?

Obie zwróciły się do niej gwałtownie.

- A to z jakiego powodu? Puchar jest mój podobnie jak wszystko, co posiadał ojciec. Mam to na piśmie, z jego pieczęcią, z podpisami czterech świadków!

Policzki Dhermii płonęły, ale na szyi i na piersiach miała ciemne plamy.

- Zagarnęłaś wszystko! W podstępny, nieuczciwy sposób oszukałaś ojca! Puchar to jedyne, co nam zo-

stało po matce i ja powinnam go dostać, jako najstarsza córka. Tak mówi prawo, dobrze o tym wiesz!

Głos Halizy był teraz matowy, ale Filia również w jej oczach widziała nienawiść.

- Mama dała puchar mnie - rzekła po prostu. -I dlatego należy on do mnie.

- Ha! Nikt nie może tego zaświadczyć! Ciotka też nie żyje, ty idiotko!

Filia nie odpowiedziała, zauważyła jednak, że siostry są zmęczone wojną. I Dhermia pojęła pewnie, że żadnego handlu z Egipcjaninem nie ubije, jeśli nie potrafi udowodnić, że puchar rzeczywiście jest jej własnością

Haliza wykrzywiła wargi w pogardliwym grymasie.

- Nie zapominaj, droga siostrze, że tylko ja wiem, gdzie on się znajduje.

Filia przyjrzała jej się uważnie.

- A nie przyszło ci do głowy, że nie będziesz miała z niego żadnej korzyści, jeśli będzie leżał zakopany na pustyni? Chociaż ja cię rozumiem, Halizo. Jedyne, co mogłoby cię jeszcze uratować, to syn. I żeby Dhermia umorzyła długi twojego męża!

- Przysięgam ci na wszystkie złe dzinny, że nigdy tego nie zrobię! - wrzasnęła Dhermia.

Haliza wyszczerzyła zęby w szyderczym uśmiechu.

- Są jeszcze inni, którzy z pewnością będą chcieli kupić puchar. Mogę go po prostu któreś nocy odkopać i sprzedać jakiemuś bogatemu przodownikowi karawany. A ty, Dhermia, nigdy się o tym nie dowiesz. Cena na pewno będzie dość wysoka, bym mogła spłacić dług.

Roześmiała się głośno zadowolona.

Filia patrzyła na nią.

- Wtedy jednak nie będziesz mogła skorzystać z ta-

jemnej mocy pucharu. Nie zajdziesz w ciążę, Halizo...

Dotknęła czulego punktu siostry. Tamta z jękiem wypuściła powietrze z płuc.

Filia przeniosła spojrzenie na drugą siostrę.

- Puchar nie da ci ani jednej sztuki srebra, dopóki go nie odzyskasz. Przegrałaś, Dhermio. Ukradłaś nam wszystko, ale pucharu nie dostaniesz!

Teraz nienawiść unosiła się w powietrzu niczym migotliwa mgła.

Filia wiedziała, że Dhermia wkrótce wybuchnie. To mogło być niebezpieczne, jej krzyki zwabią uzbrojonych strażników.

Haliza przewidziała chyba to samo. Narzuciła cienki szal na głowę i ramiona, po czym ruszyła ku drzwiom.

Filia poszła za nią, nie słuchając wściekłego wołania Dhermii:

- Zaczekaj! Haliza, zaczekaj!

Siostra maszerowała dalej, po kamiennej posadzce schodziła w dół, ku bramie.

Filia biegła za nią i w końcu złapała ją za ubranie.

- Poczekaj!

Kiedy szal zsunął się na ramiona, zobaczyła zalaną łzami twarz Halizy.

Wyglądała na przerażoną.

- Zdradziłaś mnie, ukradłaś puchar! Teraz powin naś mi go oddać!

Haliza mrugała pospiesznie, nagle zgrzytnęła zębami.

- Dlaczego miałabym to zrobić? Nie masz do niego większego prawa niż ja!

- Mama chciała, żeby dostał się mnie, dobrze o tym wiesz!

- Ha! Ale to ty zabiłaś mamę! Dlaczego miałabyś dostać puchar? Wszyscy wiedzą, że dziecko, które ode-

brało życie rodzicom, powinno być wydziedziczone!

Filia poczuła, że wściekłość zaczyna ją dławić.

- Ty, która nazywasz siebie siostrą, co dobrego dla mnie zrobiłaś? Ty paskudny skorpionie, nosisz w sobie więcej trucizny niż śmierć. Ale zobaczysz, które gość dnia zatrujesz sama siebie!

Haliza wyrwała się jej i uciekła. Filia splunęła za nią.

- Byłaś przeklęta, ale bądź przeklęta jeszcze bardziej! Nie myśl, że zdołasz wykopać puchar, bo Dhermia będzie śledzić każdy twój krok. Jesteś tylko biedną kobietą, Halizo. Dhermia posiada wszystko. Czy ty nie rozumiesz, że możemy jej się przeciwstawić tylko działając razem?

Ostatnie słowa wypowiedziała cichym szeptem. Może Haliza odeszła zbyt daleko, żeby słyszeć? Wkrótce jej niebieska szata zniknęła w bramie, a kiedy Filia znalazła się za murem, siostry już nie było widać.

Obcy w podbitym jedwabim płaszczu dosiadał wielbłąda, kiedy zobaczył nadbiegającego pod murem młodzieńca. Musiało mu się bardzo spieszyć. Twarz mu płonęła, sprawiał wrażenie zaszczutego i zrozpaczonego. Rosły, jak na Araba to nawet bardzo wysoki. Utykał wyraźnie na jedną nogę, a na zniszczonym ubraniu nosił bardzo biedny płaszcz.

Egipcjanin stwierdził, że chłopak kieruje się w stronę bramy, z której on dopiero co wyszedł.

Jakiś nagły impuls skłonił go, by zatrzymać biegnącego chłopaka i porozmawiać z nim.

- Przyjacielu, wydaje mi się, że ten dom nie jest akurat dzisiaj przygotowany na przyjmowanie gości. Właśnie stamtąd wracam, właścicielka siedzi i rozmawia ze swoimi siostrami.

Jahiz nagle przystanął, z trudem wciągał powietrze; pot zalewał mu oczy, mrużył je i mrugał, by wyraźniej widzieć przemawiającego doń człowieka.

- Co? Kim ty jesteś? Dlaczego...

Egipcjanin słyszał bicie serca Jahiza, przyjaźnie położył mu rękę na ramieniu i poprosił, by odeszli w cień pobliskiego drzewa, mogą porozmawiać i odetchnąć trochę.

- Pędziłeś jak szalony w największym południowym upale. Nie możesz tam iść w tym stanie, spocny i zziębnięty jak wychłostany koń. Pozwól, że poczę stuję cię wodą z mojego bukłaka. I przetrzyj twarz odświeżającym olejkiem.

Jahiz, zaskoczony, poszedł za nieznajomym.

- Powiedziałaś... z siostrami? Czy siostry Dhermii są w domu? Obie? Filia też?

Egipcjanin potwierdził skinieniem.

- Tak, spotkały się wszystkie trzy. Uważasz, że to dziwne? W czasie takiej żałoby? Przecież ich ojciec znajduje się na łożu śmierci...

Jahiz mocno zacisnął szczęki.

- A ty kim jesteś? Ich przyjacielem? Przyjacielem Dhermii?

Egipcjanin z uśmiechem potrząsnął głową.

- Nie, ja jestem po prostu kupcem.

Jahiz przyglądał mu się długo. Ten płaszcz... to się nie zgadzało. To nie kupiec, takie płaszcze noszą kapłani lub magicy. Może wróżbita?

Również i oczy wskazywały, że to akurat nie jest człowiek, który swoje życie poświęca jedynie gromadzeniu bogactw i robieniu dobrych interesów. Ten blask na jego twarzy...

- Ty jesteś... Egipcjaninem.

Jahiz drżał leciutko, kiedy pił wodę ze skórzanego worka, który podał mu nieznajomy. Była letnia, ale orzeźwiająco kwaskowa, smakowała cytryną.

Egipcjanin cierpliwie kiwał głową, jakby odpowiadał na pytanie dziecka.

- Jesteś pewien, że Filia też tam jest? Pogodzona ze swoimi siostrami? To brzmi bardzo dziwnie...

Chaldejczyk odpowiedział pytaniem.

- Ty jesteś jej wybrankiem?

Jahiz roześmiał się krótko, z rozpaczą w głosie.

- Czy to aż tak się rzuca w oczy? Czy widać po mnie, że kocham ją od czasu, gdy oboje byliśmy dziećmi?

Mężczyzna w dziwnym płaszczu znowu z powagą skinął głową. W jego głosie nie było śladu rozbawienia ani szyderstwa.

- Tak, widać. Jeśli człowiek ma oczy dostrzegające miłość.

Jahiz oparł się o drzewo. Egipcjanin odpoczywał spokojnie ze skrzyżowanymi nogami. Wyglądał, jakby czekał na coś ważnego. Jakby zasiadłszy wieczorem przy beduińskim ognisku, oczekiwał, że usłyszy całą historię.

Jahiz raz po raz ukradkiem spoglądał ku bramie. Nikt stamtąd nie wychodził, nikt nie wchodził do środka. Dźwigający wiadra z wodą i ciężkie tobołki ludzie mijali ją pośpiesznie.

- Ty znasz puchar - stwierdził Egipcjanin.

Jahiz przytaknął, wcale nie był zaskoczony. Ów tajemniczy mężczyzna czyta w myślach, po prostu. To pewnie jakiś czarownik.

- Chciałeś go kupić?

Teraz Egipcjanin potwierdził.

- Musiałem spróbować.



- Nie udało ci się? Filia nie chciała sprzedać? To jasne, że nie chciała.

Chaldejczyk pochylił głowę.

- Uważasz, że puchar jest jej własnością?

- Tak! Jej i nikogo innego. Moja matka i matka Filii były siostrami. Ja jestem strażnikiem pucharu, strażnikiem Filii! Ale popatrz na mnie... Nie zdołałem jej niczego oszczędzić, nie ustrzegłem jej. Wszystko się rozleciało i przepadło. Mimo to musiałem ją odszukać, musiałem przybiec tu dzisiaj, chociaż jej ojciec natychmiast przebiłby mnie mieczem jako mordercę.

Egipcjanin nie uniósł głowy, nie spojrzał Jahizowi w oczy.

- Ja ją kocham... Tak strasznie się boję, co siostry mogłyby jej zrobić.

Chaldejczyk najpierw nie odpowiadał, ale mamrotał coś pod nosem, kreśląc palcem na piasku jakieś figury. Kręgi i linie, dziwne pnąca. W końcu odezwał się znowu do Jahiza po arabsku:

- Może mimo wszystko mógłbym ci pomóc, Strażniku. Musisz jednak być przygotowany na wielką, wielką ofiarę.

Jahiz chciałby się pochylić, chwycić rękę tamtego, błagać go i obiecywać mu wszystko, co zechce, by tylko otrzymać przyrzeczenie, że los Filii będzie zabezpieczony.

- Zabiorę ją ze sobą. Wyjdziemy stąd. Ukryci, z karawaną możemy odjechać bardzo daleko.

Tym razem Egipcjanin popatrzył na niego.

- Ona chyba nie odjedzie od pucharu.

- Wiem. Ale co komu z pucharu, jeśli straci życie?

Egipcjanin uśmiechnął się ciepło.

- Ty to zrozumiałeś, przyjacielu. Ty zdołasz jej po  
móc, uwolnić ją. Ale czas jeszcze nie dojrzał. Musisz  
czekać. Cierpliwie, jak pająk, który tka swoją sieć.

Jahiz zrozpaczony potrząsnął głową.

- Nie mogę czekać! Muszę ją zobaczyć, przekonać  
się, że żyje, że jest jej dobrze!

- Filia jest blisko ciebie. W twoim sercu. Bliżej niż  
myślisz. Była tam przez cały czas. W tych liniach  
widzę wasze życie. Możesz być spokojny, Strażniku!  
Niebo jest po twojej stronie!

Serce Jahiza biło szybko, nerwowo.

- Ja muszę... nie mogę zrezygnować... ona nie mo  
że myśleć, że zawiodłem. Ani że umarłem.

Wtedy Egipcjanin wstał i strzepnął piasek z płaszcza.

- Chodź ze mną, przyjacielu.

Z jakiegoś trudnego do wytłumaczenia powodu Jahiz poszedł za nieznanym, nie zadając więcej pytań.

Wyjechali z miasta, kierując się ku jednemu z licznych obozowisk, gdzie wielkie namioty ze skóry ustawiono kręgiem wokół niedużego ogniska z wielbłądziego łajna.

Egipcjanin zaproponował Jahizowi miejsce do spania pod osłoną rozpiętej tkaniny. Kiedy chłód nocy podpełził pod ich posłania, młodzieniec usłyszał historię pucharu.

I zanim zaczęło świtać, złożył przysięgę, że ofiaruje wszystko w służbie tego klejnotu. W żarzących się kawałkach świętego drewna widział obrazy rozgwieżdżonego nieba i własne życie. Chaldeczyk rozpoznał w nim brata. Nie było w życiu Jahiza żadnych tajemnic dla tego jasnowidza. Młody człowiek zrozumiał też, że kiedy matka prosiła go, by został strażnikiem pucharu, wiedziała więcej, niż on mógłby wówczas pojąć.

Musiał być przygotowany na to, by poświęcić wszystko.

Nawet miłość do Filii.

Aż takie ważne jest, by puchar wrócił do domu.

Chaldeczyk dał mu skórzany woreczek i wytłumaczył, co powinien zrobić. Dostał też kubek niezwykłego wina i ciężki naramiennik ze skóry.

- Pamiętaj, że ja poznałem wasze życie. Miłość może niekiedy zniknąć niczym księżyc za chmurą, ale

ona wtedy także mimo wszystko trwa. Dopóki istnieje bóg Słońca... dopóki puchar nie wróci do swojej świątyni w Egipcie.

Jahiz z ulgą przyjął tę obietnicę, a potem obaj poszli szukać Halizy.

Chaldejczyk powiedział, że puchar posiada moc przywracania pokoju. Że święty klejnot nie tylko potrafi uratować jego miłość do Filii, lecz także pokój na całym świecie. Wobec jego siły Rzymianie znikną w otchłani i wojny zostaną przerwane.

Jahizowi kręciło się w głowie.

Ale błysk w oczach Chaldejczyka ocucił go i przywrócił mu siły. Słowa matki nabierały teraz nowego znaczenia: przeznaczeniem jego życia jest służenie temu pucharowi i pomaganie kobietom, które o niego walczą.

Haliza słuchała słów Jahiza, coraz bardziej wytrzeszczając oczy.

Krzyknęła, kiedy odsłonił przed nią twarz, była przekonana, że nie żyje. Przecież jej ojciec osobiście opowiedział ludziom, jak zabił tego parszywego psa, swego siostrzeńca.

W chybliwym blasku niebieskawych płomieni słowa Egipcjanina były jeszcze bardziej porywające.

- Będiesz matką siedemnastu plemion, równie potężnych jak wielkie Quresher! Jesteś błogosławiona, Halizo, wybrana przez boga, który zesłał ci puchar.

Kreślił jej horoskop na dużej kózce skóry. Zielony atrament trochę się rozmazywał, Haliza jednak widziała tylko, jak szczupłe ręce Egipcjanina dosłownie tkają jej przyszłość równie jasną jak rozgwieżdżone niebo.

- Puchar posiada wielką moc, musi być jednak strzeżony i czczony przez właściwych ludzi - szeptał

cicho Egipcjanin, raz po raz spoglądając jej w oczy. Haliza była blada i spocona. Z przejęciem słuchała coraz to nowych obietnic.

- Kiedy się to wszystko ziści, potężny panie? Opo wiedz mi, jak to będzie, powiedz, co mam robić! A co z moim mężem i jego nową żoną? Czy może będą musieli umrzeć?

Egipcjanin przymknął oczy.

- Ścieżka jego losu już nie przecina twojej. Jesteś wolna. On jest żebrakiem niczym błądzący pustynny wilk.

Haliza westchnęła ciężko.

- Nie potrafię zdobyć się na współczucie dla niego. Jest dla mnie jak bryłka nawozu. Zdradził mnie, zdradził wszystkich. Zastanawiam się, na co wydał te wszystkie pieniądze? Jedwabne szaty i ozdoby... najwięcej poszło prawdopodobnie na nią!

Wypluwała z siebie słowa. Jahiz

delikatnie ujął jej dłoń.

- Zasłużyłaś na więcej, Halizo. Teraz jesteś panią pucharu i gdybyś chciała mnie przyjąć, ja także będę twój.

Patrzyła na niego długo. Mierzyła wzrokiem jego szerokie barki. Nie mogła się powstrzymać, a kiedy wyprostował się i napiął mięśnie ud, oblizła wargi końcem języka.

- No, ale... Filia?

Jahiz i Egipcjanin popatrzyli na siebie znacząco.

- Jesteśmy strażnikami pucharu, jego opiekunami i jego wojownikami. Puchar nigdy nie popełnia błędu, Halizo. Jesteś jego właścicielką, a przez to naszą boginią.

- A więc powiadacie... że teraz... posiadam magiczną moc? Puchar spełni wszystkie moje pragnienia niczym czarodziejska lampa? Czy naprawdę jest tak jak w starych baśniach o džinnach? Czy one zostały moimi sługami?

Jahiz uśmiechnął się blado.

- Tak, Halizo. Mniej więcej tak. Zostaną spełnione twoje największe pragnienia.

Roześmiała się głośno, perliście, oszołomiona winem i fantazjami.

Potem wstała, wykonała kilka tanecznych kroków wokół ogniska, powiewała szalem niebezpiecznie blisko ognia.

W jednym z namiotów w pobliżu poidła dla wielbłądów rozlegały się śmiechy i śpiew. Niskie męskie głosy mieszały się z zawodzącymi dźwiękami instrumentów smyczkowych.

- Ech, Strażnicy! Chcę tańczyć!

Chwiejnym krokiem Haliza pobiegła w stronę muzyki i ludzi.

Twarz Egipcjanina była nieprzenikniona. Jahiz ruszył, by zawrócić Halizę.

- Idź z nią - polecił Chaldeczyk. - Ona jest teraz niczym klacz w okresie rui. Pokieruj nią, użyj wszystkich dostępnych środków. Ale nie zapominaj, jakie zadanie masz do spełnienia!

Jahiz pobiegł, właściwie trudno było zauważyć, że kuleje. Mięśnie znowu stały się silne i sprężyste, mógł jak dawniej przeskakiwać przez wysokie kępy pustynnej trawy, poruszał się płynnie niczym kot.

Dogonił ją z łatwością. Objął za ramiona, uśmiechał się prosto w otwartą twarz.

Ona nie protestowała, wsunęła mu rękę pod pachę. Jahiz wiedział, że handlarze i Beduini pomyślą, iż kupił sobie niewolnicę. Żadna przyzwoita kobieta nie obejmuje w ten sposób mężczyzny ani też nie chodzi z nim w pobliże ognisk, gdzie się tańczy i opowiada nieprzyzwoite historie. Nawet żonom i cór-

kom poganiaczy wielbłądów nie wolno bywać w takich miejscach. Jeśli towarzyszą swoim mężom lub ojcom, prowadzą spokojne życie w namiotach.

- Chcę tańczyć - chichotała Haliza. - I chcę więcej wina! O, Jahiz, napijmy się wina ze świętego pucharu! Wtedy będziemy potężni jak bogowie, nie są dzisiaj? Potężniejsi niż wszystkie dzinny i inne duchy...

Śmiał się do niej szeroko i łaskotał ją palcem po plecach.

- Haliza, będziemy tańczyć i pić wino, dopóki niebo się nad nami nie zamknie. Ty jesteś moją boginią, moją groźną właścicielką! Bądź jednak ostrożna, byś nie ujawniła swej władzy, zanim będziesz mogła ją wykorzystać.

Położył sobie palec na wargach jako znak, że powinni zachować tajemnicę. Ona chwyciła jego rękę i pocałowała palec, który dotykał warg. Potem znowu roześmiała się cicho. Jej głęboko osadzone, brązowe oczy mieniły się w blasku księżyca. Jahiz głośno przełknął ślinę, dostrzegając bowiem w jej twarzy wielkie podobieństwo do Filii. Wargi miała wprawdzie węższe, oczy nieco bardziej skośne; włosy gęstsze, czoło szersze, ręce duże z wyraźnymi żyłami i zmarszczkami.

Ale bez wątpienia była siostrą Filii.

Napełnił płuca chłodnym nocnym powietrzem i położył rękę na barkach kobiety. Kiedy zbliżali się do centrum obozowiska, dostrzegali półnagie niewolnice tańczące przed bijącymi brawo mężczyznami. Raz po raz któryś z nich obnażał białe zęby w grymasie pożądania. Tłuści handlarze wznosili toasty i wykrzykiwali coś do tańczących. Częstowano je kandyzowanymi daktylami, prażonymi w miodzie orzechami, migdałami z Chin i innymi pysznościami z obcych krain. One odsłaniały się coraz bardziej. Ja-

hizowi zaschło w ustach, kiedy w końcu zobaczył, że jedna z nich tańczy jedynie w mieniącej się przepasce na biodrach. Jej jasne ciało lśniło w księżycowym świetle, mieniło się odbitym blaskiem ognia.

Haliza z pewnością nigdy jeszcze niczego takiego nie widziała. Przystanęła z wahaniem, oparła się o niego. Oczy miała szeroko otwarte.

Przez całe swoje życie była dobrze strzeżoną żoną, musiała jednak się choćby domyślać, jakiego rodzaju rozrywek szukają mężczyźni na targach niewolników lub u Turków towarzyszących karawanom.

W kręgu męskim zrobiło się niespokojnie, kiedy Jahiz wślizgnął się między nich. Tutaj jednak nikt nie potrzebował specjalnego zaproszenia, przyjęto go, zwłaszcza kiedy uniósł bukłak z resztą egipskiego wina. Częstował nim chętnie wszystkich siedzących najbliżej. Oni chrząkali i pili za jego zdrowie, nie ukrywali jednak zdziwienia, że taki młody mężczyzna wybrał sobie taką starą i zniszczoną niewolnicę.

W miarę jak Haliza stawała się coraz bardziej pijana, potrząsała włosami i śmiała się szelmowsko do wszystkich, komentarze stawały się jeszcze bardziej ordynarne.

- Hej, przyjacielu, czyżbyś wędrował przez pustynię tak długo, że piasek zasypał ci oczy? Ona jest paskudna jak zły duch, nieszczęsny chłopcze, lękaj się o własne życie, jeśli nie przestaniesz się z nią zadawać.

- Niech nas bogowie chronią przed taką nędzą - śmiał się inny.

- Stare kobiety, młode wino, jakaż to udręka dla nieszczęsnego mężczyzny!

Gruchnął śmiech.

W oczach Halizy pojawił się niepewny błysk, choć wciąż była za bardzo pijana, by do końca zrozumieć



obraźliwe przycinki. Kiedy jednak któryś z zebranych wsunął łapę pod jej ubranie i uszczypnął ją w tyłek, wrzasnęła i Jahiz musiał interweniować.

- Nie tykaj mojej bogini - powiedział głośno.

Potem wziął ją na rękę i podniósł jak dziecko.

Haliza pojękując przywarła do niego.

Kiedy przytuliła twarz do jego policzka, poczuł obcy zapach z jej ust.

- Zabierz mnie stąd, szlachetny dzinnie... zaprowadź mnie tam, gdzie moje marzenia zostaną spełnione.

Odszedł z nią dość daleko od tłumu, który wciąż wiwatował, wrzeszczał i wykrzykiwał nieprzystojne komentarze na temat młodego mężczyzny i jego posuniętej w latach kobiety.

- Musisz się stać gwiazdą zaranną, Halizo. Musisz wskazywać drogę.

Śmiała się cicho, zadowolona, wodziła palcem po jego twarzy, tuliła się w jego ramionach. Jahiz poczuł wkrótce nieprzyjemny ból w zmęczonych plecach.

Dźwigał ją jednak przez cały czas wokół obozowiska aż do miejsca, w którym dogasało właśnie ognisko Egipcjanina. Ten, otuliwszy się płaszczem, spał spokojnie, najwyraźniej niczego się nie bał, bo nawet nie zabezpieczył się przed skorpionami magicznym kręgiem nakreślonym wokół posłania.

Jahiz położył Halizę na macie z plecionej trawy. Kiedy okrywał ją derką, wyciągnęła ku niemu spragnione ramiona.

- Chodź, chodź do mnie, mój kochany, mój nie wolniku, mój królu i boże! Pragnę cię, chcę poczuć twoją gorącą skórę...

Jahiza przeniknął dreszcz.

Wsluchiwał się w oddech Egipcjanina i stwierdził,

że kapłan jednak nie śpi. Na wszystkich bogów, chciał użyć wszelkiej magii, jaka tylko istnieje, by wypełnić żądanie tej nocy.

Haliza leżała z zamkniętymi oczyma i otwartymi ustami.

Zaschło mu w gardle, więc wzmocnił się ostatnim łykiem wina, jaki jeszcze został w skórzanym worku, a potem zaczął głaskać jej brzuch, wyczuwał okrągłości ciała pod zwojami cienkiej tkaniny. Uszczypnął ją w pierś, z krtani kobiety wydobył się gulgot. Wodził rękami po miękkiej, obcej skórze, przeczesawał palcami włosy.

Potem masował bezsilne ramiona, pochylił się nad leżącą i drażnił brzuch końcem języka. Chwycała go za głowę, poczochnęła mu włosy i jęknęła z rozkoszy.

Uświadomił sobie, że teraz mógłby ją wziąć, zapach kobiety drażnił jego nos, budził żądzę.

Przycisnął ją mocno do siebie, ale nie zdjął ubrania. Mówił szeptem:

- Mogę napełnić cię życiem tylko pod warunkiem, że będziesz miała w rękach puchar, kochana Halizo. Tylko jeśli będziesz trzymać puchar...

Krzyknęła cicho, ale otworzyła oczy i w blasku księżyca napotkała jego zuchwałe spojrzenie.

Kiedy podsunęła mu twarz do pocałunku, nie protestował. Poczował smak jakiegoś dziwnego, nie znanego przedtem owocu. Gdy zaś zaczęła śpiewać starą miłosną pieśń, zarumienił się i musiał odwrócić twarz.

Głos miała cieniutki, niemal dziecinny, lekko zachrypnięty od wina.

Jahiz patrzył na jej zniszczoną twarz. Wiedział, że los dla Halizy także nie był łaskawy.

Oszustwo za oszustwo.

Wszystko dla pucharu.

Pasterz kóz siedział, nakrywszy głowę wielką chustą, i przyglądał się trojgu ludziom wokół wygasłego ogniska. Widział kobietę wyciągającą ramiona do swego kochanka. Widział obcego, który jak martwy leżał pod derkami. Noc wkroczyła właśnie w najciemniejszą fazę, ale wkrótce smuga światła na wschodzie zacznie się powiększać i będzie można rozróżnić rysy kobiety.

Po dziesięciu latach doglądania zwierząt pasterz miał oczy bystrzejsze niż drapieżny ptak, a uszy czulsze niż pustynny wilk. Podciągnął nogi, otulił się szczelnie w płaszcz i wiedział, że nikt nie zwróci uwagi na jego czujne spojrzenie. Byli przekonani, że on śpi, a przynajmniej drzemie. Kozy leżały spokojne, zbiły się w gromadę i tylko czasami jakieś pojedyncze meknięcie mąciło ciszę.

Chętnie podszedłby bliżej, może udałoby mu się pojąć coś z rozmowy tych trojga. Ale szum głosów i hałasy z głównego obozowiska docierały aż tutaj, został więc na swoim miejscu, wiedział bowiem, że tutaj najlepiej wypełni swoje zadanie.

Filia nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spała pod tym dachem. Wpatrywała się w piękny sufit i myślała, że był on ostatnią rzeczą, jaką jej matka widziała przed śmiercią. Przestronna komnata z pięknymi meblami stanowiła też miejsce jej urodze-

nia. To tragiczne wydarzenie, początek cierpienia, myślała Filia.

Otrząsnęła się już z gniewu, w jej sercu była teraz pustka. W ciągu paru sekund dowiedziała się, że Ja-hiz żyje. Że pogłoski o zemście Shafira są zwykłym zmyśleniem, a ludzie gadają nie mając pojęcia, jak jest w rzeczywistości.

Leżała pod cienką kołdrą i miała wrażenie, że jej ciało się kurczy.

Jahiz żyje.

W twarzy Dhermii nie dostrzegała kłamstwa. Filia wpatrywała się w te same oczy, które niedawno fałszywie przysięgały jej, ojcu, sędziom i całemu światu. Szorstka skóra, krótkie rzęsy przypominające pustynną trawę, którą wiatr przyciska do ziemi. Wiecznie gestykulujące ręce Halizy, grube uszy, nos podobny do nosa Filii. Wargi, które tylekroć miały na nią przekleństwa i nazywały ją wariatką.

To były jej siostry, jej krew.

Zła krew, która postanowieniem losu musi wyginąć.

Żadna z siostr nie urodziła dziecka, żadna nie dała nowego życia. Były wyschłe i jałowe niczym sama pustynia i równie bezlitosne jak pustynia bywa wobec nocnego wędrowca.

Filia zamknęła oczy, nie chciała patrzeć na piękny sufit. Ale pod powiekami tańczyły wspomnienia. Ścigały się jak ifrity w zagrodzie dla zwierząt, napępiały jej umysł szyderczym śmiechem, budziły nienawiść jeszcze wtedy, gdy Filia zapadła w niespokojny sen.

- Flawinia! Flawinia! Filia zepchnęła Mec do wężowej grotty! Chodź i zobacz, twarz niewolnicy już się zrobiła całkiem sina!

Filia słyszała, że Dhermia wrzeszczy przez całą drogę do domu. Jej zwinne nogi niemal nie dotykały żwiru, przeskakiwały przez kamienie i niskie krzaczki; biegła na przełaj do kobiecej części domu.

Na dnie wyłożonej kamieniami głębokiej jamy niewolnica przestała krzyczeć.

Filia stała na krawędzi, sztywna z przerażenia, i patrzyła, jak syczące węże kłębią się w kącie i jak nieustannie wbijają zęby jadowe w ciało nieszczęsnej kobiety.

Dziewczęta obowiązywał surowy zakaz, nigdy nie wolno im było chodzić na dół do stajni. A węzowa grota była zakazana jeszcze bardziej. Głęboka, przypominająca studnię jama w ziemi, ocembrowana gładkimi kamieniami, została zbudowana dawno temu przez jakiegoś znachora, który zerwał ze swoim plemieniem i zdobył sławę dzięki umiejętności uzdrawiania chorych.

Włóczył się po okolicy i łapał jadowite węże oraz najgroźniejsze skorpiony. Obchodził się z nimi bardzo ostrożnie, znosił je do domu i trzymał w tej grocie. Mówiono, że węże rosły i dobrze się tam czuły, posiadały jakoby magiczną moc wabienia do siebie małych zwierząt.

Od dawna już nikt nie zbierał ich jadu, nikt nie spuszczał się na linie do tej studni, by wyciskać z ich pysków krople drogocennej cieczy.

Ale węże nadal tam były. Nikt zresztą nie wiedział, czym się żywią, zwłaszcza gdyby legenda o tym, że z pomocą złych duchów przyciągają do siebie zwierzęta ofiarne, miała się okazać nieprawdziwa...

Dhermia zmusiła niewolnicę, by weszła na krawędź studni i zajrzała w dół. Twierdziła, że przed chwilą sama tam stała i wpadł jej do studni piękny srebrny pierścionek. Tak strasznie bała się węży, że

pierścionek sam z siebie zsunął się jej z palca i zleciał na dół!

Niewolnica jęczała i błagała o litość, twarz jej pobladła z przerażenia:

- O, szlachetna panienko, nie zmuszaj mnie do tego! Pozwól, bym sprowadziła mężczyzn, oni na pewno znajdą jakiś sposób! Ja nie mogę! Mięśnie sztywnieją mi ze strachu na samą myśl o tych wstrętnych gadach!

Dhermia uśmiechała się krzywo.

- Masz odwagę nie posłuchać rozkazu, niewolnico? W takim razie zaraz poproszę ojca, by cię natychmiast kazał wrzucić do groty. Twoja zuchwałość jest niewybaczalna!

Niewolnica Mec już więcej nie błagała. Widocznie dostrzegła w oczach Dhermii, że to jest próba. Dhermia uwielbiała takie zabawy, całymi dniami mogła się zastanawiać, jakie słabe punkty mają różni ludzie. Kiedy potem zaczynała swoje złośliwe gierki, zawsze bardzo uważała, by patrzeć swojej ofierze w oczy. Rozkoszowała się strachem, jakby to był nie wiem jaki cenny klejnot lub szczególnie rzadkie zwierzę.

Mec skuliła się, nakryła głowę rękami, szlochała i błagała o łaskę. Ale Dhermia kopnęła ją, niezbyt mocno, i zmusiła, by wstała.

- Szukaj mojego pierścionka! W przeciwnym razie wyładujesz u węży, ty bezczelna!

Filia przerażona stała pod ścianą obory i przyglądała się zajściu. Kiedy Mec powlokła się w stronę studni, jej własne nogi ruszyły z miejsca. Musiała dopaść Mec, powstrzymać nieszczęsną niewolnicę, zanim Dhermia ją zepchnie.

Suknia Filii rozdarła się, kiedy siostra z całych sił

złapała sześciolatkę i zatrzymała ją przy sobie. Jej oczy lśniły niebezpiecznie.

- Co ci przyszło do głowy, ty żalosna gówniario? Czy może chcesz się mieszać do poleceń, jakie wydaję niewolnikom? Czy może sama chcesz się znaleźć w tej jamie?

Złapała Filię za suknię na piersiach i uniosła ją wysoko, a potem cisnęła na ziemię. Otarta noga dziewczynki zaczęła krwawić.

Tymczasem niewolnica znalazła się nad krawędzią grotu. Człogała się na czworakach, przegarniała palcami piasek i śmieci gorączkowo szukając pierścionka. Dhermia wolno ruszyła w jej stronę.

Filia poczuła, że całe jej ciało dygoce.

Nagle zobaczyła, że silna stopa Dhermii oderwała się od ziemi. Kopniak trafił niewolnicę w bok, a był dostatecznie mocny, by kobieta straciła dech i spadła.

Krzyk, jaki się rozległ, kiedy upadła na dno studni, mógłby obudzić umarłego. Ale kamienne ściany go stłumiły, zdaniem Filii niósł się wprost do nieba. Stała jak wrośnięta w ziemię, widziała, jak siostra zasłania twarz rękami, jak spogląda ukradkiem przez palce.

Potem również Dhermia zaczęła krzyczeć - wzywała pomocy. Filia chciała biec, położyć się na brzuchu na kamiennej obmurówce i podać rękę skazanej na śmierć kobiecie. Wiedziała jednak, że jest już za późno na ratunek.

Dhermia stała po drugiej stronie i teraz krzyczały wszystkie trzy. Kiedy Filia odważyła się nareszcie spojrzeć w dół, stwierdziła, że twarz niewolnicy była już, z jednej strony szara. Po szyi spływały dwie strużki krwi.

Tylko raz napotkała spojrzenie tamtej i potworne wrażenie, że oto spozrzała w oczy śmierci, sprawiło, że pospiesznie odskoczyła od krawędzi.

Wtedy Dhermia pobiegła.

Jej krzyk brzmiał niczym echo krzyku siostry, dopóki czyjaś zdecydowana dłoń nie zamknęła ust Filii.

Została oskarżona o to, że świadomie zepchnęła Mec na dół.

Wszyscy przecież wiedzieli, że to właśnie Mec kazano poprzedniego wieczoru wychłostać dziewczynkę, gdy ojciec, wróciwszy do domu, stwierdził, że mała przewróciła oliwną lampkę i zalała duży zwój ważnych pergaminów.

Flavinia płakała tego wieczoru, a wszyscy niewolnicy zebrali się w swoim budynku i modlili za duszę biednej Mec.

I za duszę Filii.

To właśnie tej nocy Filia miała pierwszy atak swojej strasznej choroby. Wiele następnych dni spędziła za zasłoną u ciotki, a Flavinia szukała kogoś, kto by potrafił uleczyć okrutne cierpienie dziecka.

Sześciolatka już się zdecydowała.

Lekarstwem będzie dla niej jad węża.

I to Dhermia go jej przyniesie!

Kiedy Filia zrzuciła z siebie kołdrę i stwierdziła, że pot pokrywa całe jej ciało, przez duży otwór okienny zobaczyła blask poranka.

Pamiętała sen.

Pamiętała tamto wydarzenie z węzami.

I przysięgę, jaką w dziecięcym uporze złożyła tamtego dnia.

Czy to wtedy zaczęła się bać Dhermii?

Nie, to musiało się zacząć dużo wcześniej. Niejasno przypominała sobie, że jeszcze wtedy, kiedy była oseskiem przy piersi Flavinii, coś w niej sztywnia-



ło za każdym razem, kiedy pełen wściekłości głos siostry rozlegał się na dziedzińcu dla niewolników.

Teraz, po niespokojnej nocy, wstała obolała, ręce i nogi miała sztywne.

Dlaczego wspomnienie węży pojawiło się akurat dzisiaj?

Dlaczego nienawiść do siostry płonie takim ogniem właśnie teraz, kiedy właściwie tamta okazała jej łaskę i pozwoliła nawet zająć pachnący kurzem pokój matki?

Filia wiedziała.

To dlatego, że jej serce jest niczym puste naczynie i może zostać napełnione czymkolwiek.

Jahiz je opróżnił.

Jahiz jak jakiś zły duch wyssał z niej życie i wszelką nadzieję.

Nie szukał jej, nigdy nie próbował wyjaśnić, co się stało, kiedy Filia uciekła z domu. Czy wiedział, jaki właściwie los spotkał jego matkę? Czy wiedział, co się stało, kiedy siostry wróciły do domu?

Nie miała pojęcia. Myślała tylko o tym, że ją zdradził, on, który kiedyś nazywał siebie jej strażnikiem.

I strażnikiem pucharu.

Teraz zniknęli, i on, i puchar, nawet się nie pożegnawszy.

Filia leżała, nie śpiąc, i czuła narastającą lodowatą tęsknotę, by chwycić jedną z pięknych szabel ojca, ruszyć przez pokoje i mordować, mordować, mordować, aż ten przeklęty dom będzie tak samo skrwawiony i martwy jak ona.

Zastanawiała się trochę nad tym, dlaczego myśli nieustannie krążą wokół Dhermii i tego, w jaki sposób byłoby najlepiej odebrać siostrze życie.

Właściwie przecież to Haliza powinna umrzeć najpierw.

Zgodnie bowiem z tym, co mówią szpiedzy Dhermii, Haliza była teraz kobietą Jahiza.

I w tym też nie było nawet cienia kłamstwa, którego można by się uczepić. Ani siostra nie kłamała, ani ten pomarszczony pasterz.

- Są w drodze do przełęczy. Uciekają razem z pewnym Egipcjaninem ubranym w płaszcz kapłana.

Dhermia poklepała Filię po ręce. Ręka była chłodna jak skóra węża.

- Zatrzymamy ich, droga siostrze. Zaufaj mi!  
Serce Filii biło spokojnie, miarowo, pewnie, świądome celu.

Jakby każde uderzenie było krokiem naprzód w drodze przez pustynię.

Oblizwała wargi po smacznej zupie z fig i małych zielonych cytryn.

Uśmiechnęła się blado do siostry, przyglądając się uważnie jej tłustej szyi.

Dwie strużki krwi?

Albo cały strumień, po cięciu mieczem.

Filia demonstracyjnie oblizywała palce. Przez wszystkie lata żyła jak niewolnica, Dhermia była przekonana, że ma nad nią władzę.

- Biedaczko - powiedziała siostra, kiedy pasterz i służące zniknęli. - Nic dziwnego, że jesteś rozgoryczona. Byliście przecież kochankami, prawda? I zwie rzyłaś się z tego Halizie? - Jęknęła i gwałtownie po trząsnęła głową. - Nie obawiaj się - powtórzyła. - Nie pozwolimy im odejść zbyt daleko. Nie pozwolimy zabrać pucharu...

Filia spokojnie uniosła brodę i wpiła spojrzenie w Dhermię.

- Dziękuję ci, siostrze. Utraciłam wszystko, wie,

o tym. Teraz ty masz nade mną władzę, mogę cię tylko prosić o łaskę.

Dhermia raz jeszcze poklepała ją po ręce.

- Zwrócę ci tego drania i będziesz mogła z nim zrobić, co zechcesz. Puchar jednak jest mój, to chyba rozumiesz?

Filia wolno skinęła głową. Wycisnęła z oczu kilka łez.

- Po prostu go sobie weź, Dhermia. Ja go już nie potrzebuję...

## 12

Egipcjanin miał pięć złotych monet.

Jahiz wpatrywał się w nie, słońce odbijało się w jednej z nich. Nie były to monety cesarskie ani też takie, jakimi posługują się greccy kupcy. Były jednak złote. Ciężkie, czerwonawe, prawdziwe.

- Za te pieniądze można zajść daleko. Może nawet do samego domu - oznajmił Chaldeczyk. Kupił dla wszystkich chleba i kwaśnego mleka, a także kiść daktyli. Sołone mięso, które jadali w obozowiskach, nie nadawało się na podróż. Człowiekowi chce się po nim pić i zapach wody się wyczerpują, nim podróż dobiegnie końca.

Nie chcieli iść wraz z karawanami kierującymi się ku wschodniej, największej przełęczy. Wybrali mniejszą, północną, gdzie góry są bardziej strome i niedostępne. Żeby dojść piechotą do wybrzeża, do portowego miasta, gdzie zdaniem Egipcjanina bez trudu znajdą miejsce na statku do Egiptu, trzeba poświęcić wiele dni i nocy.

- Statki przewożące zboże są powolne i duże, ale na jednym z nich bezpiecznie dotrzemy do domu. Mając przy sobie puchar, będziemy właściwie w świątej podróży, nie musimy się o nic martwić - mówił Egipcjanin z uśmiechem.

Jahiz myślał:

A więc mimo wszystko zobaczę morze.

Haliza przytulała się do niego mocno tego wieczora

i wsuwała rękę pod jego kaftan. Szeptala mu do ucha słodkie obietnice, co to będzie, kiedy już odnajdą puchar.

Egipcjanin odszedł od nich jeszcze o zmierzchu. Chciał odczytywać coraz wyraźniejsze gwiazdy na niebie, porównywać ich położenie ze szkicami na swoich pergaminach.

Puchar znajdował się gdzieś niedaleko, pod piaskiem pustyni.

To ważne, by boskie nici losu zostały właściwie splecione.

- Ty, Halizo, jesteś kapłanką. Dzisiejszej nocy masz odnaleźć puchar i przekazać go jego ojcu. Nagroda dla ciebie będzie wielka. Zostaną spełnione twoje największe pragnienia.

Przymknęła oczy i myślała o swoim mężu.

Teraz jest biednym żebrakiem, żyje może pośród tych, którzy kręcą się wokół chat garbarzy i proszą, by im pozwolono oczyszczać wnętrzności zwierząt z cuchnącej zawartości. Rozkładają potem ten nawóz na kamieniach, suszą i sprzedają ludziom na opał. Żywi się pewnie resztkami mięsa, znajdującymi się na wyrzuconych kościach i tłuszczem, który garbarze zeskrobują ze zwierzęcych skór.

Zastanawiała się, co też teraz robi jego młoda żona.

Prawdopodobnie sprzedaje się w obozowiskach karawan za kubek mleka lub wina.

Haliza czuła, że piersi jej nabrzmiewają.

Ona jest, jak to powiedział chaldejski kapłan, błogosławiona. Dostała nie tylko bogactwo, lecz także męczyznę i nowe, fantastyczne życie. Przeszłość zostawiła za sobą. Wszystko. Nigdy więcej nie poczuje smrodu tej trupiarni, w jaką przemienił się dom jej ojca.

W kraju daleko, daleko stąd będzie miała własny

pałac, własne szaty z chłodnego jedwabiu, ludzie będą ją szanować.

Już właściwie czuła, że brzuch jej się powiększa, coś ją pobolewało w środku, łaskotało. Już wiadomo było, że to się niebawem stanie.

Haliza wyda na świat dziecko, syna, silniejszego i piękniejszego, niż jakakolwiek kobieta dotychczas urodziła.

Jahiz ujął jej palce, mocno je ścisnął.

Uśmiechnęła się do niego, dostrzegając w mroku jego białe, równe zęby. Pachniał też bardzo przyjemnie mimo brudnego ubrania i ogólnego braku higieny. Wysunęła palce z jego uścisku, łaskotała jego skórę, drażniła, przeczesywała włosy.

Zaczęła się niespokojnie kręcić, czuła, że krew szybciej płynie w jej żyłach.

Słyszała uderzenia pulsu pod skórą.

Zrobiło się już całkiem ciemno.

O, gdzie się podział Egipcjanin?

Haliza nagryzała delikatnie wargi Jahiza, dyszała głośno. On objął ją mocno i także jęknął.

Serce tłukło się w jej piersi.

Wielka, wielka jest moc pucharu. Takiego pożądania nie odczuwała nigdy do swego małżonka, nawet w najpierwszym, dobrym okresie małżeństwa.

A przecież wciąż jeszcze puchar pozostawał w ukryciu. Wciąż leżał głęboko w piasku za dwiema bliźniaczymi palmami, które wyrosły przy opuszczonych ruinach niedaleko domu jej dzieciństwa.

Dojście do tego miejsca zajmie im pół nocy.

Już się zastanawiała, gdzie ukryją się zaraz potem, gdzie w końcu zostanie zaspokojone to wielkie pragnienie, które od tak dawna trawi jej ciało.

Dziecko, dziecko...

Dziecko Jahiza, równie piękne i silne jak on.

Wojownik, król!

Egipcjanin jej to obiecał i w głębi serca Haliza wierzyła, że sen się spełni. Puchar może dać jej wszystko.

Bogowie nareszcie dostrzegli krzywdę, jaka się Ha-lizie dzieła przez całe życie.

Dhermia rozkazała, by dwa konie zostały zaprzężone do rzymskiego powozu, który od dawna stał i rdzewiał w stajni jej ojca.

Tam, pośród wysokich tyczek do namiotów, wielkich stosów skór, skrzynek z ceramiką i kawałków kosztownego drewna, Shafir przez wiele lat gromadził przedmioty, które brał w zastaw za długi.

Powóz był stary, koła skrzybiały okropnie, kiedy zmuszono je, by się znowu zaczęły obracać. Ale czysty czerwony kolor i złocenia w cesarskim herbie lśniły pięknie. Ludzie wyporządkowali uprzęż, konie błyszczały od szczotek i wosku.

Rano Dhermia przyszła do pokoju Filii z dużą tacą świeżego, pachnącego chleba i obranych owoców. Jabłka, brzoskwinie, winogrona, granaty zostały starannie oczyszczone z pestek, polane sokiem cytrynowym i miodem. Do tego kubek zmieszanego z wodą wina.

- Kochana siostrze, dzisiaj chciałam cię zaprosić do krawca. Nie możesz dłużej chodzić w tych szmatach, nie teraz, kiedy w końcu znalazłaś właściwe miejsce. Powin naś się wstydzić, ale przecież po tylu latach spędzonych między niewolnikami pewnie nie wiesz, jak się ubrać.

Roześmiała się przyjaźnie i wyciągnęła ozdobioną pierścionkami dłoń, by pogłaskać siostrę po włosach.

- Musimy pokazać ludziom, że zachowujemy się

tak, jak powinny się zachowywać zrozpaczone córki, kiedy ich ojciec leży na łożu śmierci. Musimy pójść do Czarnego Kamienia i złożyć ofiarę Allachowi, by ojciec został jak najszybciej uwolniony od cierpienia.

Filia przyglądała się siostrze. Kroki tamtej były szybkie i energiczne. Ręce gestykulowały jak zawsze.

Co się stało Dhermii?

- Jedz teraz, kochana kruszyno! Jesteś blada, zmęczona i powolna. Ale to nic dziwnego, masz się przebiec czym martwić. Modlitwa ci pomoże, zobaczysz! No, a teraz pospiesz się!

Filia zjadła trochę owoców i popiła wodą.

Miała jakiś nieprzyjemny smak w ustach, nie gorzki czy cierpki, raczej jakby żuła strzęp mokrej owczej wełny.

Dhermia dała znak ręką i dwie niewolnice wniosły do pokoju strój, parę sandałów i nakrycie głowy zdobione zielonymi kamieniami i barwnymi wstążkami.

Wniesiono również wannę z wodą i wkrótce Filia stała na podłodze naga i drżąca, podczas gdy niewolnica oczyszczała jej ciało z potu i słonych łez. Na mycie włosów nie było czasu, natarto je tylko olejkiem, a potem pięknie upięto w wysoki kok.

Twarz została zasłonięta welonem zdobionym srebrnymi nitkami, na palce włożono pierścienie.

Pozwoliła, by niewolnice natarły jej ręce i stopy liliową farbą, co świadczyło, że jest w żałobie.

Dhermia z zachwytem piasnęła w dłonie.

- Otóż to! Myślę, że teraz członkowie rady starszych będą zadowoleni!

Filia zdążyła się już domyślić, jaka jest przyczyna nagłej przemiany siostry. Haliza zabrała puchar.



Dhermia lęka się więc o resztę dziedzictwa po ojcu, wie bowiem, że majątek, jaki Haliza może dostać za puchar, pozwoli jej kupić równie dobrych świadków, jak ci, których ona sobie kupiła. Ludzie będą słuchać tej, która ma więcej złota.

A woskowe tabliczki z podpisem ojca okażą się bezwartościowe, jeśli jej czterej świadkowie z jakichś powodów zostaną przez sąd uznani za niewiarygodnych.

Haliza stała się bardzo niebezpieczna.

Nie powinno to jednak trwać długo.

Prędzej czy później sprawa się rozstrzygnie.

Dhermia wiedziała, że czterej bracia, członkowie małego beduińskiego plemienia ze wschodu, będą śledzić każdy ruch Halizy i jej towarzyszy.

Siostra nie ma najmniejszych szans.

Nie ma możliwości ucieczki z pucharem.

Beduini potrafią z wielką precyzją rzucać swoimi krótkimi, ostrymi nożami. Oczy Halizy staną się pożywieniem termitów, skorpionów i innych strasznych pustynnych stworzeń.

Zagnieżdżą się w jej objętej do czysta czaszce i uwiją gniazda w rozczochranych włosach.

Dhermia uśmiechała się pod nosem.

Jahiza odda Filii.

Najwyraźniej jest on jedynym człowiekiem, który potrafi obudzić życie i protest w martwym spojrzeniu siostry. Filia go nienawidzi.

To musi oznaczać, że go kocha.

Wymyśliła naprawdę wspaniałą intrygę, zabawnie będzie obserwować, jak jej szalona siostra zadrecza na śmierć niewiernego kochanka.

Dhermia zawsze wiedziała, że w Filii drzemie ogień. Jeszcze pamięta spazmy wstrząsające małą dziewczyn-

ką, która stała z wytrzeszczonymi oczyma i miotła przekleństwa na starszą siostrę.

Wiedziała, że Filia jest jak niebezpieczne dzikie zwierzę zamknięte w klatce. Jak wilk lub górski lew, który wpadł w pułapkę.

Taką siłę należy wykorzystać.

Filia chciała zamordować ich ojca, nie miała jednak okazji, by dokończyć dzieła.

Dhermia liczyła na to, że nie upłynie zbyt wiele czasu, a Filia znowu spróbuje. Tym razem powinno jej się udać.

W ten sposób skończą się też zmartwienia Dher-mii, żadne pogroźki ani więzy nie przeszkodzą jej już zostać najbogatszą kobietą w mieście.

I najpotężniejszą.

Chodzi tylko o to, żeby w tym rozstrzygającym okresie niczego nie przeoczyć, trzeba dosłownie mieć oczy dookoła głowy. Nie zwierzyła się nikomu i dbała, by znachorki i beduińskie kobiety, które codziennie przychodzą doglądać chorego lichwiarza, były sownie wynagradzane.

Dbła też, by najpotężniejsi mężczyźni w mieście wiedzieli, że córka Shafira odziedziczyła ojcowski zmysł do interesów.

Już teraz zaczęto ją nazywać rabbat-al-beit: władczyni domu, choć ten tytuł zwykle używany jest tylko w odniesieniu do kapłanek w świątyniach.

Przy Czarnym Kamieniu, wmurowanym w ścianę, leżały góry gnijących warzyw, kosze ziarna, całe ciała owiec, a także monety.

W górze wieszano barwne wstążki i kawałki płótna z modlitewnymi znakami. Cała rodzina leżała

z czołami przyciśniętymi do ziemi i krzykiem wyrażała żal po zamordowanym ojcu. Błagali bogów o pomoc i obiecywali hojne ofiary, jeśli powiedzie im się krwawa zemsta. Zostało nawet przyniesione małe dziecko i złożone w ofierze - szybkim ruchem podcięto mu gardło. W ten sposób przekonywano bogów, że rodzina jest gotowa ofiarować wiele.

Filia patrzyła na to wszystko, jakby ludzie byli jedynie szmacianymi lalkami, ciskanymi tu przez jakiegoś potężnego boga.

Widziała wykrzywione twarze kobiet, ich puste oczy wzniesione do nieba, błagające o łaskę, podczas gdy dziecko wykrwawiało się na śmierć i brudziło pomalowany na biało święty mur.

Poprzez zgiełk, gdzieś w głębi głowy, słyszała dalekie głosy chrześcijańskich kobiet, które zapewniały, że Zbawiciel przyszedł na świat, by wziąć do siebie wszystkie swoje dzieci.

Czy tak to się miało stać?

Czy wyznawcy Chrystusa czekali na to, że bogowie wezmą do siebie każde dziecko?

Oszołomiona wrzaskiem tłumu, pełnymi szacunku pozdrowieniami wykrzykiwanymi w stronę skrzypiącego powozu, ostrym końskim odorem i ciężkimi perfumami Dhermii, Filia pogrążyła się w drzemce.

Ocknęła się naprawdę dopiero wtedy, kiedy siostra poprowadziła ją po wypolerowanych schodach do miejsca, gdzie zbierała się rada starszych, do domu pod dużymi liściastymi drzewami, które niewolnicy codziennie podlewali.

Wewnątrz w wielkiej sali powitali ich uzbrojeni strażnicy. Byli to przeważnie afrykańscy niewolnicy lub nie

należący do żadnego plemienia pustynni wojownicy. Niektórzy niskiego wzrostu, lecz krępi, znakomicie walczyli szablami, inni rośli, małowówni, pochodzili z berberyjskich terytoriów na północy.

Filia patrzyła na płonące lampy, na kilimy pokrywające ściany i na wspaniałe mozaiki ułożone ze złota i srebra.

Pomieszczenie było takie wielkie, że trudno uwierzyć, iż sufit się nie zawalił.

- Będę tu kiedyś zasiadać, jako pierwsza w tym mieście kobieta, która została tjairą - szepnęła jej Dhermia poufale.

Filia spojrzała na nią bliska szoku.

Czy ona całkiem postradła zmysły? Przecież kobieta nie może zostać tjairą!

Ale Dhermia już się pochylała przed małym, krępyim mężczyzną, w którym Filia rozpoznała najważniejszego w radzie starszych.

I po zwyczajnych powitaniach zwrócił się do Dhermii tym właśnie szlachetnym tytułem.

Filia zadrżała.

Znała władzę tjairów i oczyma duszy widziała już, jak Dhermia posyła na śmierć nawet najpotężniejszych swoich wrogów.

Sama stanie się prawie nietykalna. Tak jak tamtego dnia, kiedy nieszczęsna Mec wylądowała w gnieździe wężów.

Serce Filii ścisnęło się boleśnie.

Ale chłodna pustka ochraniała ją, szła więc spokojnie u boku siostry i obojętnie słuchała rozmowy tamtych dwojga.

Możny pan żądał, by Dhermia wyszła za męża.

Tłumaczył, że potrzebuje ona mężczyzny, dzięki

któremu będzie mogła bezpiecznie zarządzać wielkim dziedzictwem Shafira. Wielu spośród miejskich tjaarów uważało, że nie można spokojnie patrzeć na to, iż kobieta zarządza takim majątkiem.

Dhermia musi znaleźć sobie męża, niewolnika, jeśli tak będzie trzeba, kogoś, nad kim mieć będzie pełną kontrolę, kto jednak użyczy jej swojej pieczęci.

Rozmówca posunął się tak daleko, że zaproponował jej własnego pasierba, który nigdy prawie nie bywa w Mekce, żegluje bowiem po szerokich morzach i ma już jedną żonę w budującym się dopiero mieście na zachodnich krańcach cesarstwa.

Dhermia uśmiechała się i załamywała ręce, zachwycając się równocześnie rodziną i życiem swego mądrego gospodarza.

- Codziennie dziękuję bogom wiatru za twoje jasne i szybkie rady. Szanowny tjaarze, łaskawy sędzio, naprawdę wezmę sobie twoje słowa do serca. Ale zrozum nieszczęsną kobietę w żałobie: mój ojciec jeszcze żyje.

Mężczyzna na moment pochylił kark na znak współczucia.

Wszelkie reguły zabraniały mu dotykania kobiet, sięgnął jednak po puchar, ucałował jego krawędź, po czym podał go przez stół Dhermii. Gest był niemal familiarny, tak zachowuje się pan domu wobec swojej córki, żony lub synowej podczas rodzinnych uroczystości.

Dhermia znowu podziękowała.

Filia siedziała i wpatrywała się w piękne, barwne kilimy za przypominającym tron krzesłem tego, który przewodniczy spotkaniom rady starszych.

Na tkaninie przedstawiono coś w rodzaju polowania, nagie postaci kobiece ścigały jakieś niezwykle zwierzę z ludzką głową. Zwłaszcza drzewa były jak żywe,

Filia miała wrażenie, że ich owoce mienia się i pachną.

Wyglądała jak pogrążona w drzemce, ale nie uroniła ani słowa, ani jednego gestu mogącego wskazać, kim jest ten człowiek i jaką rolę spełnia w grze Dhermii.

Dhermia obiecała, że zwróci jej Jahiza.

Filia wciąż jeszcze nie wiedziała, co się wtedy stanie.

Przymykała oczy i próbowała przywołać we wspomnieniu jego twarz, dzień i noc bowiem nosiła w sobie jego wizerunek. Ostry ból i pustka w sercu czyniły ją czujną i gotową.

Krwawy dzień nadejdzie, ale Filia nie miała jeszcze planu.

Czy go wtedy zabije, czy też będzie kochać?

Wbije mu nóż w serce, czy sama pozwoli się przebić?

Trudno było teraz o tym myśleć. Czuła jedynie, że nienawiść do losu, jaki ją spotkał, rozrasta się z każdym dniem, a twarz oglądana w srebrnym zwierciadle staje się coraz pełniejsza i ładniejsza.

- Nie, gwiazdy proszą, byśmy zaczekali. Kiedy księżyc będzie w nowiu, Wenus minie ostatnią gwiazdę w zbiorze boginii Słońca. Kiedy znak Skorpiona zrobi miejsce wznoszącemu się Słońcu, wtedy dopełni się czas. Tak mówią gwiazdy.

Haliza zagryzała z całej siły wargi i chciała protestować.

Dwanaście nocy minęło od chwili, gdy podróżująca trójka znalazła jaskinię w zboczu góry i rozścieliła tam swoje derki. Egipcjanin natychmiast wyjął pergaminowe zwoje pokryte dziwnymi znakami. Każdego wieczora, mrużąc oczy, wpatrywał się w niebo, jakby szukał tam wskazówek.

I tak pewnie było, twierdził bowiem, że pośród da-

lekich mrugających gwiazd żyją bogowie i poprzez ruchy gwiazdozbiorów kierują losami ludzi.

Zaczynało im brakować jedzenia, Haliza marzła nocami i pociła się w ciągu dnia. Nie miała się czym zająć, nie było nawet na czym oka zawiesić. Siedzieli pod skalnym uskokiem, a przed nimi rozciągały się bezkresne piaszczyste wydmy; w oddali majaczyły te dwie bliźniacze palmy. Zapachy miasta tu nie docierały, a kiedy słońce grzało najmocniej, cały horyzont przesłaniało rozedrgane powietrze.

Haliza czuła się źle.

Jej cierpliwość była na wyczerpaniu, a ostatni łyk wina wylał się na ziemię, kiedy ostatniej nocy Jahiz odepchnął ją od siebie z taką siłą.

Egipcjanin mógłby ją pewnie pocieszyć, ale jego słowa na temat cierpliwości i godności jeszcze bardziej ją irytowały. Jego codzienne obietnice, że jutro, już jutro, drażniły ją tak, że miała ochotę go spoliczkować.

Chaldejczyk był świątobliwym człowiekiem, na początku ledwo miała odwagę na niego patrzeć.

Teraz jednak widziała go, jak pod osłoną skał oddaje mocz, słyszała, jak chrapie w ciemne niczym sadza noce, tak samo jak każdy zwyczajny człowiek.

Uważała, że jego wąskie oczka są nieszczerze, może wcale nie jest żadnym wróżbitą, może to po prostu stary, zdziwaczały pasterz, który dowiedział się o pucharze i chce go zdobyć?

Może ją zamorduje natychmiast, gdy tylko pokaże mu miejsce, gdzie schowała klejnot?

Nie, w takim razie działałby chyba szybciej. I nie musiałby też ciągnąć za sobą Jahiza!

Z wysuszonego gardła Halizy wydobył się jęk, patrzyła na obu mężczyzn, siedzących ramie przy ra-

mieniu u wejścia do jaskini, a Egipcjanin opowiadał pewnie jedną ze swoich baśni.

Jahiz lubił historie. Może rzeczywiście ma w żyłach beduińską krew? Nikt przecież nie wie, kim był ojciec tego bastarda.

Ale że urodziwy, to trzeba przyznać.

Właściwie to z każdym dniem ładniejszy.

Haliza czuła, jak w całej tej niecierpliwości, by jak najszybciej spełniły się marzenia, rosło w niej uczucie do Jahiza.

Mogła oprzeć się o twardą skałę, przymknąć oczy i natychmiast słodkie fantazje ogarniały jej ciało, czasem musiała zagryzać palce, by nie krzyżeć.

Wiedziała, że on odczuwa to w taki sam sposób.

Wyczuwała jego męskość, widywała go rankami, kiedy koszula przylegała do spoconej skóry...

Udało jej się. Zdobyła go.

Ukochanego Fiii! Ha!

Kiedyś go zapytała o siostrę, odpowiedział jednak, że nigdy się nawet nie dotknęli. I Haliza wiedziała, że mówi prawdę. To jeszcze wzmacniało jej miłość.

Haliza będzie się mogła cieszyć, że ten mężczyzna porzuci Filię i ją uczyni swoją żoną wobec całego świata. A kiedy już puchar zostanie sprzedany i Haliza wróci do domu z mężem, synami i bogactwem... wtedy los Dhermii też się odwróci.

Jahiz wie dostatecznie dużo, by ujawnić jej podstęp.

Haliza wiedziała wprawdzie jeszcze więcej i chociaż świadectwo kobiety nie znaczy aż tyle, co słowa mężczyzny, to miasto będzie w końcu musiało pojąć, kto jest prawowitym spadkobiercą lichwiarza.

Przymknęła oczy i pogрузzyła się w marzeniach.

Dni pełne będą triumfu. Haliza odnajdzie swego ży-



wiącego się zgnilizną męża i każe go publicznie zaćwi-czyć na śmierć. Teraz on będzie ją błagał o litość tak, jak ona go niegdyś błagała. I on też będzie prosił na próżno. Z dumą pokaze mu swego syna i będzie szydzić z jego obwisłej męskości, z jego pozbawionego mocy nasienia, którym bezskutecznie próbował ją zapłodnić!

Ha! Ten jego szydery wyraz zawsze, kiedy zażywała tajemnicze wywary i chciała, by do niej przychodził...

Błagała go, całowała jego puste jądra, jakby to były najśłodsze daktyle. Ale on ją odtrącał, śmiał się z niej, szydził, że żaden mężczyzna nie chciałby mieć nic wspólnego z kobietą, której łono jest jałowe.

Te gorzkie wspomnienia przyprawiły ją o ból brzucha. Ten człowiek upokorzył ją tyle razy, że tylko śmierć będzie odpowiednią karą.

Nie, chwileczkę, nie sama śmierć.

Najpierw niech go zwierzęta rozszarpia na strzępy. Jego czerwone mięso rzuci na pożarcie bezdomnym psom, a członek szczurom...

Kiedy Jahiz podszedł i dotknął jej ramienia, Hali-za podskoczyła.

Dostrzegła, że słońce na zewnątrz jest niemal krwiste, że wydmy toną w czerwieni kończącego się dnia.

- Dziś w nocy - szepnął Jahiz. - Egipcjanin powiada, że już teraz jest noc.

Haliza przyciągnęła go do siebie, śmiała się zachwycona prosto do jego ucha, czuła jego wargi na szyi.

On się jednak zaraz cofnął, stał drżąc lekko. Haliza uśmiechała się.

Dzisiejszej nocy niebo zostanie rozdarte dokładnie tak, jak wówczas gdy Czarny Kamień został podarowany panującemu na ziemi ludowi.

Dzisiejszej nocy nie tylko jej życie rozkwitnie jak

piaszczysta ziemia po rzadkich opadach deszczu.

Dzisiejszej nocy spadnie na nią bogactwo, a jej ciało dzięki nasieniu Jahiza uzyska nieśmiertelność.

Cienie jeźdźców zlały się w jedno z mrocznymi konturami góry.

Ich oczy były jak oczy kruków, śledzili trójkę wędrowców z taką łatwością, jakby księżyc znajdował się w pełni. Zdolność widzenia w nocy, wyćwiczona przez setki lat życia na pustyni, upodobiała ich do węży. Węże widzą w ciemnościach i nigdy nie mrugają.

Węże nie mają powiek.

Obserwatorzy czekali spokojnie, aż trzy sylwetki miną dwie bliźniacze palmy. Widzieli, że tam jedno z nich się pochyla, a pozostali zaczynają kopać. Tuż pod starym murem, który pewnie kiedyś był częścią zagrody dla kóz, widocznie tam został ukryty ów cenny skarb.

Wódz przekazał szeptem polecenie, język, którym się posługiwał, brzmiał tak miękko i dźwięcznie, że słowa przypominały szelest wiatru w suchej trawie.

- Zaczekajcie...

Egipcjanin czuł, że piasek pod cienkimi podeszwami jest jeszcze gorący. Kostur, na którym się opierał podczas schodzenia z niewielkiego zbocza, był gruby i solidny.

Na plecach jak zawsze Chaldeczyk niósł zawiniątko ze zwojami pergaminu. Prawie już pusty worek na wodę obijał się o udo, ale to nie miało znaczenia. Zadanie zostanie wkrótce wypełnione, a później on napije się do syta z chłodnego źródła.

Już trzy noce minęły od chwili, kiedy wyraźnie to zobaczył. I to dlatego worek na wodę był taki lekki.

Komety, która rozjarzyła się na niebie, nie było w żadnych astrologicznych szkicach.

Najwyraźniej dopiero co się narodziła.

Natychmiast pojął, co się musi stać, i podjął zadanie bez lęku.

A mimo to, kiedy zbliżali się do miejsca, które kobieta wskazała, odczuwał pewien niepokój. Stare legendy zawierają wieczną prawdę. W moc pucharu nie wątpił.

Puchar odnajdzie własną drogę do domu, z pomocą jego stóp lub bez.

Uśmiechał się sam do siebie podniecony tym, że to jego bogowie wybrali do tej roli.

Przez całe pokolenia strażnicy świątyni i obserwatorzy gwiazdzistego nieba strzegli boskiej tajemnicy.

Ale on, niegodny syn wielkiego mędrca Antronio-

na, będzie pierwszym w wiekuistym łańcuchu Chaldejczyków, który trzymał puchar w rękach od czasu, gdy ten błędnie został ofiarowany fałszywemu księciu.

Puchar powinien wrócić do świątyni, gdzie Izyda będzie z niego pić aż do zarania wieczności.

Wtedy spłynie z niego siła i skończy się niewola egipskiego ludu.

Przyjdzie Księżę Pokoju.

Narodzi się On ze zwykłej kobiety, która będzie niczym ziemia nawodniona przez potężny Nil takiej wiosny jak ta.

Dzisiejszej nocy, dzisiejszej nocy...

Dokona się to daleko od piramid, ale dokładnie pod gwiazdą Skarabeusza.

Musiał spojrzeć ukradkiem na Halizę. W ciemnościach była jedynie sylwetką, ledwo dostrzegając wilgotne białka jej oczu.

Nie była ładna, nie była też dumna ani szlachetna.

Właściwie nie mógł zrozumieć, że to ją wybrali bogowie.

Ale, z drugiej strony, kim jest on, jeśli nie nędznym oszustem, noszącym chaldejski płaszcz na zdeformowanym barku?

Egipcjanin przystanął, kiedy Haliza pokazała palcem i powiedziała zdyszana:

- Tutaj! Tuż obok dwóch sterczących kamieni... znajdziesz je po ciemku?

Jahiz zaczął rozgrzebywać piasek rękami.

Haliza szeptała, że powinien unieść trochę kamień, że puchar schowany jest płytko, ale strzeżony przez na pół rozwalony mur.

Wiatr chłodził twarz Jahiza, kiedy ten posuwał się po omacku naprzód, wzdłuż kamienia.

Wbijał palce w piasek, był ubity i twardy. Gdzieś tutaj musi być bardziej sypki, w miejscu gdzie Hali-za niedawno kopała.

Wkrótce znalazł to, czego szukał. Luźny, sypki piasek.

Zaczął kopać, pospiesznie, obiema rękami. Jak pies wyrzucał kamienie, jakieś resztki pustynnej trawy.

Ranił sobie opuszki palców aż do żywego mięsa, ale nie dał się powstrzymać bólowi.

Oddech Halizy brzmiał jak ciche postękiwanie burzące monotonię wiatru.

Niemal wyczuwał zapach potu Egipcjanina.

W końcu poranione palce natrafiły na coś miękkiego, jakby mięso.

To skórzany worek, w którym ukryła puchar!

Wyprostował się. Zwrócił ku dwóm postaciom w ciemnościach.

- Jest tutaj.

Egipcjanin wydał z siebie przeciągły jęk. Potem położył jedną rękę na ramieniu Jahiza, drugą objął talię Halizy.

- W takim razie zaczynajmy - wyszeptał. - Jest właśnie godzina, w której szakale depczą wóz boga Słońca. Niebezpieczne godziny...

Haliza bliska omdlenia słuchała zawodzenia Egipcjanina. Opowiedział im dokładnie, jak owa święta doba powinna przebiegać. Dopiero kiedy słońce wzniesie się ponad te dalekie skały na wschodzie, powinna się rozegrać ostateczna walka.

Egipcjanin opowiedział im o księgach, o świecie podziemnym. O starych pismach i znakach, które przed tysiącami lat zostały wyryte i namalowane w grobach królów Nowego Państwa. Tak jak noc podzielona jest na dwanaście godzin, tak bóg Słońca Re

walczył z władcą podziemi Ozyrysem. Na krótką chwilę każdej nocy ci dwaj się godzili. Byli jednak tak od siebie różni, że zawsze rozdzielali się i walczyli, by znowu się godzić i podejmować walkę następnej nocy.

- Przez całą noc bóg Słońca musiał walczyć ze swoim arcywrogiem, wężem imieniem Apep. Ale w ostatniej godzinie on sam przemienił się w potężnego węża i wyjdzie z tego odnowiony tak, że o brzasku może się ponownie narodzić - ciągnął Egipcjanin.

Jahiz siedział z otwartymi ustami. Egipcjanin spojrzał mu w oczy i pokiwał niemal ze współczuciem. Mówił jednak dalej:

- Tylko Król zna owych osiem prawd o wschodzie słońca. Jest jedynym rozumiejącym mowę, którą po służą się dusze Wschodu.

Haliza oszołomiona słuchała cichego głosu Egipcjanina. Teraz widziała też jego ręce, noc zaczynała jaśnieć. Widziała, jak kapłan wyjmując jakąś maskę, połykiwała lekko na kamieniach. Widziała też, że barwi piasek, kreśląc na nim dziwne wzory, złożone z kręgów i trójkątów.

Ze swojej torby wyjął czaszkę zwierzęcą z rogami

- W tej godzinie Baran jest znakiem boga Słońca.

Jahiz przytaknął skinieniem.

- Zatem bóg przybiera rozmaite kształty w zależności od pory doby? Czy dobrze pamiętam, że w południe mówiłeś, iż jest jastrzębiem, a rano skarabeuszem?

Egipcjanin nie odpowiedział. Zaczął już mamrotać jakąś dziwną pieśń, kreśląc równocześnie rękami w powietrzu symbole. Smuga słonecznego światła na wschodzie stawała się coraz wyraźniejsza.

Haliza czuła bolesne mrowienie pod skórą z niecierpliwością, żeby już wyjąć puchar. Nie chciała nawet

myśleć o tym, co się stanie, jeśli będą czekać za długo. A co będzie, jeśli przyjdą tu jacyś ludzie i ich zobaczą?

Nie, kryjówka znajdowała się wprawdzie niedaleko miasta, ale nie wiodły tędy żadne ścieżki. Nie, tutaj są tylko kamienie, skały i piasek, nawet pasterze nie mają tu nic do roboty.

Egipcjanin zanurzył palce w niedużym naczyniu.

Z zamkniętymi oczyma kreślił ciemną farbą na swojej twarzy proste linie.

Następnie pomalował powieki i nos Jahiza.

Przeżona Haliza wpatrywała się weń w mdłym świetle brzasku. Twarz młodego mężczyzny przypominała trupią czaszkę, ciemne oczodoły, obgniły nos.

Teraz Egipcjanin poprosił, by Haliza się rozebrała.

Oblało ją gorąco, ale zrzuciła z siebie obszerne szaty.

Ranek był wilgotny i chłodny, brodawki piersi Halizy kurczyły się od zimna i pod dotykiem Egipcjanina. On rysował kręgi na wysokości jej bioder, dokładnie tam, gdzie powinno spoczywać dziecko. Na czole nakreślił jakiś bardzo skomplikowany znak.

Potem sam stanął pośrodku dużego koła na piasku, ich poprosił, by zostali na zewnątrz. Między swymi nogami ułożył kupkę chrustu i złożony dłoń z rozwianym włosom kontynuował swoją pieśń wzywającą boga wschodzącego Słońca.

Haliza marzła. Dostała gęsiej skórki, małe włoski na ramionach zjeżyły się. Nie dostrzegając spojrzenia Jahiza, czuła jednak, że pali ono jej skórę, jakby z jego oczu spływały strzałki trafiające jej nagie ciało.

Przepelniała ją duma.

Stała wyprostowana z rozpuszczonymi włosami i czuła, że mrowienie w dole brzucha przeradza się w głębokie, pulsujące pożądanie.

Zmęczenie, jakie ją teraz ogarniało, niesło ze sobą ciepło, przesłaniało jej wzrok ciemnoczerwoną smugą. Gdyby nie nocny chłód, pogrążyłaby się pewnie w drzemce pełnej gorączkowych, erotycznych marzeń. Choć jednak śpiew Egipcjanina był cichy i usypiający i chociaż mięśnie Halizy pragnęły odpoczynku, to wciąż trwała wyprostowana i wiedziała, że jej ciężkie piersi ładnie wyglądają z profilu na tle porannego nieba.

Nagle Egipcjanin umilkł. Wyciągał ręce ku niebu, oczy miał teraz zamknięte.

Zdali sobie sprawę, że dzień nadchodzi.

Wąska smuga światła stawała się coraz szersza.

Piasek w oddali nabierał złotej barwy, czerwone cienie kładły się na zboczach gór.

Egipcjanin wyszedł z kręgu i ruszył do miejsca, gdzie znaleźli puchar.

Wielokrotnie kłaniał się, czołem niemal dotykając ziemi, i wciąż powtarzał swoje modlitwy.

W końcu wsunął obie ręce głęboko w otwór i wyjął przedmiot, potem starannie go rozwinął.

Haliza zobaczyła jego oczy, okrągłe i wilgotne, kiedy po raz pierwszy poczuł w rękach ciężkie złoto.

Z jego gardła wydobyło się coś jakby zdławiony krzyk.

Następnie ustawił puchar pośrodku kręgu, a sam wycofał się mamrocząc pokorne modły.

Wyjął z torby małe szklane naczynko, zakorkowane i oblane woskiem. Wylał jego zawartość na puchar. Rozszedł się niezwykle zapach, nie był przykry, po prostu obcy.

Wtedy Egipcjanin spojrział Halizie w oczy i ujął rękę Jahiza. Wszyscy razem utworzyli wokół kręgu na piasku trójkąt z ludzi.

I wtedy horyzont się rozjarzył.



Haliza poczuła pierwsze promienie słońca niczym pożar na swoich nagich plecach. Wszyscy w milczeniu wpatrywali się w puchar i oto nadeszła wyczekiwana chwila.

Słońce mieniło się w czerwonym złocie, padało na szlachetne kamienie. Promienie światła odbijającego się od pucharu znaczyły na piasku punkty i linie.

Egipcjanin, któremu blask słońca padał prosto na twarz, zamknął oczy i otworzył usta, jakby chciał połknąć złocistą kulę.

Kiedy cała tarcza zawisa już nad horyzontem i słońce mogło spokojnie żeglować po niebie, Chaldejski kapłan wydał z siebie krzyk przypominający dalekie wycie pustynnego wilka witającego dzień.

Haliza znowu zadrżała, choć chłód, który marszczył jej nagą skórę, został teraz zastąpiony przez intensywne, złociste ciepło słońca.

Egipcjanin rozpostarł na piasku swój płaszcz, liliowa jedwabna podszewka mieniła się niczym barwione morze.

- Teraz się połączcie, teraz, kiedy bóg Słońca znowu zamieszkał na niebie!

Jahiz zatoczył się obok Halizy, ona jęknęła z drżeniem patrząc, jak on również zdejmuje z siebie ubranie, zostawia tylko cienką białą koszulę.

Jej ramiona zostały wykręcone do tyłu, w dłoniach poczuła gorący metal pucharu. Pojęła, że powinna go trzymać mocno, toteż zaciskała ręce, podczas gdy mężczyzna dokonywał świętego dzieła.

Podniecenie poprzednich nocy tkwiło w jej głowie niczym dalekie echo. Dygotała, ale nie z pożądania.

Mimo to była gotowa go przyjąć. Nieoczekiwanie poczuła się dziwnie onieśmielona. Egipcjanin szep-

tern objaśniał im święty rytuał, ale kiedy teraz leżeli obok siebie na piasku i słońce świeciło im w oczy, nie było to wcale takie cudowne. Ani takie rozkoszne.

Jahiz drżącymi rękami gładził jej ciało. Ona wyczuwała własny zapach i zastanawiała się, czy jego to podnieca, czy przeraża. Nie miała odwagi spojrzeć mu w twarz, zachowała tylko nadzieję, że on dotknie wargami jej ust.

Zawsze przedtem, kiedy do tego dochodziło, oboje dygotali z pożądania.

W końcu Jahiz to zrobił, pocałował ją.

Obecność Egipcjanina przeszkadzała im.

Haliza poczuła na sobie silne męskie ciało, szorstką skórę, która drapała jej delikatny brzuch. Biodra miał wąskie, wsunął się między jej uda niczym zwinny kot. Czowała, jak stara się w nią wejść, wiedziała jednak, że nie jest jeszcze całkiem gotowy. Chciała objąć jego głowę, całować go długo i mocno tak, by żar się rozplomienił, eksplodował w jego ciele pożarem, nie mogła jednak wypuścić z rąk pucharu. Miała niejasne przeczucie, że wtedy wszystko by przepadło.

- Chodź - wyszeptała zamiast tego. - Chodź, pozwól mi spróbować twoich ust... ukochany... mój bogu...

Jego oddech owionął jej twarz, Jahiz całował ją, najpierw ostrożnie, tuż u nasady włosów, potem wzdłuż nosa, na koniec to on ujął jej górną wargę między swoje i ssał niczym spragnione dziecko. Haliza przycisnęła do niego biodra. Teraz słyszała daleki śpiew ptaków witających nowy dzień. Powietrze nagrzewało się szybko, rosa z piasku zniknęła.

Miękkie, zmysłowe wargi Jahiza były trochę słone i miały w sobie smak gorzkich ziół. Przytrzymała jego język, pozwoliła, by wszedł jak najgłębiej. Ich zę-

by się dotykały podobnie jak biodra, kiedy Haliza przywierała do kochanka.

Jego ręce stawały się coraz bardziej niecierpliwe, oddech szybszy, podniecenie brało górę.

Wdarł się w nią, a ona odczuła to tak, jakby znowu była dziewicą.

Napięcie w ciele, dziwne rytuały, oszołomienie, oczekiwanie na to fantastyczne, co miało się wydarzyć...

Dygotała jak w spazmach, kiedy on naprężył się i wszedł w nią aż do samego dna.

Filia i Dhermia słuchały słów wysłannika. Mówił po arabsku bez cienia kupieckich barwnych dialektów. Dumny Arab w ciasnym turbanie chroniącym włosy składał raport.

Uciekinierzy zostali pojmani dokładnie tak, jak łaskawa pani poleciła. Egipcjanin nie żyje, także zgodnie z rozkazem. Zresztą wyciągnął mały sztylet, więc sam jest sobie winien.

Kobieta i mężczyzna żyją. Zostali przyprowadzeni do miasta tak, jak Dhermia kazała.

- A puchar? - zapytała Dhermia niecierpliwie. - Natychmiast daj mi puchar! A wtedy dostaniecie za płatę, którą obiecałam.

Na te słowa beduiński wojownik uśmiechnął się kącikiem warg, a jego rzadki zarost przypominał sierść pustynnego lisa.

- Czcigodna pani, mamy małe zmartwienie...

Dhermia poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Musiała użyć całej siły, by zachować spokój i nie rzucić się na tego człowieka. Tego się właśnie obawiała, że wynajęci beduińscy szpiedzy zorientują się, jak

ogromną wartość ma puchar, i zażądają dodatkowej zapłaty.

- Szanowny wojowniku, synu błogosławionego przez bogów, bohaterskiego ludu... o czym ty mówisz? Czy puchar został uszkodzony? A może, co gorsza, jacyś nędzni złodzieje znowu go ukradli?

Mężczyzna z nonszalancją odrzucił kawałek kory, który dotychczas żuł.

- Nie, nic podobnego, szlachetna pani. Ale... nie możemy go wyrwać z rąk mężczyzny...

Filia przeżywała to wszystko jak senne marzenie, jakby jakieś złe dziny przesuwały jej przed oczyma nieprawdziwe, migotliwe obrazy.

Wprowadzono naga, brudną Halizę z rękami związanymi na plecach. Gdy tylko mężczyźni puścili napiętą linę, Haliza upadła i leżała w bardzo nieprzyzwoitej pozie, z rozstawionymi szeroko nogami. Filii zaschło w ustach, gdy zobaczyła plamy zakrzepłej krwi na wewnętrznej stronie ud siostry i jej stopy odarte ze skóry, pełne pęcherzy, których się nabawiła podczas długiej wędrówki po rozpalonym piasku.

Wniesiony został Jahiz, a właściwie przywleczony, przywiązany linami do dużej płachty. Wymalowana twarz nosiła ślady otarcia, a nagie ramiona pokrywała zaskorupiała krew i zmieszany z potem piach.

Mężczyzna sprawiał wrażenie martwego. Oczy zamknięte, nie zareagował nawet wtedy, gdy oprawcy rzucili go na kamienną posadzkę.

Głowa uderzyła głucho o kamienie, ale dłonie wciąż trzymały puchar. Palce niczym szpony wykute z najtwardszego żelaza zaciskały się na klejnocie. Filia spostrzegła, że na krawędzi pucharu znajdują się plamy świeżej krwi.

Dhermia kazała wszystkim wyjść z pokoju. Filia wahała się i pospieszne spojrzenie siostry pozwoliło jej zostać.

Beduini dostali swoją sowitą zapłatę, a ponadto Dhermia dołożyła im sporo za milczenie. Nie było to chyba konieczne, ci mężczyźni bowiem żyli ze swej siły oraz z faktu, że potrafili przekonać klientów, iż każdy ma dwoje oczu, a tylko jeden język.

Kiedy już wszyscy zniknęli, w pokoju zaległa cisza, którą zakłócał jedynie świszczący oddech Hali-zy. Ruch powietrza sprawił, że zasłona z paciorków przy wejściu zachrzęściła, gdy Dhermia przeszła obok energicznym krokiem.

Filia klęczała przy niskim stoliku i wpatrywała się w swego ukochanego.

Czuła, że powoli jej serce się budzi, a pustka zaczyna pulsować głucho niczym dalekie bębny.

Beduin nie powiedział wiele, potrafił jednak odmalować sytuację, wymieniając jedynie suche fakty.

Napadli na nich w środku miłosnego uniesienia Ha-lizy i Jahiza, zabili przyglądającego się Egipcjanina.

Jahiz został zepchnięty z kobiety tuż po tym, jak z jękiem nappełnił ją swoim nasieniem. Oboje rozpaczliwie trzymali puchar, palce Halizy jednak puściły, gdy przystawili do nich nóż.

Jahiz stracił dwa palce lewej ręki. Ból wykrzywił mu twarz, widzieli też jego przerażenie, że mimo bólu nie może puścić pucharu.

Twierdził, że nie jest w stanie tego zrobić.

Filia nawet nie mrugała.

Mgła przesłoniła jej wzrok, w sercu zapanował chaos.

Gdzie się podziała Dhermia?

Czy to wszystko to jakaś złośliwa próba z jej strony?

Czego siostra oczekuje? Że Filia uwolni oboje więźniów, wyrwie puchar i odda go jej?

Filia siedziała, bez ruchu, aż oddech Halizy zaczął

się wolno zmieniać, przechodził w gardłowe, jakby zdławione wołanie o pomoc.

Filia tylko raz w życiu poznała chłód lodu. Zamarznięta woda, zapakowana w wiórki i piasek, została przywieziona jako dar ślubny, kiedy najstarszy syn wodza plemienia Tamin żenił się z pewną księżniczką ze wschodu. Ludzie w mieście byli urzeczeni i przestraszeni cudem, kiedy kamyki topiły się w ustach i zmieniały w czystą, orzeźwiająca wodę.

I właśnie teraz pomyślała o tym niezwykłym doznaniu, uprzytomniła sobie bowiem, że do niedawna jej duszę wypełniała zamarznięta woda.

Jahiz dochodził do siebie i najpierw pomyślał, że znowu znajduje się na rynku pod drzewem. Że rany i ból jaki teraz odczuwał, jakby mu ktoś wbijał noże w ciało, to wciąż rezultat ataku Shafira.

Po chwili jednak oprzytomniał bardziej i wolno otworzył oczy.

W górze nad sobą widział piękny sufit. Jego wzrok przyciągały niebieskie i czerwone malowidła przedstawiające tańczące ptaki. Stwierdził, że ściany zostały zbudowane z najlepszego kamienia, chociaż może potrzebowały pobielenia. Otwory okienne obramowano polerowanym drewnem i przesłonięto cienką, powiewającą tkaniną, by upał i owady nie przedostawały się do wnętrza.

Przyjemnie pachniało miętą i cynamonem.

Jęknął, ale udało mu się odwrócić głowę.

Przy jego posłaniu siedziała jakaś kobieta. Była ubrana na biało i miała wąskie, brązowe oczy. Wargi były czerwone i pełne życia, wyczuwał też ciężką woń jej perfum.

- Łaski - wyszeptał z trudem. - Pozwól mi żyć, wielka ifrit...

Potem znowu zapadł się w czerwony tunel.

Ale kobieta dotykała go chłodnymi dłońmi, pobrząkiwanie jej srebrnych bransoletek przypominało głos dalekich, niebiańskich dzwonek.

- Nie lękaj się, Jahizie. Teraz jesteś w domu. W domu, do którego należysz... u mnie!

Czuł, że te ręce go obejmują.

Czuł nacisk, siłę, jakiej użyła, gdy próbowała wyjąć puchar z jego uścisku.

Ale on nie puścił.

Z wielkim wysiłkiem zdołał się przewrócić na bok, skulił się jak płód w łonie matki, przyciskając puchar do brzucha i piersi. Usłyszał jej ciche westchnienie.

A potem łagodny głos:

- Zaśnij teraz, wędrowcze. Zaśnij, by się, być może, nigdy więcej nie obudzić... ja będę cię strzegła, ciebie, który nazywasz się strażnikiem pucharu...

Haliza została przywiązana do ściany w pomieszczeniu, które Shafir kazał niegdyś zbudować w piwnicach dla przechowywania swoich najbardziej wartościowych papirusów. Wyłożona kamieniami krypta miała ciężkie drzwi zamykane na solidny zamek. W tym miejscu podłoga nie było skaliste, wszędzie tylko piasek, toteż lichwiarz nie pochował tu swej zmarłej małżonki, choć początkowo tak właśnie zamierzał zrobić. Spoczęła w górskiej grocie obok innych zmarłych członków bogatych rodzin.

Halizę przerażały ciemności i to ciasne pomieszczenie. Wiedziała wprawdzie, że przez otwór prowadzący na dziedziniec domu dociera tu dostatecznie



dużo powietrza i że się nie udusi. Ale ciemność, ta potwornie gęsta ciemność mogła ją załamać, nim minie pierwsza doba.

Kiedy trzeciego dnia Filia przyszła do niej z jedzeniem i wodą, więźniarka krzyczała piskliwie niczym ranny ptak i błagała o światło.

Filia odstawiła na bok oliwną lampkę i pozwoliła siostrze się nią cieszyć. Źrenice tamtej powoli się zmniejszały, twarz uspokajała.

Napiła się wody i nie protestowała, by Filia obmyła jej skaleczenia.

- Zdradziłam cię - jęknęła Haliza. - Zasłużyłam na śmierć, kochana siostrze. Ukradłam to, co należy do ciebie...

Filia przemywała jej ropiejące rany na stopach, a jej twarz przypominała maskę. Wydłubała cierń, przepłukała ranę wodą gotowaną z rozmarynem, potem posmarowała ją maścią sporządzoną z wielbłądziego sadła, pieprzu i leczniczych ziół.

Wodę do picia doprawiła kilkoma kroplami soku z makowych liści, bo wiedziała, że to uspokoi Hali-zę i złagodzi ból.

Więcej jednak zrobić nie mogła. Zresztą wcale też nie chciała.

Kiedy opuszczała pomieszczenie, zabrała lampkę z powrotem. Haliza już nie krzyczała.

Filia postanowiła, że o niej zapomni.

Tygodnie z wolna mijały, w końcu nadszedł czas, w którym przez miasto przechodzić będą wielkie karawany ze wschodu. Jak zwykle miasto napelniało się wtedy tłumami kupców. Przybywały z daleka statki i zatrzymywały się w porcie na wybrzeżu, gdzie wła-

ściciele kramów zarabiają więcej w ciągu czterech ty-godni niż inni przez cały rok.

W powietrzu wyczuwało się nadchodzące wydarzenia. Wszędzie aż się roiło od obcych, niewysokich, p skośnych oczach, którzy jedli całkiem inne jedzenie. Tańczyli inne tańce, jeździli na wielbłądach i na koniach całkiem niepodobnych do tych, jakie hodowały plemiona wokół Bakkah.

Spotykało się czarnych mężczyzn o barkach szerokich jak wielbłądzie siodła. Kołysali się z boku na bok, kiedy szli przez miasto z pozbawionymi wyrazu twarzami i długą ostrą bronią u pasa.

Koptyjscy rzemieślnicy proponowali swoje naczynia, meble, wyroby ze skóry oraz koszyki. Z namiotów i kramów syryjskich kupców głośno zachwalano szkatułki rzeźbione w afrykańskie wzory. W wąskich przejściach prowadzących na miejski rynek tłoczyli się ludzie ze wszystkich zakątków świata, stapiali się w mieszaninie głosów, zapachów, barw i dźwięków.

Rozległa pustynia rozciągająca się za górami wypuszczała ze swoich objęć szeregi udręczonych upałem, półżywych podróżnych. Świątowali swoje nad nią zwycięstwo winem i rozrzutnością.

Dhermia słyszała zgiełk dochodzący z przeludnionego miasta w oazie jedynie jako daleki szum.

Przeważnie siedziała przy posłaniu Jahiza i czekała, aż on odpowie na jej pytanie.

Ich codzienne spotkania przedłużały się coraz bardziej. Młody człowiek zdawał się pogrążony w czymś w rodzaju delirium, być może w jego wnętrzu zamieszkał jakiś duch, który przemawiał teraz przez jego usta?

Opowiadał najbardziej niewiarygodne historie o potężnych wężach, starych kozłach i świętych księżętach

pokoju. Cierpliwie pozwalała mu powtarzać w nieskończoność słowa, które świadczyły o jego szaleństwie:

- Jestem strażnikiem pucharu. Matka i biały bóg powierzyli mi to zadanie. Nigdy nie wypuszczę go z rąk...

Domyślała się, że jakiś potężny dzinn musiał wziąć jego ciało w niewolę. Bo chociaż majaczył, zrobił się błądliwy i wychudł, to mięśnie ramion i pozostałe palce wciąż były silne. Nie wypuścił pucharu ani na moment, nie jadł, nie chodził do ustępu. Ona go pielęgnowała, prała cienką pościel, w której sypiał.

I karmiła go ostrożnie rosółem, zupą cebulową, fasolą i ryżem.

Kiedy księżyc odmienił się cztery razy, Jahiz przestał pytać o Filię.

Dhermia jednak coraz częściej odczuwała dziwny ciężar w piersi. Smutek, który być może brał się stąd, że żyła w domu, w którym leżało dwóch mężczyzn umarłych, choć ich serca nadal biły, a ciała nie zaczynały się rozkładać.

Żebyż on umarł.

To chyba wtedy puchar wypadłby z magicznego uścisku?

Dhermia nie miała odwagi prosić nikogo o radę. Ale pewnego wieczora, gdy wypła trochę za dużo wina, a w dodatku żuła liście przynoszące spokój i sen, poszła do Filii, by ją wypytać o duszę pucharu.

Filia przyjęła ją pod niskim dachem chroniącym kuchnię dla niewolników. Ciepłe pomieszczenie wyglądało tak jak dawniej, kobiety sprzedane jako niewolnice do domu Dhermii pochrapywały na trzciniowych matach za podartymi zasłonami.

Tylko Filia czuwała. Siedziała z przytomnymi oczyma i rękami splecionymi na brzuchu, jakby cze-

kała na Dhermię właśnie tej nocy, o tej godzinie.

- Dlaczego nie sypiasz w pokoju mamy, który ci dałam?

- Nie jest mój. Nigdy mój nie był.

- Mówisz tak dziwnie, Filia. Czy znowu miałaś jeden ze swoich ataków?

Filia uśmiechnęła się jakby nieobecna myślami.

- Tak, być może.

Dhermia zdenerwowała się trochę. Chłodna nieobecność siostry przerażała ją bardziej niż dawniejsze wybuchy i groźne krzyki Filii.

Nie wiedziała, co zrobić, by udobruchać lub załagodzić siostrę. Podała jej po prostu słodkie daktylowe wino, które przyniosła w wysokim kielichu.

- Chcesz się ze mną napić? Za ducha matki i za po dróż ojca do krainy zmarłych.

Filia podniosła wzrok.

- Czy on umarł?

Dhermia wpatrywała się w ciemnobrunatną ciecz.

- Nie... jego chyba uwięził jakiś ghul. Trzyma nie szczęsną duszę ojca w ciele jak w wiekiustym więzieniu. Złóżmy ofiarę za jego wyzwolenie, błagajmy bogów, by zwrócili mu wolność, by mógł się połączyć ze swoimi przodkami w wiecznych oazach...

Twarz Filii nie wyrażała niczego, kiedy dziewczyna piła wino, a potem wylała parę kropel na domowy ołtarzyk pod uschlým drzewem.

- Sprzedałaś już puchar? - zapytała w końcu martwym głosem.

Dhermia postanowiła, że będzie szczerą. To się może opłacić.

- Nie, Filio. On go wciąż mocno trzyma.

- Dlaczego go nie zabijesz?

W głosie Filii brzmiał upór. Z uporem patrzyła też siostrze w oczy.

- Dlaczego nie obetniesz mi rąk tak, jak to się robi złodziejom?

Dhermia słyszała prowokację w słowach siostry.

Postanowiła, że będzie łagodna.

- Dlatego... dlatego, że obiecałam go tobie. Żebyś mogła wymierzyć mu karę, na jaką zasłużył...

Filia chwiejnie pokiwała głową, jakby wypła dużo więcej niż trzy łyki wina.

- W porządku - powiedziała skręklawie. - Cena ła ski będzie dla niego wysoka, Dhermio.

Starsza z kobiet skinęła wolno.

- Teraz to rozumiem. Kochałaś go.

Twarz Dhermii jakoś dziwnie się rozjaśniła przy tych słowach, ale Filia tego nie zauważyła. Nawet nie spojrzała na powiewającą szatę siostry, kiedy ta po długim milczeniu opuściła kuchnię.

Filia czuła, że morzy ją sen, ale oczy miała otwarte przez całą noc.

Czuwała i czekała.

A kiedy nadszedł ranek, lekkim krokiem zeszła do piwnicznej krypty, gdzie Haliza znowu nabrudziła, potrzebowała jedzenia i czystego ubrania.

Jej rosnący brzuch był szary i obwisły, ale twardość pod wiotkimi mięśniami przekonywała Filię, że puchar spełnił pragnienie siostry.

To napęmiło ją spokojem, dało nową siłę i cierpliwość.

Nadejdzie dzień, kiedy jej marzenia będą równie rzeczywiste jak wielki brzuch Halizy i to pulsujące, poruszające się w nim życie.

Dhermia opowiedziała o tym Jahizowi następnej nocy, gdy przyszła do niego z wodą i zupą z prosa.

On leżał z szeroko otwartymi oczyma i rękami jak zawsze zaciśniętymi wokół pucharu. Święty przedmiot spoczywał na jego brzuchu i wyglądał jak ogromny męski organ, trochę wystawał ponad kołdrę, którą ona sama wokół niego udrapowała.

- Czujesz się dzisiaj gorzej, mój drogi? - wyszeptała Dhermia łagodnie.

Próbowała już wszystkiego, od próśb, po dramatyczne błagania. Ale nawet kiedy wyjęła szpilki z włosów, rozgrzewała je do czerwoności nad płomieniem lampki, a potem wypalała różne wzory na skórze jego rąk, Jahiz nie reagował.

Cóż to za potężny duch ochrania go przed wszelkim bólem?

Czy ją też mógłby ochraniać?

Dhermia czuła, że każdego dnia rozrasta się w jej piersi piekący ból. Mogła przesiedzieć całą noc u posłania Jahiza i wpatrywać się przed siebie. On zdawał się widzieć jakiś fantastyczny kraj gdzieś w głębi swoich martwych, szeroko otwartych oczu.

Czasami tylko zamrugał.

I tylko od czasu do czasu słyszała jego świszczący oddech. Jego ciało było teraz bardzo spokojne, ale pocił się mimo wszystko. Małe perełki spływały mu z czoła, zsuwały się ostrożnie po policzkach, przez wąskie wargi. Nie starał się ich zlizać, pozwalał im się toczyć. Tworzyły niezwykłą oazę w zagłębieniu przy szyi.

Dhermia doznała dziwnej chęci scałowania tych kropel.

Zamiast tego otarła mu twarz szmatką umoczoną

w drogocennej różanej wodzie. Wciąż do niego przemawiała, zdawało jej się bowiem, że codziennie o świcie on bywa przytomny.

Były to długie noce.

Owady po drugiej stronie cienkiej zasłonki występowały swoją pieśń.

Pieśń pustyni.

Skargi posuwających się kołyszącym krokiem karawan w obniżonej, jakby pomniejszonej tonacji.

Filia miała wrażenie, że wciąż jeszcze wyczuwa zapach ciotki. Pośród starych podartych okryć i narzut w niewolniczej części domu z pewnością wiele było takich, których dobrze, a może nawet wcale nie uprano.

Służba przestała w końcu zwracać na Filię uwagę. Początkowo kobiety odnosiły się do niej z mieszaną szacunku i lęku. Były do niej przyzwyczajone, niektóre mieszkały w tym domu jeszcze przed jej urodzeniem, ale teraz nawet najstarsze unikały spotkania z nią. Tylko mała Om podjęła się naprawę trudnego zadania, posługuje Filii, dba, by jadła i piła.

Filia przestała się do niej odzywać.

Jej oczy zwróciły się do wnętrza.

Wieczorami Om i inne niewolnice śpiewały stare pieśni, ciche i smutne, jakie przystoją domowi, którego pan leży na łożu śmierci.

Dhermię widywano teraz rzadko. Przez ostatnie pół roku coraz rzadziej schodziła na dół, by kogoś ukarać lub zażądać od domowników cięższej pracy i mniej obfitych posiłków.

Wielki dom był teraz niczym otwarty grób, chłodny i nieprzytulny. Wapno płatami odpadało od ścian, nieustanne burze piaskowe powyrywały pustynną trawę z dachu i poniszczyły ceramiczne dachówki. Om uważała, że teraz dom przypomina starą kobietę wcześniej rano, zanim jeszcze zdąży się ogarnąć i natrzeć olejkami



Ale zwierząt dogładano, pola podlewano codziennie wodą doprowadzaną rurami z oazy i plony dojrzewały. Dodatkowo niewolnicy nosili tam wielkie wiadra pełne wody, ścieżki wzdłuż pól były wydeptane niczym głębokie rowy. Krawędzie tych rowów były równie wysokie jak kępy trawy, która wyrastała w miejscach, gdzie przypadkiem z wiader wychlapywała się woda.

Dom Shafira nie pogrążył się we śnie.

Nawet jednak niewolnicy, pracując, mieli powolniejsze ruchy. Osły już tak głośno nie ryczały, kładły się po prostu, gdy słońce stało wysoko na niebie.

A kwiaty w małym ogródku Flawinii stały wiotkie i niewielkie, jakby w cebulkach i nasionach było teraz mniej życiowej siły.

Gwar miasta nie docierał za mury Shafira. Om dygotała w chłodne noce, myśląc, że jakiś zły dzinn musiał ich zamknąć w tym domu jak w niewidzialnym, wielkim naczyniu.

Czuła się zdławiona, często musiała nago wybiegać na dwór, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Od strony pustyni dochodziły odgłosy dalekich burz, które tu nie docierały. Wyobrażała sobie, że huk morza, którego nigdy nie widziała, jest podobny do tych grzmotów.

Filia też śniła o morzu.

Czy może być tak, że jej marzenia się spełnią?

Że morze to ta wielka niebieskość odbijająca się w wilgotnych oczach najmłodszej córki lichwiarza?

Filia nie spała.

Wiedziała, że sen ją opuścił, może już raz na zawsze.

Na początku to był upór. Filia siedziała z otwar-

tymi oczyma, łowiła w nie rzeczywistość, ponieważ musiała to robić.

Później jednak zaczęła tęsknić za odpoczynkiem.

Za tym wielkim, pozbawionym jakichkolwiek wrażeń odpoczynkiem, jaki dać może tylko nocny sen. Odpoczynkiem, który oczyszcza głowę, uwalnia ją od otulającej mózg wełny i duchowych odchodów, za odpoczynkiem, który pozwala wejść w nowy dzień.

W końcu nadszedł czas, gdy błogosławiła te dodatkowe godziny, jakie zostały jej dane, były czymś w rodzaju życia wiecznego, o którym tyle mówią starzy mędrcy.

Niektórzy powiadają: nirwana.

Filia słuchała opowieści przybyszów ze wschodu, niedużych, o złocistej skórze, oraz Hindusów, którzy czczą potężne boginie zemsty.

Nikt jednak nie był w stanie opowiedzieć niczego, co by znajdowało oddźwięk w jej sercu.

Tylko bóg Słońca.

Puchar.

Obcy człowiek o brązowych oczach. Ten, który nie miał twarzy, ale który mimo wszystko był najwyrazistszym snem, jaki kiedykolwiek miała. Ten, który przybył niczym potężny dzimn, na mieniących się białych skrzydłach, poprzez powietrze, otoczony rozedrganym blaskiem i śpiewem bez słów.

Taki potężny, taki przerażający, jak bóg, jak Allah...

Mimo to przed nią padał zawsze na kolana i czuła jego wargi na swoich stopach. Nazywał siebie sługą i prosił ją, by poszła z nim.

Nawet we śnie wyczuwała, że wargi ma wysuszone. Spoglądała w dół na niego drżąca i cofała swoją wilgotną stopę sprzed jego ust. Jego wargi były chłod-

ne, wrażliwe, od ich dotyku ciało dziewczyny przenikał gorący dreszcz, trudny do zniesienia.

- Książę, królewiczu, boże lub cesarzu, kim jesteś, że całujesz stopy biednej dziewczyny z pustyni?

Kiedy podniósł wzrok i popatrzył na nią, w jego oczach zobaczyła rozgwieżdżone niebo.

- Jestem synem człowieczym. A ty jesteś moją oblubienicą. Czyż nie dotarł do ciebie mój posłaniec?

Chciała wrzasnąć: Niiieee! Posłaniec nie dotarł, musieli go zamordować zbójcy na pustyni.

Wargi jednak miała zdrętwiałe, jakby złożył na nich setki pocałunków.

- Nienawiść kryje się w twoim sercu, oblubienico moja. Dopóki się jej nie wyzbędziesz, mój posłaniec do ciebie nie dotrze. I będziesz stracona dla mojego królestwa. Nie będziesz mogła przyjść do mnie, a ja nie będę mógł zaproponować ci mieszkania w domu ojca mego...

Filia krzyknęła głośno i ten krzyk ją obudził.

Bolało ją gardło, bo od wielu tygodni się nie odzywała.

Ale Om, śpiąca po drugiej stronie zasłony, usłyszała krzyk i napełniła ją nowa odwaga.

Filia będzie żyła.

Filia nie jest szalona, jak ludzie gadają. Wciąż ma blask w oczach, a jej ręce, kiedy tnie nożem kawałki skóry, poruszają się pewnie.

Om uważnie obserwowała swoją panią i następnej nocy usłyszała z posłania Filii szczery, czysty płacz.

O brzasku młoda niewolnica wyszła na dwór i na domowym ołtarzu złożyła w ofierze dwa gołąbki.

Dym unosił się prosto do nieba w złocistym blasku poranka, a Om śpiewała głośno, wracając wąską

ścieżką do domu, mimo że dźwigała dwa ciężkie skórzane worki z wodą.

Filia usłyszała śpiew, a słowa wydały jej się dziwnie znajome. Lud Om żył daleko stąd, za morzem, w tej mrocznej krainie, gdzie ludzie mają duże i szerokie zęby, zjadają bowiem swoich zmarłych.

Jako mała dziewczynka była przerażona takimi historiami, zwłaszcza kiedy ojciec po raz pierwszy sprowadził do domu czarnych niewolników. Szybko jednak przekonała się, że nie są oni bardziej niebezpieczni niż biali, czerwoni czy brązowi.

Teraz słuchała niezwykle radosnego porannego szczebiotania Om, wyjrzała w mrok za zasłoną i znowu jej nos wyczuł delikatny zapach ciotki. Korian-der? Róża i łagodny pieprz? A może cynamon, słod-kawa, drażniąca woń nie przypominająca ani kwiatów, ani ambrozji?

Dotknęła swoich suchych policzków, były trochę otarte i spuchnięte. Musiała w nocy płakać.

Wiedziała, że coś w niej zaczyna się budzić.

Może już niedługo będzie mogła spać?

A może to śmierć, która wabi ją obietnicą ukojenia?

Filia uśmiechnęła się krzywo i poszła umyć twarz i ręce w tej odrobinie wody, jaka zostaje niewolnikom, kiedy wszystkie zwierzęta są już napojone do syta.

- Otrzymałam znak - rzekła Dhermia cicho.

Płomień radości rozpalił się w niej, kiedy Jahiz skierował ku niej gałki oczu. Przewróciła go z pleców na bok. Gdyby nie pamiętała, że cztery razy na dobę trzeba mu zmieniać pozycję, dostałby odleżyn.

Miałby takie same rany jak Shafir, głębokie, ciekące pęcherze w miejscach, gdzie skóra zwiotczała,

zrobiła się szara i można ją było rwać na strzępy jak zbutwiałe płótno.

Jahiz nigdy jej nie dziękował, ale też nie stawiał oporu.

Może to wystarczająco dużo, że czasami spojrzy jej w oczy.

Może jakieś podziękowanie zawierało się w łapczywości, z jaką zjadał dodatkową zupę lub pił korzenne wino.

Dhermia czekała i słyszała bicie własnego serca.

- Otrzymałam znak - powtórzyła.

Po nieskończeniu długim milczeniu, gdy on tylko na nią patrzył, na nieruchomych dotychczas wargach pojawiło się jedno słowo:

- Opowiedz.

Musiła bardzo nad sobą panować, żeby nie krzyknąć. Jahiz nie tylko odpowiedział, ale i wykazał takie zainteresowanie, prosił ją, by opowiedziała! Wciąż uporczywie patrzył jej w oczy i radość zalała ją niczym świeża, chłodna woda.

- Miałam sen - powiedziała, uważając, by głos brzmiał cicho i łagodnie. W tej pełnej spokoju, białej komnacie, w której tylko wiatr igrał z firankami, jego uszy mogły się stać bardzo wrażliwe. - Widziałam w tym śnie wielkie słońce, wschodzące nad złotą krainą. O, Jahiz! To było takie piękne! I widziałam tron. Tron mieniący się w słońcu, że od patrzenia oczy zachodziły mi łzami.

Jahiz jęknął, jego ciężki oddech owionął jej twarz. Nieprzyjemnie pachniał skwaśniałym winem.

- Słyszałam, że ktoś woła moje imię, a ja stałam pośród tysięcy ubranych na biało kobiet. I wtedy... zostałam poprowadzona uliczką wykładaną srebrnym brem. Przez ostatni kawałek towarzyszyły mi istoty

w koronach ze strzelającymi ogniem skrzydłami.

Szukała w jego twarzy jakiejś reakcji, odpowiedzi. Dostrzegła jedynie lekkie drgnienie w kąciku oka.

Mówiła dalej szeptem:

- Ty tam byłeś, Jahiz. I zrozumiałam, jaką niesprawiedliwość ci wyrządziłam. Jaką wielką, wielką niesprawiedliwość mój ojciec wyrządził twojej matce, tobie, nam wszystkim.

Miała wrażenie, że jego oczy zrobiły się trochę bardziej błyszczące.

Dlatego powtórzyła imię.

- O, ukochana ciotko Flavinio... wybacz mi... wybacz nam... Jahiz, ze względu na mój spokój, i ze względu na twój spokój, okaż miłosierdzie i wybacz mi...

Wtedy wyczuła lekki ruch w tym jakby sparalizowanym ciele.

Zdumiona patrzyła, jak Jahiz unosi jedną rękę i głaszcze ją po policzku. Tam gdzie dawniej były dwa palce, znajdował się strup o ostrych krawędziach, który teraz boleśnie drapał jej skórę. Pocięła krew, rozpoznawała ją raczej po zapachu, niż czuła na twarzy.

- Płacz krwawymi łzami, Dhermia - rzekł Jahiz głębokim, obcym głosem.

Dostała gęziej skórki pod jego dotykiem, to miejsce paliło ją jakby oblane mocnym ługiem, jakiego garbarze używają do czyszczenia skór.

Rozdrapywał stare rany.

Wtedy zsunęła się ze swego stołka przy posłaniu, uderzyła kolanami o podłogę i z całej siły chwyciła go za ramię. Szarpała go, ale on znowu zacisnął obie dłonie na pucharze. Chciała mu go wyrwać, złapać lśniący metal. W końcu poczuła pod palcami żar, ale puchar jej nie poparzył. Pieściła palce Jahiza, czuła puls na jego

nadgarstku, zdała sobie sprawę, że po wewnętrznej stronie jego dłoni płynie strumień zdrowej krwi. Jest w nim tyle życia, i tylko z jakiegoś dziwnego powodu nie można oderwać od pucharu tych długich, mocnych palców.

- Zostań przy życiu, Jahizie! Zostań tutaj, pozwól, bym cię pielęgnowała! Ty nie możesz umrzeć, i nie możesz zabrać ze sobą pucharu! Ja go potrzebuję! Ja potrzebuję...

Głos jej się załamał, przeszedł w szloch. Jedną dłoń mocno przycisnęła do pucharu, drugą włożyła do jego wnętrza.

- Ciebie!

Zakreśliło jej się w głowie, gdy te słowa i cała zawarta w nich prawda do niej dotarły.

Dhermia nigdy nikogo nie potrzebowała.

Każdy mężczyzna był jej wrogiem. Mężczyzna bowiem posiada władzę, jakiej ona nigdy nie uzna u nikogo poza ojcem.

Nawet władzy Jahiza.

Może Dhermia jest mężczyzną w kobiecym ciele, może odmieńcem, podziemną istotą, może to ifrit albo obcy duch?

Ręka we wnętrzu pucharu skurczyła się jak pod wpływem spazmu. Paznokcie drapały metal, wyczuła, że znajdują się tam reliefy, wryte w metalu znaki.

Kiedy w końcu wyciągnęła dłoń, poczuła słaby zapach mirry.

Zdziwiona patrzyła, jak pierścionek, który nosiła na palcu, rozżarza się do białości.

Pięknie obrobiony brąz zaczął się topić i jedna kropla spadła na ramię Jahiza. Syczała przez chwilę, potem ostygła i została jakby oprawiona w czerwoną, spaloną skórę.

Jak szlachetny kamień.

Ból w palcu zaczął się powolnym pulsowaniem. Kiedy metal w końcu ostygł, Dhermia zauważyła, że jej palec zrobił się siny.

Znowu napotkała spojrzenie Jahiza.

- To jeden - powiedział - szeptem. - Daj mi jeszcze ten drugi, to będziemy mogli po kolei inne blizny...

Cofnęła się, wciąż z tą podniesioną ręką.

- O co ci chodzi? Chcesz się mścić? Czy muszę przeżyć wszystkie twoje rany i krzywdy, żebyś mógł mi wybaczyć?

Roześmiał się.

- Przecież mówiłaś, że miałaś sen, Dhermio. Że byłaś prowadzona przez księcia jako oblubienica. W takim razie powinnaś znać warunki...

Zacząła krzyczeć:

- Co ty chcesz mi powiedzieć? Przestań z tymi zagadkami, powiedz wprost, o co chodzi! Co powinam zrobić, żeby dostać ciebie i puchar? Ja nie mogę bez tego żyć!

Jahiz znowu się roześmiał.

- Biedna, biedna Dhermia. Gdzie podział się miecz, za który niewolnicy tak chętnie chwytają na twój rozkaz? Gdzie się podzieli twoi z taką łatwością kupieni żołnierze, którzy mordują i obcinają ludziom członki dla twojej przyjemności? Czy ty nie rozumiesz, że ani serca człowieka, ani błogosławieństwa tego pucharu nie zdobędziesz mieczem i przymusem?

Dhermia widziała niebieskawe światło wokół czarnych włosów Jahiza. Widziała tańczące postaci i w końcu zdjął ją taki strach, że potykając się uciekła, biegła przez cały dom, żeby się schować.

Pod łóżkiem swojej matki.



Dzień się zbliża, mój mały wędrowcze z pustyni.

Wschód słońca zgaśnie, ale nowy wschód nadejdzie.

Tylko że pod promienną kulą słońca stać będzie smok już gotowy. On może zgasić światło, będzie je ścigał po całym świecie.

I potem nadejdzie ciemność.

Tak, niczym mowa setek tysięcy języków i niczym setki tysięcy dwudzielnych węzowych kłamstw wieczność nie zostanie rozpoznana, lecz umrze.

Mimo to nie lękaj się, mały wędrowcze z pustyni.

Prawda na zawsze pozostanie twoja.

Filia podskoczyła, kiedy Om dotknęła jej ramienia. Siedziała i formowała serową masę w staranne, okrągłe kulki, które będą fermentować w przepastnych workach z owczych żołądków. To delikates bardzo poszukiwany przez kupców, z karawan, nie można go bowiem zabierać w długie podróże przez pustynię. Musi być przechowywany w chłodzie, w głębokich jaskiniach i spiżarniach drażonych w zboczach gór. Kobiety beduińskie dokładają do sera kminku i innych przypraw, ale Filia najbardziej lubiła ten wyrabiany przez ciotkę, odrobina miodu dodawała mu słodyczy i pozwalała dłużej przechowywać w ciepłe.

- Mówisz takie dziwne rzeczy - powiedziała Om.

Dopiero wtedy Filia uświadomiła sobie, że wypo-  
wiała swoje niezwykle proroctwa głośno.

- Ty jesteś prawdziwa nabiya! Szlachetna, podobna bogom... błogosławiona niech będzie ziemia, którą użyzniasz swoim...

- Om! Milcz!

Filia potrząsnęła głową, jakby chciała się uwolnić

z resztek snu. Zdumiona uśmiechała się kącikiem warg. Serce zabiło żywiej.

- Nie mów tak do mnie, swojej przyjaciółki.

Om wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczyma.

Nagle wyciągnęła przed siebie wskazujący palec

i wyszeptła ze zgrozą:

- Ale światło... widzę światło... nad tobą. Słup światła, niczym kolumna skierowana ku niebu...

Filia patrzyła w ślad za palcem niewolnicy, patrzyła w powietrze ponad sobą.

Nie zobaczyła nic prócz oślepiająco błękitnego nieba.

Wtedy się roześmiała.

- Om, chyba wypłaś dzisiaj za mało wody. A może chodziłaś z odkrytą głową w południowym upale? Mała niewolnico, nie przemawiasz do ducha. Ja jestem Filia, nie pamiętasz? Odepchnięta, szalona i uboga. Stojąca tylko o jeden wielbłądzi włos wyżej od ciebie, biedaczko!

Chciała objąć niewolnicę, przytulić jej drobną figurkę do swego wychudzonego ciała.

Om jednak odskoczyła, jak w strachu.

Wycofywała się, czołgając po piasku, raz po raz uderzała czołem o ziemię i nie przestawała mamrotać modlitw.

Filia czuła wyłącznie przerażenie.

Gorączkowo próbowała sobie przypomnieć, co takiego powiedziała, że wzbudziła aż tyle szacunku i lęku w niewolnicy.

Próbowała zawołać Om z powrotem w obawie, że biedaczka może narobić szkód, jeśli zacznie opowiadać, iż Filia jest nabiya głoszącą proroctwa, albo jeszcze gorzej: kahiną, kapłanką.

Dobrze wiedziała, jak się takie wiadomości rozchodzą.

Głupi ludzie zaczęli ściągać do oazy, pokazywać jej swoje przeżarte trądem członki i inne straszne kalectwa. Będą jej przynosić kury i kozy jako zapłatę, słodkie owoce i zwoje cienkich tkanin.

Ozdoby. Złoto.

Serce tłukło się w piersi. Może wówczas mogłaby się zemścić na Dhermii?

I na Halizie...?

W każdym razie mogłaby się rozliczyć z Jahizem.

I puchar... czy, gdyby naprawdę była nabiya, pewnego dnia mogłaby odzyskać puchar?

Filia zamknęła oczy i znowu zapragnęła zasnąć. Ale sen nigdy na nią nie słuwał jak miękka i lekka narzuta. Jedyne, co udawało jej się osiągnąć, to te marzenia na jawie, sprawiające, że zaczynała krzyczeć i wracała do rzeczywistości zmęczona i spocona jak po dniu ciężkiej pracy.

Odpocząć, myślała Filia. Muszę odpocząć.

Gdzieś w głębi pamięci przechowywała obraz miejsca, w którym ukryty był woreczek z trucizną.

Tą, która na długie miesiące sparaliżowała ojca, ale nie doprowadziła go do śmierci.

Nieprzyjemne pulsowanie w skroniach było ostrzeżeniem.

Filia jednak podjęła decyzję.

Musi odpocząć.

W ten czy w inny sposób.

Tylko co się wtedy stanie z pucharem?

Czy mogłaby go zabrać ze sobą do grobu?

Dhermia obiecała jej Jahiza, ale puchar będzie chciała zatrzymać dla siebie. Jej opowieści o tym, że Jahiz nie chce puścić pucharu, brzmiały zdumiewająco wiarygodnie, zwłaszcza że Filia wciąż miała przed

oczyna jego obraz z tamtego dnia, gdy wysłannicy Dhermii go do niej sprowadzili.

Ale czy mogła polegać na siostrze?

Nie.

Nie ma po temu żadnych podstaw. Dhermia musi zostać ukarana, unicestwiona jak bohater Żydów Goliat, kiedy Dawid zaczął w niego ciskać kamieniami.

Tej nocy Filia czuwała mrużąc oczy. Młody księżyc przypominał sierp albo krzywy uśmiech. Ale gwiazdy świeciły jasno. Filia odnajdywała te najjaśniejsze, które Flavinia pokazała kiedyś swemu synowi, a on opowiedział o nich Filii.

Co się dzieje z gwiazdą, która zgasła?

Co się stało z tą wielką miłością, którą, jak jej się zdawało, niegdyś odczuwała?

Filia wciąż spoglądała w potężny nieboskłon, mrużąc oczy. Gęste brwi chroniły je przed rzucanym przez wiatr piaskiem.

Ty cudowny mężczyzno ze snów, ty, który przychodzisz do mnie w takie noce... gdzie się podzie-wasz, kiedy nie ma cię przy mnie?

Ale mężczyzna o brązowych oczach nie odpowiadał.

Kiedy słońce zaróżowiło góry, Filię ogarnął wielki gniew. Tej nocy też nie dane jej było odpocząć.

A co gorsza, nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

Nie zastanawiając się długo, włożyła na siebie jedną z pogniecionych, ale bardzo pięknych jedwabnych sukien z kufra ciotki i boso przeszła pod kolumnami, oddzielającymi pomieszczenia dla niewolników od reszty domu. Z ogrodu za wysokim murem słychać było cichą muzykę.

Chyba Dhermia zjadła już swoje obfite śniadanie złożone z gołąbich jaj, pieczonych kurczaków, plac-

ka z daktylami i fermentowanego wielbłądziego mleka. Widocznie teraz, jako właścicielka domu, nabrała eleganckich zwyczajów i zaangażowała muzyków, grających na instrumentach smyczkowych, oraz flecistów, by dostarczali jej rozrywki.

Filia szła pospiesznie podcieniami.

Kiedy jednak wyszła z ogrodu, nigdzie nie było ani muzykantów, ani tancerzy.

Zresztą nie było też Dhermii.

Przy starym wyschniętym stawie stała grecka rzeźba i nieruchoma patrzyła przed siebie, jak zawsze.

Liście z usychającego drzewa pokrywały czerwonawy kamień. Ale na ławce w cieniu siedział ubrany na czarno mężczyzna. Na głowie nosił żydowski nakrycie, lecz kaftan przewiązał charakterystycznym, szerokim tureckim pasem. Na nogach miał plecione z trawy sandały takie, jakich używają ubodzy Syryjczycy.

Filia stanęła jak wryta, stwierdziła, że obcy przyglądał się jej od dawna.

Z wahaniem spojrzała przez ramię za siebie.

Cała długa i wąska ścieżka za nią była pusta.

Z domu nie dochodził najmniejszy dźwięk.

Powietrze było gorące i rozedrgane. Mieniło się wokół skulonej postaci na ławce.

Wolno podeszła do nieznajomego. Rozgrzane w słońcu kamienie parzyły jej bose stopy.

Mężczyzna miał brązowe oczy, ale żadne rozgwieżdżone niebo się w nich nie odbijało.

Powiedział:

- Chce mi się pić...

Wtedy Filia odkryła, że stary ozdobny staw pełen jest świeżej, pluszczącej wody.

Zakreśliło jej się w głowie, kiedy pochylona nabierała

wody w złożone dłonie, na moment zobaczyła w dole własne odbicie, wstała i uniosła dłonie. Woda kapła ze wszystkich stron, ale on pił z tego nieszczelnego naczynia. Ostatnie krople zliżał. zaproponowała mu jeszcze.

Serce biło jej mocno.

Kiedy w końcu wyglądał na zadowolonego, uśmiechnął się do niej.

- Co byś chciała w zamian, ty niezwykła kobieto, która napiłaś spragnionego?

Filia nie była w stanie nic powiedzieć, choć tysiące pytań cisnęło się jej na usta. W końcu wykrztusiła najważniejsze:

- Kim jesteś?

On znowu się uśmiechnął.

- Po prostu spragnionym wędrowcem, jak widzisz. Kimś, kto bez protestu pije z rąk dręczonej bezsennością kobiety. A kto kiedyś będzie mógł pić z niebiańskiego złotego pucharu...

Filia nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Wszystko wydawało się takie prawdziwe, od podszewki jego zniszczonego płaszcza aż do brakującego w jego ustach zęba. Pod chustą miał czarne, długie włosy i lekko cuchnęło od niego oślim nawozem. Musiał spędzić noc w jednej z mniej strzeżonych stajni. Ale jakim sposobem wszedł aż tutaj, na wewnętrzny dziedziniec? Strażnicy pilnują przecież wszystkich bram...

Nieznajomy wstał. Przeciągnął się trochę i poprawił pas. Zwróciła uwagę, że nie miał broni. Wędrowcy, tacy jak on, na wszelki wypadek noszą zwykle przynajmniej krótki sztylet u pasa.

- Czy pochodzisz z obcego plemienia, skoro najwyraźniej nie wiesz, że lichwiarz jest chory od ośmiu

miesiący? Nie możesz z nim mówić, nawet jeśli bardzo potrzebujesz pieniędzy.

Mężczyzna skinął głową.

- Słyszałem o tym. Ale nie potrzebuję pieniędzy, chciało mi się tylko pić.

I odszedł bez słowa pożegnania.

Filia stała i patrzyła w ślad za nim, dopóki szary płaszcz nie zniknął za węglem. Czekala, aż się rozlegną ostrzegawcze krzyki strażników.

Ale nic nie zakłócało ciszy.

A okrągły, niegdyś taki zadbany staw pośrodku ogrodu ukazywał znowu suche, spękane dno.

A więc to tak, pomyślała Filia.

Tak się sprawy mają.

Teraz wiem, że jestem szalona.

Co jeszcze mogłabym utracić?

Niewyraźne, jakby niepewne ruchy w okolicy krzyża i bioder nie martwiły Halizy.

Drzemała w swojej ciemnoczerwonej przestrzeni, ukrywała się za granicą tego, co widzą oczy.

Była wychudzona, ale piersi i brzuch pozostały pełne. Kości biodrowe mogła wymacać palcami, ale żebra pokrywała równomierna warstewka tłuszczu.

Wyraźnie zauważała, że jej ramiona i nogi zrobiły się bardzo słabe. Z trudem unosiła ręce ponad głowę i ledwo była w stanie przeczesać palcami włosy - dwanaście razy z dwunastu stron, bo taka jest, jak mówiła matka, cena piękności.

Wiedziała, że jej czas się zbliża.

W ciągu tych miesięcy ciemności i zamknięcia wmawiała sobie, aż szczerze w to uwierzyła, że teraz puchar ją uwolni.

Kiedy syn przyjdzie na świat, sam bóg Słońca spali jej wrogów i zabierze ją do siebie. Haliza wyjedzie do Egiptu i zostanie boginią w jego świątyni. Tam będzie rządzić do czasu, aż syn dorośnie i zajmie należne mu miejsce.

Pewnego ranka kamień zostanie odrzucony tak, jak mówi legenda o zmartwychwstaniu żydowskiego księcia. Wszystko należy do niej, wszystkie duchy są takie same. Puchar szeptał jej to do ucha przez te wszystkie długie dni i noce.

Wszystko jest we mnie.

Ja jestem we wszystkim.

Żaden bóg nie jest wszystkim.

Wszyscy bogowie są jednym.

Haliza z wielkim mozolem rozczesła włosy i położyła białą dłoń na drżącym brzuchu.

Zasnęła i nie usłyszała skrzypnięcia, kiedy niskie drzwi zostały otworzone.

Nie słyszała kroków, nie wiedziała więc, czy to przyszła stara niewolnica, Dhermia, czy Filia.

Chyba jednak niewolnica.

Dhermia przychodziła mniej więcej co dwudziesty dzień.

Filia nie przychodziła wcale, ale Haliza modliła się do niej za każdym razem, gdy tęsknota stawała się zbyt wielka. Były to modlitwy o pomoc i modlitwy o wybaczenie, które, jak wiedziała, nie istnieje.

Drzwi odsuwały się wolno, blask lampy raził zapuchnięte oczy Halizy. Mrugała, ale nie mogła powstrzymać łez.

Głos nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

- Jahiz! - krzyknęła, czując, że gardło ma pełne piasku, a mimo to wyrwa się z niego śpiew.



Czterech wysokich członków rady wkroczyło do najpiękniejszego pokoju Dhermii, rzucali jedynie dyskretne spojrzenia na stół, który dla nich przygotowano.

Najważniejszy z nich, o pomarszczonej twarzy, były właściciel karawany, szybko przystąpił do rzeczy.

- Jeśli masz otrzymać godność tajira i być jedną z nas, to musisz zaproponować jakieś ofiary. W twoim domu panuje żałoba, chociaż Shafir jeszcze żyje. Została potraktowana jako wdowa po nim, a nie jego córka. Trzeba, byś w następny święty dzień przybyła do Al-Kaba i okazała pokorę w obecności wszystkich!

Dhermia, spuściwszy wzrok, potakiwała, jak przystoi kobiecie.

Mimo to akurat w tej chwili wszelkie obyczaje były jej jak najbardziej obojętne.

Zostanie pierwszą kobietą, piastującą godność tja-ira, nie wątpiła, że okolicznością rozstrzygającą jest tu majątek ojca. Nigdy przedtem żadna kobieta w Bak-kah nie dysponowała takim bogactwem. I w dodatku nie znajdowała się pod opieką ojca, męża lub brata.

- To jest wyjątkowy przypadek - rzekł gość z lekkim uśmiechem. - Zakładamy, że nim minie sześć miesięcy, znajdziesz sobie męża odpowiedniego... po wiedzmy... pochodzenia.

Następnie gestem wezwał jednego z towarzyszących mu mężczyzn.

Dhermia rozpoznała średniego syna swego rozmówcy, czyli najwyżej postawionego w radzie starszych. Był to chudy młodzian o krzaczastych brwiach i włosach zniszczonych, bowiem miał nieprzyjemny zwyczaj zaplatania ich sobie między palcami.

Dhermia znowu skinęła głową, twarz miała zamyśloną i łagodną.

Warunki zostały przedstawione.

Dhermia wstała i spokojnym krokiem podeszła do stołu, gdzie czekały już niewolnice z tacami i pucharami. Z jednej z nich wzięła dzbanek najprzedniejszego wina i osobiście napełniła kielich gościa.

Ten chrząkał zadowolony i zaproponował toast, jakby już dzięki małżeństwu syna czuł się gospodarzem tego domu.

Później ustalono, że w następnym miesiącu Dhermia dostarczy srebra na nowe gałki, które ozdobią baldachim po wschodniej stronie świątyni Al-Kaba.

I tyle złota, by można nim pokryć iglice na dachu.

Trzej pozostali członkowie rady starszych upili się pysznym winem i z wielką przyjemnością zajadali dania, które im podsuwała.

Kiedy pod wieczór goście opuścili posiadłość, Dhermia pograżyła się w rozmyślaniach.

Nowy pomysł przyszedł jej do głowy.

Wychyliła się przez okno i kazała nanosić do swej sypialni gorącej wody. Niewolnica przyniosła suszone kwiaty i różany olejek. Dhermia rozebrała się i weszła do dużej wanny.

- Sprowadź tu moją siostrę Filię, powiedz, że potrzebuję jej rady.

Niewolnica skinęła głową, ale nie mogła ukryć zdziwienia.

Dhermia zanurzyła się w kąpeli.  
Powoli ogarniał ją spokój.  
Jeszcze jedna idea pojawiła się w jej umyśle.

Filia wkroczyła do pokoju, który oświetlały jedynie zawieszane na ścianach lampy. Nadawało to włosom Dhermii ciemny, mieniący się blask, jaki w rzeczywistości utraciły już dawno temu. Na pochylony kark też padało światło i kiedy zwróciła głowę ku drzwiom, Filia pomyślała, że jeszcze nigdy Dhermia nie była taka ładna. Głębokie zmarszczki z czoła zniknęły. Dłonie o długich paznokciach niemal z gracją spoczywały na krawędzi wanny.

- Filia... jak dobrze, że przyszłaś. Muszę z tobą przedyskutować wiele spraw. Byli tu dzisiaj panowie z rady starszych i... mam problemy.

Filia usiadła wyprostowana na małym stołeczku obok wanny i przyjęła kubek herbaty z przyprawami, który siostra podała jej mokrą ręką.

- Tyle niezwykłych rzeczy dzieje się w tym domu - rzekła Dhermia z wolna. - Miewam takie dziwne sny... Filia, tu się coś szykuje...

Filia nie odpowiadała.

Dhermia taksowała ją surowym wzrokiem znad brzegu wanny.

- Przyjęłam dzisiaj oświadczyń. Od jednego z najważniejszych ludzi w mieście.

Filia spojrzała na nią.

- Zamierzasz wyjść za mąż?

Dhermia uśmiechnęła się blado.

- Nie wiem, kochana siostró. I chciałabym cię prosić o radę. Przyszły narzeczony nie jest bardzo męski, przywiędły i postarzały przedwcześnie. Pod-

czas gdy ja... ja czuję się z każdym dniem młodsza!

- Wyglądasz młodo - stwierdziła Filia obojętnie.

Dhermia znowu się uśmiechnęła.

- Może to magia pucharu - szepnęła poufale.

Twarz Filii zmieniła się w maskę i Dhermia na tychmiast to zauważyła.

Pochyliła się, woda chlusnęła na podłogę.

- Filia, ja wiem, że ty mi nigdy nie wybaczyłaś różnych spraw z dzieciństwa...

Dół z węzami.

- Byłaś młodszą siostrą, bijałyśmy się, jak to siostry...

Mały szczeniak utopił się w cysternie na wodę.

- Ale teraz jesteśmy dorosłe. Teraz jesteśmy siostrami, jak siostry powinny być!

Urażony wzrok Flavinii. Głębokie rany Om.

- Filia, chyba możesz zapomnieć stare sprawy. Te raz my dwie jesteśmy same na świecie.

Nareszcie Filia się odezwała:

- Czy Haliza nie żyje?

Dhermia machnęła ręką.

- Skąd mam wiedzieć? Niewolnice o nią dbają, do póki dziecko się nie urodzi. Potem będzie musiała ponieść karę, jaką zatwierdzi rada starszych. No i właśnie o tym też muszę z tobą porozmawiać... oni proponują mi miejsce w radzie!

Filia odstawiła kubek z letnim napojem. Zapach eukaliptusu, róż i magnolii mieszał się z wonią kadzideł i mokrych włosów Dhermii.

- To przecież niemożliwe...

- Owszem, możliwe. Ale pod warunkiem, że wyjdę za mąż. Najlepiej za tego słabeusza, syna głównego członka rady.

- To chyba niewielka cena za takie wyróżnienie?

Głos Filii brzmiał ostro. Dhermia długo się jej przyglądała.

- Jest coś, o co muszę cię spytać, siostrze. Coś... ważnego.

Filia czekała.

- Ty... ty powiedziałaś kiedyś, że kochasz Jahiza. A potem mówiłaś, że go nienawidzisz, że chciałabyś go ukarać.

Zrobiła pauzę. Z głośnym chlupotem podniosła się w wannie i górowała nad siedzącą Filią, woda ściekała z niej, a olejek pokrywał ciało cieniutką, ochronną błonką.

Wyszła z wanny. Mlecznobiała skóra po wewnętrznej stronie ud ostro kontrastowała z ciemnym trójkątem włosów w dole brzucha. Filia podała jej płócienny ręcznik, żeby się okryła.

Dhermia patrzyła siostrze w oczy.

- Co byś powiedziała, gdybym wyszła za Jahiza? Czy twoim zdaniem byłaby to dla niego wystarczająca kara?

Błysk w oczach Dhermii miał rozbawić Filię.

I nawet przez chwilę Dhermia myślała, że jej się udało.

Nagle jednak Filia wstała, przysunęła twarz tak blisko twarzy siostry, że brakowało im powietrza do oddychania.

- Jahiz jest mój! Obiecałaś mi to, jeśli zrezygnuję z pucharu!

Wtedy Dhermia się uśmiechnęła.

- Może nie będziesz musiała z niczego rezygnować, kochana siostrze. Posłuchaj tylko, co wymyśliłam...

Filia klęczała przy wielkim kamieniu i patrzyła, jak krew z ręki wolno ścieka na piasek. Może pradawne zaklęcia nie mają już takiej siły. Kiedyś jednak był to pewny sposób, by sprowadzić śmierć i przekleństwo na wroga.

Jahiz mógł ze swego łóżka widzieć okno, w którym czasem otwierano okiennice. W południe pokój pogrążony był w upale, mimo że znajdował się od wschodniej strony i wyłożony był kamieniem.

Więzień przeliczał wielokrotnie sto sześćdziesiąt dwie plamy słonecznego światła sączącego się przez plecionkę z trawy.

Zaglądał do wnętrza pucharu i od dawna znał każdy znak, każdy symbol.

I już właściwie nie miał nic do roboty.

Na szczęście istniał mężczyzna o brązowych oczach, który z nim rozmawiał i nadawał temu dziwnemu życiu jakiś sens.

Jahiz był więźniem.

Mimo to czuł się dziwnie wolny.

Kiedy tego wieczora przyszła Dhermia, udawał, jak to miał w zwyczaju, że śpi z otwartymi oczyma. Dhermia nie powinna się domyślać, że te wizyty sprawiają mu przyjemność, że przywykł do nich jak wielbłąd, który lubi, by go drapano za uszami.

Puchar był bezpieczny.

Mógł więc pozwolić sobie na marzenia.

Dhermia weszła i jej głos rozkosznie go ogrzała.

- Jahiz, szlachetny strażniku, mój więźniu... dobrze się dzisiaj czujesz?

Nadal była w tym głosie smuga szyderstwa, wiedział jednak, że to złagodnieje. Wiedział, że im wię-

cej swobody jej zostawi, tym bardziej ona się zapłaczę we własne słowa...

Tym będzie łagodniejsza.

Niemal prosząca.

Nie wiedział, kiedy mu ta myśl przyszła do głowy, ale z każdą jej wizytą nabierał większej pewności.

Dhermia żywi dla niego ciepłe uczucia.

Nie była już taka pewna swego, gdy czasami patrzył jej w oczy.

Prawie mu dziękowała, kiedy do niej mówił, choćby to było tylko parę prostych słów.

I naprawdę wierzyła, że to ona jest strażniczką więźnia!

Dzisiaj miała na sobie szmaragdowozieloną szatę, zdobioną ognistymi czerwonymi, haftowanymi wstążkami. We włosy wpięła kwiaty, chyba róże, sądząc po zapachu. Wiedział, że takie białe róże rosną pod murem świątyni Al-Kaba, w głębokich, żyznych bruzdach, do których pielgrzymi wylewają wodę i wino jako ofiarę dla bogów.

Czyżby sama je tam zerwała?

Ale przecież za coś takiego można zapłacić głową.

Uśmiechnął się. Dhermia to zauważyła.

- O, widzę, że jesteś zadowolony! I nie śpisz, strażniku. To świetnie! Bo jest coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać.

Przestał się uśmiechać.

Usiadła tam gdzie zwykle, na niskiej ławie, która służyła też jako stolik na daktylę, oliwki, orzechy i wino, które Dhermia przynosiła Jahizowi.

Patrzył, jak nalewa wino i podaje mu. Napój spływał po brodzie. Jahiz na pół siedział oparty o wysokie poduszki. Nogi miał okryte, puchar trzymał przy sobie pod kołdrą.

Dhermia podeszła bliżej, Jahiz musiał zamknąć oczy.

Poczuł, że ona przesuwa koniec języka po śladach, jakie zostawiło wino. Oblizła jego wargi, potem szyję,ssała cienką tkaninę koszuli, która też została poplamiona.

Musiał zaczerpnąć powietrza i wciągnął do nosa jej intensywny zapach. Perfumy były ciężkie i oszałamiające, jak opium lub piżmo.

Jęknął.

Jej mokre włosy opadły mu na policzki, niczym grube węże oplatały nagą szyję.

Dhermia dotknęła wargami jego ust.

Serce Jahiza biło mocno w oczekiwaniu na to, co się stanie dalej.

- Trzymaj mnie - wykrztusiła niczym opuszczone dziecko.

Nie mógł oddychać. Jej wargi były zdumiewająco miękkie.

Poczuł na swojej skórze jej nagie piersi, ubranie zsunęło się z ramion.

Zdziwiony uświadomił sobie, że ona nie gra.

Że to nie jest jakaś nowa sztuczka, zabawa mająca go pozbawić resztek dumy.

Łzy Dhermii były prawdziwe.

Spływały po jego twarzy tam, gdzie przedtem płynęło wino.

Wtedy podniósł jedną rękę i delikatnie głaskał ją po plecach.

Ona jęczała i wciąż mocno ssała jego górną wargę.

Jahiza przeniknął dreszcz, ale uległ, pogрузzył się w głębokim, nie mającym końca pocałunku. Dotykał jej języka, bawił się nim, odpychał go. Dhermia chciała odwrócić głowę, żeby zaczerpnąć powietrza, ale jej



nie pozwolił. Ręka, która opuściła puchar, zagarnęła jej ubranie i uniosła w górę. Dhermia oparła kolano przy jego biodrze i krzyknęła, gdy zmusił ją, by się na nim położyła. Puchar opierał się teraz o jej biodro i boleśnie uwierał jego coraz bardziej rozgorączkowane ciało.

Jahiz wybuchnął głośnym, nieprzyjemnym śmiechem.

Odepchnął od siebie kobietę i odrzucił mokrą teraz pościel.

- Patrz, ty nienasycona babo! Patrz, co cię czeka!

Puchar leżał na łóżku niczym nie przykryty, tylko trzy palce zaciskały się na jego brzegu; kostki palców pobielaly.

Członek Jahiza był czerwony, złowrogi.

Śmiech mężczyzny przetoczył się przez na pół przytomny mózg Dhermii.

Ale nie ustąpiła, usiadła na mężczyźnie okrakiem i kołysała się, zawodząc, aż on odrzucił głowę w tył i znowu obiema rękami chwycił puchar. Potem uniósł go do ust Dhermii, jakby proponował, żeby się napiła.

W jego oczach jednak było szyderstwo, tylko szyderstwo.

Kiedy gęsty strumień nasienia nappełnił jej ciało, zobaczyła błysk w jego oczach, widziała, że ostre zęby wbijają się desperacko w wargi, które dopiero co całowała.

Dhermia zsunęła się na podłogę, gdzie skuliła się jak płód, i nie usłyszała nawet brzęku pucharu, który upadł na kamienną posadzkę tuż przy jej uchu.

Ciało Dhermii pulsowało bólem.

Lampa, którą przyniosła, nigdy nie została zapalona.

Ciemność z pustyni wdarła się do pokoju, ale tutaj nie było rozgwieżdżonego nieba. Okna zostały zasłonięte. Ściana zdawała się mokra i jakby przepocona, gdy się o nią oparła, żeby wstać.

Kręciło jej się w głowie, kiedy potykając się, szła do stolika, na którym zostawiła lampę.

Nie dotykała łóżka, wiedziała jednak, że Jahiza nie ma.

W ogóle nikogo nie było w tym pokoju, nawet powietrze nie drgnęło.

Dotarła do drzwi, wiedziała, że na zewnątrz na pewno palą się pochodnie. Dalej stoją wartownicy. Jahiz nie mógł się koło nich przemknąć, a był zbyt osłabiony, by mógł ich pokonać.

Szable.

Uzbrojeni wartownicy na pewno go zabili!

Pobiegła, wygładzając po drodze suknię. Intensywnie pachnąca wilgoć pokrywała wewnętrzną stronę jej ud, z każdym krokiem rozmazywała się coraz bardziej, sięgała już kolan.

O, na wszystkich bogów i boginie, nasienie Jahiza z niej wypływa!

Dhermia oddychała z wysiłkiem, biegnąc ku dalekim pochodniom, i nie zauważyła martwego człowieka, dopóki się o niego nie potknęła i nie runęła jak długa.

Kiedy się podniosła, jej dłonie pokrywała gęsta, lepka krew.

To jeden z wartowników.

Zaczęła głośno krzyżeć.

Ale noc pełna była głośów, gdzieś niedaleko ryki chłostanego wielbłąda mieszały się z wyciem pustynnego wilka.

Ciasny korytarz musiał być drążony dla szczurów, myślał Jahiz z goryczą.

Wiedział, jednak, że to przejście powinno być możliwie jak najwęższe, by odpędzić złe ifrity, gdyby chciały rozszarpywać ciała zmarłych.

Cuchnęło tu gnijącym jedzeniem, ale miejsce było święte, w każdym razie miało być święte. Krypta dla zmarłych, częściowo wykuta w skale, częściowo wydrapana w piasku, wzmocniona grubym murem i kosztownymi drewnianymi belkami.

Ona gdzieś tutaj jest, wyczuwał jej zapach.

Pachniała życiem w tym miejscu przeznaczonym dla umarłych.

Kiedy kopniakiem otworzył jakieś drzwi tak niskie, że musiał się zgiąć we dwoje, żeby przez nie przejść, ponownie usłyszał ciche jęki.

Zostawił drzwi otwarte i pożałował, że nie zabrał ze sobą lampy. Niewielki otwór dawał tyle powietrza, że można było w tej dziurze przeżyć.

Zapach ciała Halizy się zmienił, mimo wszystko rozpoznawał go, zapamiętał tamtej nocy na pustyni.

Haliza zawołała po imieniu Filię.

Jahiz przypadł do niej i przemawiał uspokajająco.

Ona walczyła i gryzła, myślała pewnie, że to jakiś ghul przychodzi, żeby ją pożreć.

- Haliza, to ja! Ojciec twojego dziecka!

Kobieta wyła, nie chciała go słuchać. Czuł jej paznokcie na ramieniu. Krótkie, poobgryzane, ale ostre. Czyżby próbowała się odkopać?

Chwyił ją z całej siły, położył na podłodze i przycisnął swoim ciałem.

- Haliza, uspokój się! Ja ci pomogę!

- Dziecko... dziecko...

- Tak, ja wiem! To się ma stać dziś w nocy. Dlatego przyszedłem.

Kurcze ustąpiły. Teraz Jahiz pojął, że to skurcze porodowe sprawiły, że kopała i z taką siłą napręzała ciało w jego objęciach.

- Skąd... skąd... wiedziałeś?

Objemował ją, kołysał uspokajająco w ramionach.

- Puchar mi to powiedział.

- Odnalazłeś mnie w końcu... o, najdroższy... teraz będziemy mogli razem pojechać do Egiptu, do świątyni Izdy, do bogini...

Przytulił policzek do jej twarzy.

- Tak. Tak. Teraz pojedziemy.

Wyczuł, że się uśmiecha, policzek przy jego twarzy drgnął.

Zaraz jednak znowu chwycił ją bóle i zaczęła krzyczeć dziwnie grubym głosem.

Tym razem już jej tak mocno nie trzymał, mogła się przeżyć, pełzać po kamiennej podłodze.

Rozróżniał każdą najmniejszą kość w wychudzonym ciele, był zdumiony jej wielkim brzuchem. Przypominał brzuch martwego wielbłąda, taki który się czyści i preparuje, a potem robi z niego worek na wodę.

Brzuch Halizy zawierał dziecko.

Jego syna lub córkę.

Jahiza ogarnęło przerażenie, ale czołgał się do Ha-lizy, która siedziała skulona w kącie.

Mała krypta została zbudowana dla umarłych.

Teraz miało tu przyjść na świat nowe życie, głęboko pod zabudowaniami, w których Shafir i jego domownicy tak wiele przeżyli.

Jahiz myślał: Jeśli jest jakaś boska sprawiedliwość w tym, co nazywamy losem, to złe duchy powinny przyjść po lichwiarza dzisiejszej nocy.

Nie miał czasu na dłuższe rozmyślenia.

Haliza znowu zaczęła krzyczeć, tym razem głośno i przenikliwie jak w chwili rozkoszy.

Działął po omacku, podczołgał się do niej, zlekceważył wszelkie obyczaje, ujął jej nogi i rozłożył szeroko.

Stwierdził, że nic nie jest tak, jak powinno. Żadnej kobiecej delikatności.

Napięte, porozrywane mięśnie, a w głębi coś, co przypominało kokosowy orzech.

To niemożliwe, przemknęło mu przez myśl.

To niemożliwe, ona nie urodzi tego dziecka, ono nie przejdzie. W bolesnym błysku przypomniał sobie, jak mocno go obejmowała tamtej nocy na pustyni.

Ale tutaj natura brała górę. Haliza krzyczała głośno i parla z całych sił. Po chwili stwierdził, że wypycha główkę.

Najpierw wymacał maleńkie ucho.

Potem pomarszczony policzek!

Z lekkim plaśnięciem dziecko wydostało się na świat, całe oblepione kleistą ciecżą, której jednak nie widział.

Złapał małe ciało w ręce, nie chciał, żeby spadło na zimną podłogę.

Chciał podnieść noworodka, ale coś go trzymało. Szarpnął mocniej i dziecko przywarło do jego piersi.

Czuł drgania w drobnych nóżkach, zrozumiał, że to życie.

Haliza jeszcze raz krzyknęła przerażona w ciemności, kamienne ściany potęgowały głos.

- Pępowina... musisz ją odciąć...

Bezradny próbował się do niej zbliżyć.

Jest! Mocny, pulsujący wąż łączył pępek dziecka z ciałem matki.

Jahiz nie miał nawet sztyletu.

Zastanawiał się przez moment, potem pochylił się i przegryzł ten sznur o słodkawym smaku. Zostawił spory kawałek przy brzuszku dziecka i zawiązał go na supeł.

Maleństwo po raz pierwszy zaniosło się krzykiem.

Piskliwym, ale doniosłym.

Także i ten głos odbijał się od ścian krypty i w uszach Jahiza brzmiał jak wrzask orła.

- Weź go - powiedział Jahiz cicho i położył wilgotne maleństwo na brzuchu matki. Domyślał się, że Haliza owija je w swoje ubranie, które pewnie zdążyło się już przemienić w szmaty.

W nieprzeniknionych ciemnościach Jahiz usłyszał pierwsze mlaskanie, domyślił się, że malec ssie.

Jego serce zaczynało bić normalnie, ale on wciąż siedział oparty o kamienną ścianę i ciężko dyszał.

Haliza nie mówiła nic, od czasu do czasu tylko pojękiwała.

Wierciła się, nie mogła sobie znaleźć miejsca.

Nie miał odwagi sprawdzić, po zapachu jednak poznał, że krwawi.

Czy ona teraz umrze?

Co się stanie z nią i dzieckiem?

Uciekać, uciekać, uciekać...

Myśli krążyły w jego głowie niczym dzikie ptaki, ale żaden plan się z tego nie narodził.

Muszą się stąd wydostać, muszą znaleźć jakieś bezpieczne miejsce. Po tym, co zaszło tego wieczora między nim a Dhermią, ona na pewno nigdy nie uzna w tym dziecku dziedzica majątku Shafira!

Żeby to była córka, myślał Jahiz.

Córka miałaby szanse na przeżycie.

Puls Halizy powoli się uspokajał, Jahiz zaczął ostrożnie badać ciało dziecka. Biedactwo było chude i lepkie, pokryte jakąś mazią. Malutkie rączki chwyciły palec Jahiza, kiedy ich dotknął. Czuł bicie maleńkiego serca. Wyczuł, że brzusek jest duży w stosunku do drobnych rączek i nóżek, podobnie stało się z Halizą po długich miesiącach spędzonych w krypcie.

Na głowie dziecka był puszek, a uszka przypominały małe muszelki.

Jakieś nieznanne ciepło przeniknęło Jahiza.

Chór głosów powtarzał w jego głowie: Mój syn, mój syn, nie mogę go opuścić.

- Jeśli ty będziesz musiał umrzeć, to ja umrę z tobą. Teraz, zaraz, zanim poznasz różnicę między ciemnością w brzuchu matki a strachami zwyczajnej nocy.

Dhermia wrzeszczała, dopóki nie przybiegli niewolnicy. Ciało martwego strażnika odciągnięto na bok, a reszta jego towarzyszy podzieliła się na dwie grupy, jedna miała przeszukiwać posiadłość, a druga biec do miasta w pościgu za zbiegłym mordercą.

Ona sama została przeprowadzona do własnego pokoju, gdzie niewolnice zdjęły z niej zabrudzone ubranie, umyły ją i napiły ciepłym mlekiem.

Wsluchiwała się w krzyki z zewnątrz, ale żaden nie świadczył o tym, że Jahiza ujęto.

Tyle uczuć kłębiło się w jej duszy.

Odsunęła od siebie mleko, a w zamian sięgnęła po owe mocne krople, które ojciec przechowywał w tajnej skrytce. Piekły ją w żołądku, jak zawsze.

Kiedy słońce weszło, Dhermia przypomniała sobie o pucharze, osobiście przyniosła go z pokoju zbiegłego więźnia.

Klejnot był ciężki i zdawał się dziwnie obcy, kiedy go podniosła z kamiennej posadzki i stwierdziła, że coś jest nie w porządku.

Zawsze trudno było określić, czy trzy kuliste części, z których składał się puchar, zostały wykute razem, czy też przylutowano je do siebie.

Sprawdzała palcem wewnętrzną stronę pucharu, nie sięgała dna, ale pęknięcie wyczuwała. Zatem puchar jest pęknięty na wylot.



Jahiz rzucił nim widocznie o ziemię. Czyżby celował w nią?

Dhermia nie wiedziała.

Mimo wszystko puchar nareszcie należy do niej...

Piękne zielone i czerwone kamienie mieniły się niczym oczy dzinna, kiedy odbija się w nich poranne słońce.

Uśmiechnęła się blado, postawiła puchar na marmurowym stole pośrodku pokoju.

Nie spuszczać z niego oczu, sączyła alkohol.

Ten puchar wart jest wielki majątek, nawet jeśli Egipcjanin już nie żyje.

Każdy, kto widział ów przedmiot, musi pewnie marzyć o jego posiadaniu, z pęknięciem czy bez.

Wiedziała już, jak go wykorzysta.

Filia podskoczyła, kiedy usłyszała ujadanie na półdzikich pustynnych psów, których strażnicy używali do ostrzegania intruzów.

Coś musiało się stać!

Narzuciła na siebie zniszczony płaszcz i boso wybiegła na dziedziniec. Ze wszystkich okien padało światło, widziała też mężczyzn biegających z pochodniami.

Słyszała krzyki, w końcu zdołała rozróżnić jakieś słowa.

Jahiz zbiegł!

Serce w niej zamarło, przywarła do ściany, gdy szukający Jahiza ludzie mijali ją, biegnąc do stajni.

Słyszała też, jak wyjeżdżają w stronę miasta, dotarli do niej rozkazy:

- Morderca powinien zostać pojmany! Nie pozwólcie, by wam uciekł!

Jahiz kogoś zamordował.

Zakreśliło jej się w głowie.

Zawróciła i co sił w nogach pobiegła w po schodach na górę, poprzez kolejne drzwi, odtrącając ostatnich wartowników.

W pokoju Shafira cuchnęło uryną, chorobą i kadzidłem. Nikt tu od dawna nie wietrzył.

- Ojczy!

Rzuciła się ku pozbawionemu życia ciału na łóżku.

Przycisnęła policzek do cuchnącej piersi.

- Ojczy!

Wołała głośno, chociaż już wiedziała, że nie jest tak, jak sądziła. Ojciec oddychał. Żył.

To nie jego Jahiz zamordował, choć jeszcze przed chwilą była pewna, że tak właśnie jest.

Odepchnęła ojca, odskoczyła ku drzwiom, nagle zdjęta dawnym obrzydzeniem i lękiem.

A więc pewnie Dhermia nie żyje!

Jahiz wiedział, że również ona jest winna nieszczęściu Flawinii i jej śmierci.

Filia musiała włożyć rękę do ust, by powstrzymać krzyk przerażenia. Kiedy jednak znalazła się w drzwiach, podobne do kościotrupa ciało ojca poruszyło się i usłyszała skrzekliwy głos:

- Filia... córko... moja kochana...

Kolana się pod nią ugięły.

Nie tyle dlatego, że ojciec się odezwał po wielu miesiącach zamroczenia, ile z powodu tej nieoczekiwanej czułości w jego słowach.

- Nie odchodź... Filia... moje serce...

Poczuła, że dziecko, które wciąż żyje w jej duszy, więcej nie zniesie.

Odwróciła się ku ojcu, patrzyła na jego ptasi pro-

fil w blasku lampy nieustannie palącej się przy głowie chorego.

W drzwiach stanął strażnik, na jego twarzy malował się szok.

- Pan... mówi? O, na wieczną cześć wszystkich do brych duchów... pan przemówił!

Filia na moment napotkała jego wzrok. Mężczyzna odwrócił się i zbiegł po schodach, wzywając Dhermie, swoją chlebobawczynię.

Filia zaś wolno wróciła do łoża ojca. Wiedziała, że czasu ma naprawdę mało, za chwilę przybiegną tu wszyscy niewolnicy, z Dhermią lub bez niej...

Ojciec wciąż ją przyzywał, ale głosem coraz słabszym.

Wzięła ze stołu kielich i nalała do niego wody.

Ojciec pił łapczywie, jakby dopiero co wrócił z pustyni.

Potem złapał ją za nadgarstki i przyciągnął do siebie z taką siłą, że resztką wody rozlała się na pościel.

Oczy miał czarne, głęboko zapadnięte.

Czuła, że włos jeży jej się na głowie.

- Filia... ja byłem w podziemnym świecie. Tam, gdzie panują wszystkie złe duchy. Gdzie dusze są dręzione i przypalane ogniem...

Nie spuszczała z niego wzroku. Skórę miał pomarszczoną, wyraźnie widziała pod nią czaszkę. Gdyby nie ten wciąż jeszcze długi, spiczasty nos, można by sądzić, że to już nadgniły trup.

Ale nie puszczał jej ręki, nieśmiało próbowała się uwolnić, lecz trzymał ją przy sobie również słowami:

- Pomóż mi, piękna Filio... Najszlachetniejsza z moich dzieci... złóż ofiary swojej nieboszczce matce i błagaj ją, by mi wybaczyła. Nie zaznam spokoju, dopóki ona mi nie wybaczy...

- Twoje złe czyny są liczne. Podobnie jak twoi dłużnicy - rzekła Filia głucho.

Z gardła chorego wyrwał się szloch, przypominało to płacz na pół uduszonego noworodka.

- Nie odchodź ode mnie, Filia, o, Filia... ty jesteś kahina, ja cię widziałem... słyszałem, ale nie miałem dość rozumu, ja...

Ona spokojnie zaczerpnęła powietrza, a potem odepchnęła chude ręce, które wciąż ją trzymały.

- Spokój... daj mi spokój.

Uśmiechała się pochylona nad jego twarzą, ale zobaczyła w jego czarnych oczach swoje zdeformowane odbicie.

Płomień lampy zachybotał.

Za oknami wkrótce nastanie dzień, świtało już, kiedy usłyszała pierwsze wściekłe nawoływania docierające z głównego domu.

Z oddali dochodziły ryki osła i ujadanie psów ponownie uwiązanych przy bramach.

Za chwilę na schodach rozlegną się kroki i cała służba wpadnie tutaj, by witać wracającego do życia gospodarza.

Filia chwyciła jedną z miękkich poduszek do siedzenia, rozłożonych na podłodze.

Wyrwała prawą rękę z uścisku starca i z całych sił przycisnęła poduszkę do jego twarzy.

Kroki biegnących rozległy się już w korytarzyku prowadzącym do pokoju gospodarza, ale Filia odczekała jeszcze dwie zdające się nie mieć końca chwile, zanim pozwoliła, by poduszka spadła z powrotem na podłogę.

Kiedy ludzie weszli, trzymała obie dłonie na zapadniętych policzkach ojca.

Szlochała i błagała go, by do niej wrócił.

Służba okazała jej szacunek i wycofała się za drzwi.

Mimo że Shafir od wielu miesięcy leżał jak martwy i powoli przemieniał się w wysuszony szkielet, nietrudno było zauważyć różnicę.

Te wytrzeszczone, przerażone oczy, wargi złożone do ostatniego krzyku...

Shafir nie żył.

Nawet powietrze w pokoju stało się odrobinę mniej obrzydliwe.

Filia usłyszała głos siostry.

A więc ona żyje?

Jahiz musiał zabić kogoś innego, kiedy uciekał.

Przemknęło jej tylko przez głowę rozpaczliwe pytanie: czy zabrał ze sobą puchar? Czy też może klejnot leży gdzieś w niebezpieczeństwie, pozbawiony strażnika?

Ramię Dhermii spoczęło na barkach Filii.

Ktoś odsłonił okna.

I wtedy Filia zobaczyła, że słońce stoi już wysoko na niebie, świeciło mocno i jasno prosto na twarz zmarłego lichwiarza. Kurz tańczył w złocistej poświacie tak gęsty, że odnosiło się wrażenie, iż słońce wysysa duszę z leżącego i unosi ją na długich promieniach.

Że ją w siebie wchłania.

I wtedy Filia się ocknęła.

Bóg Słońca... puchar boga Słońca... o, co ja zrobiłam...

Haliza leżała spokojnie w swojej krypcie i czekała.

Dziecko miało się dobrze, jej ciepłe ciało dawało mu jedzenie i ochronę.

Ona natomiast była spragniona. Nieznośnie spragniona.

Wkrótce pewnie nastanie dzień i ktoś przyniesie jej posiłek.

Po raz pierwszy przyłapała się na myśli, że chce, by to była Dhermia. Wtedy mogłaby użyć ostatnich sił i zamordować siostrę. Bo jest tak, jak powiedział Jahiz...

To dziecko powinno żyć.

Albo żyć, albo odejść razem z rodzicami do krainy duchów, gdzie dusze zmarłych nigdy nie przestają śpiewać.

Zacisnęła zęby i poczuła, że narasta w niej nowa siła.

No, chodź tu, siostrze.

Tylko tu przyjdź, a gołymi pięściami zatłukę cię na śmierć!

Uduszę cię rzemieniami, którymi przywiązywałaś mnie do kraty, a które teraz leżą pod ścianą niepotrzebne.

Ja jestem jak szczur, nawykłam do ciemności. Pokonam cię w miejscu, w którym odczuwasz jedynie lęk i jesteś ślepa w tych ciemnościach czarniejszych niż noc na pustyni!

Przeklinała, ale w końcu zasnęła.

Obudziło ją skrzypnięcie otwieranych drzwi, czyjaś ręka wsunęła przez nie miskę z kaszą i kubek wody.

Zawiedziona Haliza połknęła jedzenie kilkoma łapczywymi haustami.

Potem znowu zasnęła, otuliwszy siebie i dziecko w zakrwawione i mokre szmaty.

Następnym razem ocknęła się dlatego, że położyło się przy niej jakieś zdrowe, pachnące ciało. Czyjaś dłoń głaskała ją po twarzy. Zapach ciała Jahiza znowu wypełnił pomieszczenie. Serce Halizy było uszczęśliwione.

Usłyszała też uderzenie metalu o kamień.

- Czy masz... puchar?

Jahiz mówił szeptem:

- Nie, moja kochana. To jest miecz. Świeżo na ostrzony, obosieczny miecz najlepszego gatunku.

Haliza zadrżała.

Ale przecież słyszała jego przysięgę. Nikt im nie odbierze tego dziecka. Nie w tym życiu!

- On zniknął - rzekła Dhermia.

Filia zauważyła, że głos siostry drży.

Chociaż żadna z nich nie robiła niczego ponad to, co konieczne, to ostatnie dni spędziły na oficjalnych obrzędach żałobnych po ojcu.

Ludzie widywali je razem, milczące i poważne, za czarnymi welonami. Były w Al-Kaba i modliły się za duszę ojca, ofiarowały też odpowiednie ilości srebra i złota. Dhermia paliła kadzidła przy wszystkich ołtarzach, Filia złożyła w ofierze nowo narodzone, bardzo kosztowne źrebię.

Płakały i krzyczały, jak nakazuje obyczaj. Na oczach zawodzącego tłumu darły na strzępy swoje płaszcze.

Zwłoki Shafira zostały przeniesione przez miasto, wokół świątyni Al-Kaba i z powrotem do powozu, który miał je przewieźć na miejsce spoczynku.

Najzamożniejsi ludzie w oazie mieli własne miejsca, gdzie składano ich zmarłych. Ci, których domy zostały wzniesione na skałach, wykuwali krypty grobowe we własnych posiadłościach, osiadli na gruntach piaszczystych wykorzystywali do tego celu otaczające miasto góry.

Biednych palono na stosach tuż poza murami miasta.

Shafira można było pochować w krypcie pod zabudowaniami, ale Dhermia, jego córka, zapłaciła równowartość dwóch wielbłądów, by kupić dla nie-

go bardziej okazały i pięknie ozdobiony grób we wschodniej części oazy.

Żeby się tam dostać, trzeba było całego dnia, najpierw zwłoki wiezono powozem, potem jeszcze niesiono w lektyce.

Kiedy słońce zaszło trzeciego dnia, ziemskie szczątki lichwiarza spoczęły ukryte pod wielkim marmurowym blokiem zdobionym najpiękniejszymi reliefami.

Miasto uczciło jego pamięć palącymi się przez całą noc na rynku pochodniami.

Następnego ranka wystąpił pierwszy członek rady starszych i ogłosił małżeństwo swego syna ze średnią córką lichwiarza - gdy tylko miną trzy miesiące żałoby po jej ojcu.

Filia słuchała tej radosnej nowiny bez zainteresowania.

Czuła, że zbliża się wielka zawierucha, choć nie było jeszcze widać na horyzoncie złowieszczych zapowiedzi.

Kiedy ukryła się w kącie, w którym sypiała bezpieczna jak dziecko, zagryzała wargi do krwi i w ciemnościach odmawiała w duszy błagalną modlitwę:

Przybądź do mnie ty, o niosących pociechę oczach. Ty chyba będziesz mógł mi wybaczyć, prawda? Ja naprawdę nie wiem, które przestępstwo jest większe, ale żałuję wszystkich. I nie chcę zostać pożarta przez plujące ogniem potwory, bo bym musiała połączyć się w ich brzuchach z moim ojcem i zostać z nim na wieki!

Żadnej odpowiedzi jednak nie otrzymała.

Zamiast tego pojawiło się tak dobrze znane migotanie w oczach. Czerwone i białe plamy rozdzierały ciemność. Poczula spazmy przenikające ciało i straciła przytomność.

Przekleństwo.



Filia nigdy nie próbowała przeciwstawić się dżin-nowi, który w nieregularnych odstępach czasu brał w posiadanie jej ciało.

Teraz postanowiła walczyć.

I w końcu oczy się otworzyły.

Tym razem też nie budziła się ze snu, miała raczej wrażenie, jakby ta dziwna zamrożona woda w jej duszy topniała w słońcu i znowu zaczynała płynąć swoim nurtem.

Podniosła się, zdecydowanie stanęła na nogach, potem zaczęła biec.

Na korytarzach i na schodach nie było nikogo.

Wtedy sobie przypomniała: wszyscy strażnicy zgromadzili się przy głównej bramie, by przyjmować potok ludzi, którzy nadal nieprzerwanie przychodzili do ich wielkiego domu, by wyrazić żal, przekazać swoje dobre myśli o zmarłym i w nadziei, że ze spadkobiercami żyć będą na przyjaznej stopie.

Pochodnie gasły, kiedy je mijała, zdołała jednak chwycić ostatnią i pochylona pobiegła przez główny ogród.

Wężowa jama, wężowa jama...

Odsuwała od siebie tę myśl.

Schody na dół do krypty były wąskie i bardziej strome, niż zapamiętała.

*...odpuśćcie swoim winowajcom, by i wam zostało odpuszczone...*

Pamiętała!

Po raz pierwszy zapamiętała jakieś obrazy i głosy nawiedzające ją podczas ataku.

To echo modlitwy, którą Leila odmawiała każdego wieczora, tej, której jak twierdziła, nauczył ją syn Boży.

Oczywiście, że to echo, oczywiście, że dręczące

myśli kłębiły się jej w głowie niczym piasek podczas burzy.

Mimo wszystko pamiętała, jakby te słowa zostały wypalone w jej umyśle na zawsze.

Zabiłaś, ale największa ze wszystkiego jest miłość!

Zleciała z ostatnich stopni, wiedziała, że jeśli siostra jeszcze żyje, to musi ją słyszeć.

- Haliza! Haliza, przychodzę, żeby cię uwolnić! Nie lękaj się...

Kiedy chciała otworzyć małą kłódkę, na którą zamykano drzwi od zewnątrz, stwierdziła, że ktoś ją odpiłował.

Zrozumiała, co to oznacza, ktoś musiał tu przychodzić przed nią.

Ale to jej nie powstrzymało.

Filia, trzymając przed sobą pochodnię, wpadła do środka i napotkała wyciągnięty ostry, połyskujący miecz.

Dhermia siedziała z pucharem w ramionach.

Drzemała, nie zasnęła całkiem, ale znajdowała się na granicy snu i jawy.

Głęboka ulga zapanowała w domu, jakby spadł na niego odświeżający deszcz. Dhermia miała wrażenie, że sufity są teraz wyższe, a ściany bielsze. Niewolnicy mieli oczy zapuchnięte i czerwone od udawanego płaczu i zawodzenia, po ich rzucanych ukradkiem spojrzeniach poznawała jednak, że już się cieszą na to pyszne jedzenie, które dla nich zostanie, kiedy wszyscy odwiedzający zjedzą już swoje.

W kuchni i przy piecach zaczęto przygotowania do zapowiedzianego wesela. Sprawdzano zapasy wina, zapasy solonych warzyw, ziarna i ryżu. Mięso z ostatniego uboju będzie zbyt stare za trzy miesiące, ale pasterze już zaczęli wybierać najtłustsze kozy i ptaki. Przygotowywano skrzynie i worki na nowe zapasy.

A niewolnicy śpiewali zdumiewająco wesołe pieśni jak na dom pogrążony w żałobie.

Dhermia rozmarzyła się w półśnie.

Puchar jednak mocno trzymała w objęciach. Pamiętała swoje przeżycia w ramionach Jahiza i wiedziała, że z tego wesela to chyba nic nie będzie.

Bo ona jest w ciąży.

Była tego pewna.

Minęło zaledwie pięć dni, ale Dhermia była pewna.

Taka pewna, jak tylko może być kobieta.

Otrząsnęła się ze snu. Uśmiechnęła się sama do siebie. Postawiła puchar na marmurowym stoliku i podziwiała jego urodę.

I siłę!

Przypominała sobie słowa Halizy i wiedziała, że wszystko, co siostra mówiła, jest prawdą. Ten puchar posiada magiczną moc, dzięki której może jałową kobietę uczynić płodną niczym żyzna oaza. Nowa radość rozpływała się w jej żyłach jak ciepłe wino. Czuła jakąś dziwną słabość ogarniającą ciało, ale nie sprawiało jej to przykrości.

Teraz powinna pójść do siostry i powiedzieć jej, że dziecko Shafira niedługo się narodzi. I że jeśli dziecko Halizy będzie dziewczynką, to zachowa prawo do życia, myślała Dhermia przejęta i zadowolona.

Z pucharem pod szeroką suknią odnalazła drogę do starej krypty.

Rana Filii przestała już krwawić.

Pochodnia nie zgasła, kiedy ugodzona mieczem w udo, wypuściła ją z rąk. Twarz Jahiza, kiedy rozpoznał Filie, przypominała wykrzywioną grymasem maskę.

- Filia! Co...

Haliza krzyknęła, ale ręka, którą zasłaniała usta, stłumiła jej głos.

- Nie zabijaj jej!

Jahiz cofnął się, a Haliza z dzieckiem na ręce starała się zetrzeć krew z uda siostry.

- Och, Filia... on nie wiedział, że to ty... och, teraz nasza wina wobec ciebie będzie jeszcze większa!

Filia mrugała, bo dym wypełniający ciasne pomieszczenie szczypał ją w oczy. Jahiz próbował zdmuchi-

wał go sprzed jej twarzy. I rzeczywiście, w przeciągu, jaki powstał po otwarciu drzwi, wkrótce dym znalazł ujście przez otwór okienny.

Plomień pochodni chybotął, ale światła było wystarczająco dużo, by Filia mogła odczytać szok i niedowierzanie w twarzy siostry.

I wystarczająco dużo, by oświetlić małą główkę przy piersi Halizy.

Napotkała spojrzenie młodej matki.

Potem spojrzenie Jahiza.

On pospiesznie odwrócił oczy. Jak przyłapany na gorącym uczynku...

- Twoje dziecko... żyje?

W głosie Filii brzmiało niedowierzanie, sama to słyszała.

- Tak - potwierdziła Haliza. - Ma już pięć dni.

Filia głośno przełknęła ślinę.

Zatem malec urodził się w dniu śmierci Shafira.

Znowu zakreśliło jej się w głowie. Skaleczone udo piekło. Jahiz wpatrywał się w kapiącą krew, soczyście czerwoną na tle białej skóry Filii.

Ona nie przejmowała się swoją raną, przysunęła się do siostry z dzieckiem.

Wyciągnęła rękę i dotknęła ostrożnie maleńkiej główki.

- Jest zdrowy?

Haliza przytaknęła z dumą w oczach.

- A jak będzie miał na imię? - zapytała Filia.

- Nie wiem. Mamy jeszcze dużo czasu - odparła Haliza z wyraźnym lękiem w głosie.

Dzieci rzadko otrzymywały imiona przed ukończeniem pierwszego roku życia. Zbyt wiele umierało przed upływem tego czasu. Rzadko kiedy ojciec oglą-

dał lub dotykał swego potomstwa, zanim skończyło ssać pierś matki. W prostych beduińskich plemionach nie przyjmowano do rodziny dzieci, zanim nie nauczyły się mówić. Do tego czasu były jak kielkujące źdźbła. Nasiona raczej niż żywi ludzie.

Filia pogłaskała noworodka i poczuła jego ciepło.

- Ty, mój maleńki... przyszedłeś na taki okrutny świat. Co się z tobą stanie? Cóż my z tobą pocznie my, mały wędrowcze z gwiazd?

Halizie łzy napłynęły do oczu. Widziała, jak twarz siostry łagodnieje, słyszała ciężki oddech Jahiza.

- Wiem, o czym myślisz - rzekła Haliza na pół z płaczem.

- On powinien być twój. Twój... i Jahiza...

- No, a co ty zamierzasz teraz zrobić, Jahizie? - zapytała Filia chłodno, niemal wrogo.

Poruszył się pod ścianą.

- Ty... krwawisz... pozwól mi...

- Odejdź! Odpowiedz raczej na moje pytanie, tchórzliwy psie! I gdzie jest puchar? Ochroniłeś puchar?

Włosy opadły Jahizowi na twarz, przesłaniając oczy.

- Puchar... odnajdzie swoją drogę...

Początkowo Filia milczała, ale nagle jakby coś w niej eksplodowało. Wyrzucała z siebie całe kaskady słów, płakała i wymyślała mu. Rzuciła się na niego, biła i drapała, domagając się ciągle wyjaśnień, gdzie jest puchar.

- Ty zdrajco! Jesteś gorszy niż hiena, niż parszywy szczur! Niech wszystkie złe duchy rozszarpia twoje nędzne ciało na sztuki i rzucą je wściekłym psom na pożarcie!

Jahiz się nie bronił.

Kiedy w końcu wybuchnęła szlochem i skuliła się na podłodze, jego paznokcie zostawiły na jego twarzy takie

same krwawe ślady jak te, które zrobiła mu Dhermia.

Haliza spoglądała na tych dwoje przerażona, przytulając dziecko do siebie tak mocno, że zaczęło kwilić.

Pospiesznie przysunęła jego delikatne usteczka do swojej piersi.

Po dłuższym milczeniu, gdy słyhać było tylko mlaskanie dziecka, Jahiz rzekł niepewnie:

- Musimy się stąd wydostać. Musimy go zanieść w bezpieczne miejsce. On będzie dziedzicem Shafira.

Filia zaczęła powoli zbierać myśli.

- Shafir nie żyje - powiedziała obojętnie. - Zabiłam go. Pięć dni temu...

Cichy jęk Halizy wyrażał ulgę.

Ale na twarzy Jahiza malowało się przerażenie.

Dhermia niosła lampę i puchar, gdy zauważyła cień niewolnicy odstawiającej do kuchni brudne kubki.

Było już na tyle ciemno, że mogli pozamykać bramy na noc. Dzisiaj nie trzeba już będzie podejmować płaczących gości.

Poszła dalej, wciągając przyjemny zapach pięknego drzewa, które rosło w dużym naczyniu przy wejściu do ogrodu. Od tego miejsca nic już nie rozpraszało ciemności, ledwo rozróżniała wąską ścieżkę prowadzącą do stajni, jamy wężowej i zejścia do krypty. Bez trudu odsunęła żelazną kratę, poruszając się lekko na naoliwionych zawiasach. Pochyliła się i weszła na strome schody.

Oliwna lampka płonęła jasno i nie kopcila.

Kiedy znalazła się w niskim korytarzu, zauważyła ów niezwykle tu przeciąg.

Po chwili usłyszała głosy.

Wcale jej to nie przestraszyło.

Dhermia mocno przycisnęła do siebie puchar i nareszcie pojęła, gdzie się podział Jahiz.

Z lekkim uśmiechem przeszła ostatnich parę kroków, wiedząc już, że drzwi są otwarte.

Dwa gruchające gołąbki w krypcie umilkły.

Znowu musiała się uśmiechnąć.

Pewnie się teraz boją, nie wiedzą przecież, że ona ma przekazać obojgu radosną nowinę.

Będą mogli żyć!

On dostąpi wielkiego zaszczytu jako małżonek Dhermii.

Haliza zaś zostanie wyposażona we wszelkie dobra, by móc opływać w dostatki nie mniejsze niż u tego drania swego męża.

A jeśli dziecko, którego się spodziewa, okaże się dziewczynką, będzie mogła je wychowywać!

Dhermia wkroczyła do pomieszczenia, zaczęła włosami o sufit, tutaj tylko niewysoka kobieta mogła stanąć wyprostowana.

We wnętrzu paliła się pochodnia, dawała znacznie więcej światła niż lampka Dhermii.

Zobaczyła, że Haliza i Jahiz siedzą przytuleni do siebie pod ścianą. Tego się spodziewała.

Nie dostrzegła jednak cienia za drzwiami, nawet smugi niebieskawej poświaty. Filia chwyciła miecz i uniosła go nad głowę siostry. Ale w jej piersi narastał ostrzegawczy krzyk, miała wrażenie, że ją rozerwie, z trudem łapała powietrze i opuściła miecz.

*...ale miłość jest największa...*

- Dhermia - wykrztusili wszyscy troje.

A kiedy Dhermia upuściła oliwną lampkę, ta jakimś cudem zgasła, zamiast się potłuc i podpalić kryptę.



Dhermia opadła bez sił na podłogę, twarz miała teraz przy twarzy Jahiza, na tej samej wysokości.

- Mój kochany - wyszeptała. - Mój drogi, krew z mojej krwi... wy wszyscy jesteście z mojej krwi... o, chodźcie, niech was wszystkich obejmę.

Filia starała się zrozumieć niezwykle zachowanie siostry.

I nagle, kiedy Dhermia rzuciła się Jahizowi na szyję, zobaczyła błysk w jej oczach.

Serce tłukło jej się ciężko w piersi.

Haliza też była w szoku.

- Mój kochany, mój strażniku... mój wojowniku, świątynio ty moja... oto w tej chwili biorę sobie ciebie za męża.

On zachrypłym głosem próbował coś tłumaczyć, Filia i Haliza słyszały, że zdejmuje z Dhermii ubranie. Jego ręce były niczym węże wijące się na jej ciele.

One obie siedziały, czując, że krypta się kurczy, staje się bardzo małym, pulsującym pomieszczeniem.

Wtedy chłopczyk zaczął płakać.

- Ona powinna mieć na imię Nimat - szepnęła Haliza.

Wtedy na wykrzywionej w szoku twarzy Dhermii pojawił się błądy uśmiech.

- To dobrze. Dobrze dla niej.

Uwolniła się z objęć Jahiza, a Filia mogła zobaczyć, co mężczyzna trzyma w rękach. Puchar!

- Wyjdźmy nareszcie z tej nory - prychnęła Dhermia.

Wzięła pochodnię i ruszyła przodem.

Filia kroczyła za nią jak lunatyczka, Jahiz podtrzymywał Halizę.

Przez dziedziniec musiał ją przenieść na rękach. Dziecko popiskiwało zawinięte w szmaty. Minęło wiele miesięcy, odkąd Haliza po raz ostatni widziała światło dnia.

Filia myślała: gdy nadejdzie brzask, bóg Słońca rozsadzi jej głowę.

Ale wciąż jeszcze trwała noc, jeszcze tylko łagodne oczy gwiazd towarzyszyły niewielkiemu orszakowi zmierzającemu do obszernego domu lichwiarza.

Niewolnicy drzemący na stołkach przy drzwiach zerwali się przerażeni i kłaniali. Nikt jednak nie odważył się nic powiedzieć. Zdecydowana mina gospodyni świadczyła, że kontroluje ona sytuację i wie, co robi, wprowadzając do domu obie siostry i zbiegłego mordercę.

Dhermia poprowadziła ich wprost do pokoju Shafira.

Już go gruntownie wywietrzono, wymyto wodą z ługiem i okadzono paloną cynamonową skórką oraz anyżem.

Zdaniem Filii jednak mimo wszystko unosiła się tu woń śmierci.

Żołądek podchodził jej do gardła, kiedy Dhermia poprosiła, by Jahiz usiadł przy niskim stole Shafira, przy tym samym stole, przy którym lichwiarz tyle-kroć siedział i rozkoszował się widokiem niewolników, wymierzających Filii chłostę.

Dhermia uderzyła lekko w chiński gong.

Niemal natychmiast w drzwiach ukazał się strażnik.

- Przynieś papirus! - powiedziała ostro. - Papirus, atrament, moją szkatułkę na pieniądze i pieczęć!

Pośrodku stołu ustawiła puchar.

Kiedy zapalała lampki z najdelikatniejszą oliwą, jej twarz wyrażała zakłopotanie. Miała zaczerwienione policzki, jakby się oparzyła o pochodnię. Ale swąd spalonych włosów nie pochodził od niej. To Filia za bardzo pochyliła głowę.

Jahiz trzymał się w cieniu, słyszały tylko jego oddech.

Dhermia rzekła:

- Powinniśmy teraz rozwiązać ten problem raz na zawsze, drogie siostry. Wszystkie chciałybyśmy mieć spokój. I puchar... puchar, który tu przed nami stoi.

Kiedy Dhermia ruszyła w stronę stołu, by wziąć puchar, rozległ się dziwny dźwięk.

Filia miała wrażenie, jakby to wszystko działo się we śnie.

Nie spuszczała oczu ze świętego przedmiotu i widziała, jak między górną i dolną jego częścią pojawia się jakiś cień.

Cień, rysa.

Głuchy krzyk, suchy trzask.

- Nnnnie... - jęknęła.

Rzuciła się do stołu, złapała puchar w tym samym momencie co Dhermia. Stały tak naprzeciwko siebie i każda ciągnęła w swoją stronę. Trwało to kilka długich jak wieczność sekund, a potem Jahiz podszedł do nich i wyrwał im puchar.

- Przestańcie!

Wepchnął sobie zdobycz pod koszulę i cofnął się do kąta.

Po chwili rozległ się jego głos, po raz pierwszy brzmiała w nim groźba:

- Jedna z was jest pewnie właścicielką pucharu, ale ja jestem jego strażnikiem! I to ja złożyłem świętą przysięgę...

Filia odczuła jego siłę jak wysoką ścianę, przez którą ona nigdy nie zdoła się przedrzeć.

Dhermia stała niby słup soli, nie była w stanie nawet mrugnąć.

Haliza zawodziła jak skrzywdzony szczeniak i ukryła twarz w zawiniątku z dzieckiem.

Jahiz spokojnie wyszedł na środek pokoju i ostrożnie postawił puchar dokładnie w miejscu, na które padł promień słońca zaraz po tym, jak Shafir wyzionął ducha.

- Puchar... sam wybierze drogę - szepnął Jahiz.

W pokoju zaległa cisza.

Siostry wpatrywały się w złote naczynie, nie odrywały od niego oczu, jakby odpowiedź miała się za chwilę pojawić pośród licznych znajdujących się na nim tajemniczych inskrypcji.

Gdy dziecko cichym kwileniem zakłóciło spokój, wszyscy odnieśli wrażenie, że właśnie zostali odczarowani.

Dhermia poruszyła wyschniętymi wargami i powiedziała:  
- Filia bierze puchar, Haliza, ty masz dziecko. A ty, Jahiz... jesteś mój!

Haliza podskoczyła z krzykiem.

Zanim Filia zdążyła zareagować, wepchnęła jej chłopca w ramiona.

Nikt nie potrafił jej powstrzymać, złapała puchar i próbowała wcisnąć go Dhermii.

- Jahiz jest mój! Kocham go, niczego więcej do ży cia nie potrzebuję!

To straszne przedstawienie sprawiło, że Filii zdawało się, iż została pozbawiona ciała. Unosiła się pod sufitem i patrzyła na siebie, jak stoi z nowo narodzonym dzieckiem w ramionach. Usta miała otwarte, naprawdę wyglądała jak lunatyczka.

W końcu jednak rozsądek wziął górę, wróciła do swojej doczesnej powłoki i poczuła, że ciepła, wilgotna skóra dziecka dotyka jej szyi.

Chłopczyk machał bezradnie nagimi nóżkami, kiedy go z całej siły cisnęła na łóżko.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na obie siostry i na puchar, który Dhermia wciąż trzymała.

Krew burzyła się w niej, miała wrażenie, że cała, do ostatniej kropli, spłynęła jej do głowy i że zaraz ją rozsadzi jak przepełniony skórzany worek.

Filia rzuciła się ku mężczyźnie, który przypominał bizantyjski posąg z szarego, pozbawionego życia kamienia.

- Jahiz! Nie opuszczaj mnie! - krzyknęła histerycznie.

Filia nie miała pojęcia, jakim sposobem znalazła się w łóżku swojej matki. Rozpoznawała pokój, zapachy i skomplikowany wzór na suficie.

Zanim jeszcze otworzyła oczy, wyczuła, że ktoś przy niej jest.

W pokoju było jasno, przez powieki przedostawała się pomarańczowa poświata, na przemian z liliowymi plamami.

Znowu miałam atak, pomyślała.

Ciało jednak nie było takie ciężkie i obolałe jak po ataku. Jej ciało żyło, zdawało się zdrowsze i młodsze, od dawna tak się nie czuła. Nie bolała jej głowa, nie szumiało w uszach.

Przez chwilę leżała bez ruchu.

Próbowała odgadnąć, kto znajduje się w pokoju.

Emanowały od tego kogoś dobre uczucia.

Bezpieczne.

Chciała się uśmiechnąć, uznała jednak, że najlepiej będzie jeszcze trochę spokojnie poleżeć.

Wsluchiwała się w oddech siedzącego przy niej człowieka. Był spokojny, jak we śnie.

Teraz nie miała już wątpliwości.

Siedzi przy niej Jahiz.

Ostrożnie poruszyła palcami nóg pod kołdrą. No tak, żyje. Palce ma wrażliwe, nic jej nie boli. Językiem dotknęła podniebienia, uświadomiła sobie, że bardzo potrzebuje wody z anyżem, a może nawet daktylowego wina.

Serce biło spokojnie.

W ogarniającej ją fali radości Filia zdała sobie sprawę z tego, że spała.

Długo!

Otworzyła oczy i natychmiast zobaczyła na podłodze przy łóżku skuloną męską postać. Spał, podło-

żywszy ręce pod policzek, jak dziecko. Tylko że miecz ciężko spoczywający u jego boku nie był zabawką.

Filia ostrożnie usiadła na posłaniu.

Wtedy on się ocknął, zerwał się i napotkał wzrok Filii.

Ona bez słowa zsunęła bose stopy na gorącą podłogę, tam gdzie słoneczne promienie wysuszyły wszystkie łzy z posłania matki.

- Ty tu jesteś...

- Tak...

- Jesteś przy mnie?

- Tak - potwierdził spokojnie.

Filia położyła się u jego boku, ciepło nagrzanego słońcem posadzki przenikało przez cienką koszulę, w którą ją ubrano.

- Bałem się, że już nigdy się nie obudzisz - wyszeptał niemal niedosłyszalnie tuż przy jej uchu.

Filia uśmiechnęła się. Wdychała jego tak dobrze znany zapach.

- Ale bałem się też, że się obudzisz i będziesz mnie nienawidzić za moją zdradę...

Filia z czułością pocałowała go w ucho.

- Nigdy nie czułam do ciebie nienawiści. Wiesz o tym.

Odpowiedział szeptem, patrzył gdzieś ponad jej głową

- Owszem, czułaś... wiem. Puchar mi o tym powiedział.

Filia przysunęła się bliżej. Jahiz oparł dłoń na rękę kojęcej miecza, bo próbowała go objąć w pasie.

- Ja cię tylko kochałam. To jest odwrotna strona miłości... byłam jak ta wewnętrzna strona nie garbowanej skóry, która cuchnie. Tak to w życiu jest, ale wypaczona miłość też jest miłością...

Wtedy Jahiz ją objął.

Westchnął głęboko.

Ona głaskała go delikatnie, starała się spleść razem swoje i jego palce.

U jednej jego ręki brakowało dwóch zewnętrznych.

Kiedy zauważył, że Filia drży, uspokoił ją kilkoma cichymi słowami.

- Stare blizny, kochanie... stare, zagojone rany nie mogą mi już zrobić krzywdy!

Wiedziała, że to prawda.

Niczym noworodek wchłaniała jego zapachy, ssła jego wargi, pobudzała je do miłości.

Trzymał ją mocno przy sobie, przewrócił na plecy, przyciskał sobą do podłogi.

- Kocham cię. Zawsze cię kochałem. Wiesz przecież.

Odpowiedziała z językiem w jego ustach.

- Tak...

Wzburzenie obu ciał ustąpiło, Filia zauważyła, że Jahiz podłożył jej pod głowę poduszkę. Uśmiechała się do niego, oślepiona płynącym przez okno światłem.

- Czuję się taka silna. Jak długo spałam?

Sprawa miała wrażenie niemal smutnego.

- Prawie dziesięć miesięcy, moja kochana...

Kiedy do niej przyszedł, Filia poczuła, że wszystkie pytania otrzymały już odpowiedzi. Bez żadnych wyjątków, żadnej powściągliwości, żadnych przemilczeń.

Zdawała sobie sprawę z tego, że jej ciało o tym wie, wiedziało od chwili, gdy on dotknął ją po raz pierwszy.

Łapczywie otworzyła ramiona i pozwoliła mu się w nich ukryć.

Głęboko, głęboko w jej ciele natrafił na przeszkodę. Jęknęła, ale właściwie nie czuła bólu. Objęła jego barki i przyciągnęła jeszcze bliżej siebie.



- Połóż się na mnie! Żebym poczuła cały twój ciężar, nie bój się!

On również jęknął.

- Ale... ale... zgmiotę cię!

- Zostałam stworzona tak, by udźwignąć twój ciężar. Czy nie znajdujesz boskich znaków na nas obojgu? Jesteśmy dwiema połówkami jednej całości! Chodź!

Spojrzał jej głęboko w oczy, jakby wątpił. Wtedy ciało pod nim naprężyło się, sprawiło, że dał się ponieść rozkoszy.

Opadł na nią całym ciężarem, przyciskał pierś do miękkich pólkul i omal ich nie zmiażdżył. Nie opierał się już na łokciach, wsunął obie ręce w jej włosy i objął głowę w uścisku, z którego sama nigdy by się nie wyrwała.

Kiedy ją znowu mocno pocałował, poczuła na podniebieniu smak krwi.

- Mój strażniku, mój kochany... bez ciebie nie po trafię przeżyć ani dnia...

- Filia, nigdy cię nie opuściłem... O, dobry boże, bądź pochwalony...

Kiedy napelnił ją nasieniem, a ciepło jego ciała połączyło się z ciepłem płynącym od niej, widział tylko jeden migotliwy obraz:

Słońce, walczące, ale zawsze, zawsze zwycięskie, w znaku miłości.

Dwaj mali chłopcy bawili się z równie jak oni szalonym koziołkiem.

Filia patrzyła, jak turlają się po miękkim piasku, i myślała, że dzieci też wyglądają jak rozbawione zwierzątka.

Słońce stało nisko nad górami, krwistoczerwone. Jego ciepło nie było już takie dokuczliwe jak za dnia, po prostu przyjemne, i w tej godzinie przed nadejściem nocnego chłodu zapędzało kobiety i dzieci do domu.

- Dhermia! Twój syn za chwilę udusi nieszczęsnego koziołka!

Filia wołała, bo ciężki brzuch nie pozwalał jej podnieść się szybko z hamaka, na którym pół siedziała, pół leżała. Plecionka z miękkich lin podtrzymywała Filię czule i bezpiecznie.

Kobieta pogłaskała się po brzuchu.

Czuła energiczne kopnięcia.

Ubrana na niebiesko siostra przebiegła obok, już dawno odzyskała dawną sprawność, zapomniała o porodzie. Jej synek skończy niedługo rok i zabierał się do chodzenia na niebywale silnych nóżkach. Uwielbiał się bawić ze swoim starszym przyrodnim braciszkiem, który opanował już nawet sztukę biegania.

Z odwagą, której ludzie nie mogli się nadziwić, rzucał się i w zabawę, i w walkę.

Mimo że nie widział.

Haliza uśmiechnęła się do Filii przelotnie.

Bardzo przybrała na wadze w ostatnim czasie, zrobiła się po prostu tłusta. Jadła niemal bez przerwy i twierdziła, że to z powodu tego strachu, jaki przeżywała przez osiem miesięcy spędzonych w krypcie.

Teraz też żuła kawałek pomarańczy.

Kiedy patrzyła, jak Dhermia wyszarpuje swego synka z silnych ramion brata, roześmiała się. Jej chłopczyk wrzeszczał na całe gardło, wrywał się i bił ciotkę zaciśniętymi piąstkami.

- Zobaczycie, za parę lat oni będą się tłukli jak pustynni zbójcy! Głos mojego syna wystarczy za dwóch, a dziecko Dhermii będzie miało wzrok jastrzębia, tak myślę!

Filia uśmiechała się blado, wciąż gładząc swój sterczący brzuch. Obie jej siostry urodziły synów, obaj jednak zostali boleśnie naznaczeni.

Chłopczyk Halizy jest niewidomy, co zostało odkryte dopiero po wielu miesiącach. Haliza płakała całymi dniami, twierdząc, że stało się tak dlatego, że malec urodził się w ciemnej piwnicy.

W chwilach największego rozgoryczenia winą za to obarczała Dhermię.

Kiedy jednak Dhermia urodziła dziecko bez głosu, Haliza również ucichła.

Chłopczyk Dhermii nigdy nie wydał z siebie żadnego dźwięku, ani w postaci krzyku czy śmiechu, ani słów. Miał natomiast silne, już teraz muskularne i pulchne ciało.

- No, a poza tym będzie ich trzech! Haliza zachichotała.

- Jesteś pewna? A jeśli się okaże, że nosisz córkę? Filia uśmiechnęła się tajemniczo.

- O, nie. To chłopiec. Tego jestem pewna. Haliza przytaknęła, nieoczekiwanie zamyślona.

- Pewnie masz rację, siostrze. Ty przeważnie masz rację...  
Dhermia wróciła, niosąc na każdej ręce jednego chłopca.  
Usiadła na rozłożonej derce i każdemu z malców dała  
kawałek pomarańczy do ssania.

Wtedy starszy umilkł i z rozkosznych mlaskaniem  
pochłaniał owoc.

Filia poczuła wzrok Halizy na swoim brzuchu.

Wiedziała, o czym siostra myśli.

To jest cena.

Cena łaski.

Wszystkie trzy zostały pobłogosławione, wszystkie  
odnalazły pewien rodzaj spokoju w tym przeklętym domu.

Duch Shafira dawno temu opuścił pokoje. Nawet  
cuchnąca komnata śmierci była teraz miła, jasna i przytulna.

Ale puchar został rozbity.

Pojawiły się na nim pęknięcia, jak na orzechu pod  
wpływem nacisku, w końcu się rozpadł, trzy kule się  
rozdzieliły.

Dokonało się to w bólu, niewiarygodnym bólu.

Teraz jedną część Haliza nosi jako bransoletkę.

Dhermia ukryła swoją kulę w starej solidnej skrzyni,  
razem z pieniędzmi i papierami.

Filia dostała dolną część, tę, która ma dno i może służyć  
jako naczynie do picia.

Wszystkie wiedziały, co to oznacza.

To ich wina, niewybaczalna wina, że puchar się rozpadł.  
Powinny były za nim podążać, powinny od początku  
podporządkować się woli świętego przedmiotu.

Natomiast one pozwoliły, by opętała je nienawiść i  
pragnienie zemsty.

Puchar nie był w stanie udźwignąć takiej trującej zawartości!

Mimo wszystko jednak uzyskały przebaczenie.

Filia była tego najzupełniej pewna. Mężczyzna o brązowych oczach czuwał teraz co noc przy jej posłaniu, a ona spała głębokim, wzmacniającym snem.

Tylko Jahiz nie wytrzymał.

Pewnego ranka znalazły go w węzowej jamie, skoczył tam i nadział się na własny miecz.

Myślał pewnie, że zawiódł i nie sprostął roli strażnika pucharu, ale to nieprawda.

Siostry pojęły to w jednej chwili.

Trzy części pucharu boga Słońca, trzech synowie.

Trzej strażnicy.

Jeden niewidomy, drugi niemy. Nie wiedziały tylko, co czeka dziecko, które Filia wciąż nosi pod sercem. Jedynie matka przeczuwała jego los, kiedy podczas nocnych godzin siedziała i kołysała się razem z nim.

Śpiewała, ale wiedziała, że on nie może jej słyszeć.

Przemawiała do niego, ale zdawała sobie sprawę, że nie narodzony nigdy nie pozna delikatnego brzmienia jej głosu.

Filia wciąż odczuwała tęsknotę za Jahizem jak ostrze noża w sercu.

Ale udrękę można ukoić.

Wystarczyło, by zaczęła się wsłuchiwać w obietnice płynące z jej ciała, a skurcze serca stawały się mniej bolesne. On będzie tam mieszkał, zawsze, dopóki ona żyje na tej ziemi.

I za każdym razem, kiedy patrzyła na wschodzące słońce, wiedziała, że to znowu jeden dzień bliżej do połączenia z ukochanym.

KONIEC TOMU 3